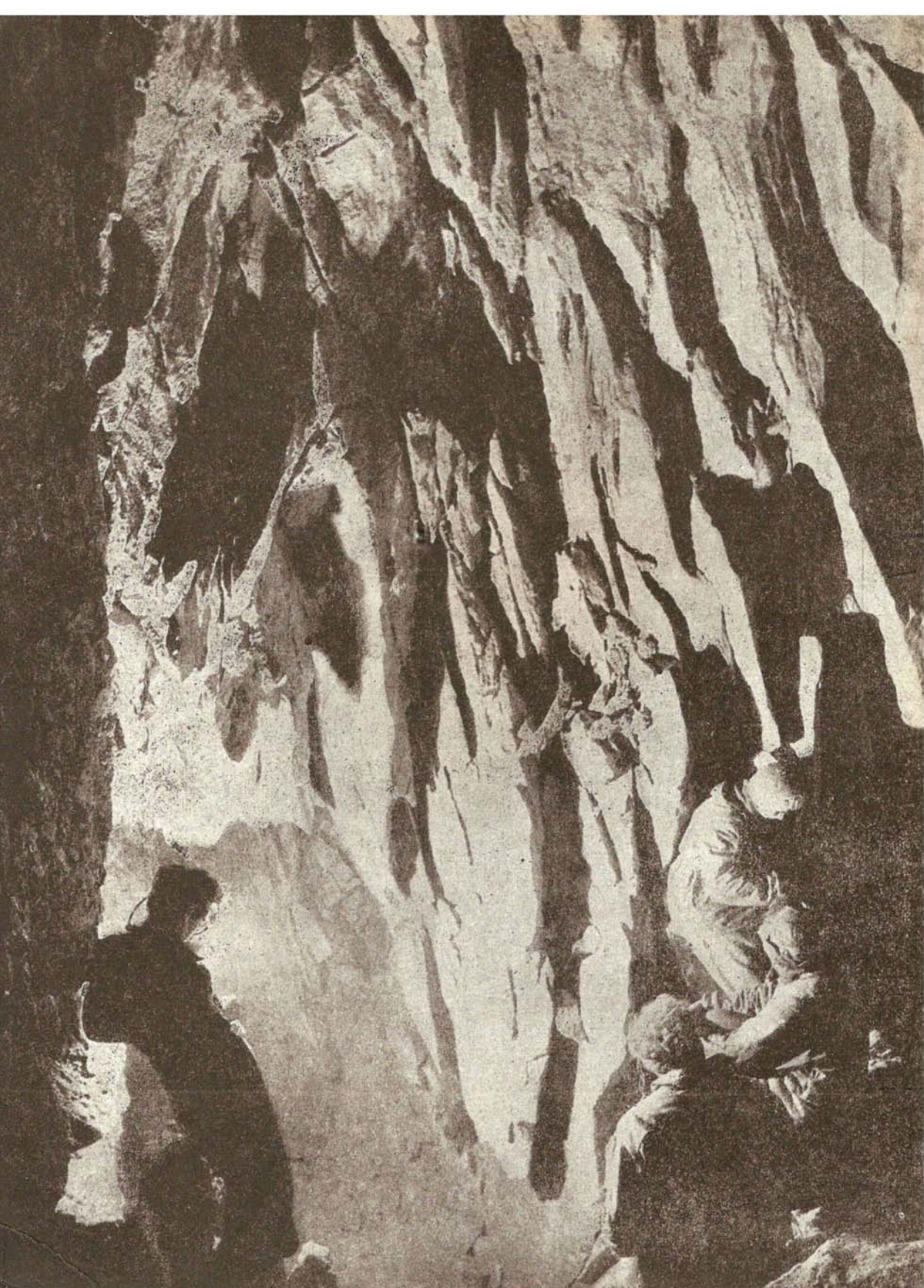


taternik

1

1958



Komitet Redakcyjny: Antoni Gasiorowski, Jerzy Hajdukiewicz, Maciej Kuczyński, Ryszard W. Schramm, Andrzej Wilczkowski.

Redaguje zespół: Antoni Wala (p. o. redaktora naczel.), Przemysław Burchard, Ryszard Gradziński, Zbigniew Łagocki, Maciej Mischke, Adam Skoczylas, Jerzy Wala.

Tymczasowy adres Redakcji: Antoni Wala, Kraków, ul. Osiedle 15 Grudnia 11 m. 13.

Tymczasowy adres Administracji: Kraków, pl. Wiosny Ludów 8.

Realizacja: Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, Warszawa, ul. Rutkowskiego 7/9.

Układ graficzny zeszytu projektował: Zbigniew Łagocki.

Liternictwo: Aleksander Haupt.

Rysunki: Ewa Czarnocka, Zbigniew Łagocki, Andrzej Pietsch i Jerzy Wala.

Nakład 3270 egz. Zam. 164/58 S-91 Krakowskie Zakłady Graficzne Zakład nr 4, Kraków, ul. Sarego 7.

„Taternik” ukazuje się w czterech zeszytach rocznie. Kolportaż i prenumeratę prowadzi PUPK „Ruch” w Krakowie, ul. Worceła 8. Zamówienia na prenumeratę w kraju przyjmują urzędy pocztowe w terminach: półroczna — do dn. 10. XII. oraz 10. VI. na okresy następne; roczną do 10. XII. na okres następny.

Cena pojedynczego numeru — 10 zł. W prenumeracie: półrocznie — 20 zł, rocznie — 40 zł.

Numery „Taternika” za rok 1956 i 1957 należy zamawiać wprost w Administracji „Taternika”, również za pierwsze półrocze 1958 roku. — Ilość ograniczona.

Prenumeratę zagraniczną przyjmuje Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza, za pośrednictwem PKO, konto nr 1-6-100024. Cena prenumeraty zagranicą jest o 40% wyższa od krajowej.

Członkowie Klubu Wysokogórskiego otrzymują numery „Taternika” w ramach składek członkowskich.

Dręczy nas myśl, że jesteśmy jedynie odtwórcami. Każdy chwyt przypomina nam poprzedników, każdy komin i każda płyta nosi ich ślady. Napotkany stary, zardzewiały hak zdaje się szeptać do nas szydlerczo: — tu byli już inni przed tobą. I czujemy się tym jakby upokorzeni, zazdrościmy tym, którzy mieli szczęście być pierwszymi. Byli oni twórcami dróg, które nam wypadło tylko powtarzać. Szukamy więc wciąż nowych ścian i nie przerażają nas najstraszniejsze urwiska. Pragniemy tylko napotkać je nie tknięte z ich różnorodnością szczelin, płyt, kominów i gzymsów, nie połączonych jeszcze w jedność pojęciem drogi.

Każdy alpinista marzy o czymś nowym — dlatego z Tatr dążymy w Alpy, chociaż nowe, które tam znajdujemy nie jest już w pełni nowe; jest tylko czymś większym niż to, co mogą nam dać dziś Tatry. Dlatego wielcy alpinisci dążą w Himalaje lub szukają nowych dróg w skutych lodem i szarpanych wichurami, skalnych urwiskach Patagonii. Egzotyki stał się naszym marzeniem i mamy nadzieję, że w przyszłości stanie się naszym udziałem.

Tymczasem pozostały nam powtórzenia. Czy jednak rola powtarzającego nie jest podobna do roli wirtuoza solisty, któremu wypadło wykonać genialny utwór kompozytora, czy nie ma tu jakiejś analogii do roli artysty dramatycznego?

Może to porównania zbyt śmiałe. Dokonując jednak pierwszego przejścia tworzymy również swoiste dzieło ludzkie — drogę. Dzieło, zbudowane z tworzywa, jakim są elementy ściany, uporządkowane świadomą myślą, powstała z koncepcji, zrodzonej z poznania ściany i zrealizowane siłą woli, która każe pokonać wszelkie trudności, by stanąć na szczycie, widowym znaku dokonanego dzieła. Utrwalone w piśmie, pozostaje na zawsze trwałym świadectwem jeszcze jednej, spośród tylu, działalności ludzkiej.

Powtarzając drogę pierwszych zdobywców, za każdym razem jakby odtwarzamy dzieło na swój sposób, wyłączością naszych doznań i specyfiką naszych umiejętności. Zostaje ono indywidualnie przeżyte i powtórzone solidarnym wysiłkiem zespołu — na ogół zawsze wspina się zespół. Starajmy się jednak, by powtórzenie było również doskonałe, jak przejście pierwszych zdobywców. Więcej — czy nie powinno być lepsze, jak może być lepsza gra wykonawcy od gry kompozytora?

Marzymy o nowym, o egzotyku, ale udziałem naszym są i pozostaną dla wielu jedynie powtórzenia. Czyż więc nie mamy szukać ich sensu?

Na okładce: Zjazd na uskoku Aig. Noire du Peutérey. — M. Bala

Druga strona okładki: W jaskini Miętusiej. — Z. Matek

Jerzy Hajdukiewicz w Himalajach

Tegoroczna wyprawa szwajcarska na Dhaulagiri (Schweizerische Dhaulagiri-Expedition) stała się nam bliska przez udział w niej dr. J. Hajdukiewicza.

Kierownikiem wyprawy jest Werner Stäuble, a w skład jej wchodzi jeszcze poza nim 7 osób: E. Reiser, dr. K. Winterhalder (lekarz wyprawy), A. Hächler, R. Eiselin, M. Eiselin oraz Niemiec Detlef Hecker, z którymi nawiązali bliższą znajomość uczestnicy obozu w Alpach Berneńskich i zaproszony przez organizatorów dr. J. Hajdukiewicz. Sirdarem 9-osobowej grupy Szerpów jest sławny Dawa Tensing.

Podczas gdy pięciu uczestników wyprawy udało się samochodem do Indii przez Turcję i Persję, dr. J. Hajdukiewicz w pierwszych dniach lutego wypłynął statkiem „Marceli Nowotko” do Kairu, skąd razem z W. Stäuble i M. Eiselinem, mieli polecieć samolotem do Indii.

Dziś, gdy wyprawa działa już w terenie, dowiadujemy się z Die Alpen (Nr. 3/58), że Włosi przygotowują już swoją wyprawę na rok 1959, która wyruszy, o ile Szwajcarom nie uda się zdobyć szczytu.

Zyczymy dr. Jerzemu Hajdukiewiczowi i jego szwajcarskim kolegom powodzenia.

Nowe przepisy dla taterników przebywających na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego

Dyrekcja Tatrzańskiego Parku Narodowego podaje do wiadomości wszystkim taternikom następujący komunikat:

W porozumieniu z Dyrekcją Czechosłowackiego Tatrzańskiego Parku Narodowego i Radą Parku ustalono, że wszystkie sprawy dotyczące taternictwa na terenie obu Tatrzańskich Parków Narodowych mają być załatwiane z Dyrekcjami Parków Narodowych, przez władze centralne organizacji taternickich.

Poszczególne Koła Klubu Wysokogórskiego, planując obozy, wyprawy i wspinaczki, powinny zgłaszać swoje programy odnośnie czasu i miejsca działania do Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego, który zamierzenia te uzgodni z właściwą terenowo Dyrekcją Parku Narodowego.

Grupy taterników, które nie uzgodnią swoich planów z Dyrekcjami Parków, narażają się na niemożność zrealizowania swoich zamierzeń, a w razie naruszenia przepisów obowiązujących w Czechosłowackim Parku Narodowym na utratę kart turystycznych.

Komunikat Redakcji Taternika

Redakcja „Taternika” zwraca się z prośbą do wszystkich Zarządów Kół Klubu Wysokogórskiego o systematyczne nadsyłanie co miesiąc komunikatu informacyjnego do redakcji zawierającego materiały dotyczące życia, działalności i osiągnięć koła w ubiegłym miesiącu. W komunikatach należy podawać aktualną liczbę członków, krótką charakterystykę pracy zarządu koła, omówienie działalności i osiągnięć poszczególnych podkomisji (sportowej, szkoleniowej itp.), liczbę odbytych zebrań koła, tematykę odczytów i wykładów o charakterze szkoleniowym, treść zebrań dyskusyjnych. W okresach sezonów tatrzańskich należy podawać liczbę taterników czynnie działających w Tatrach w minionym okresie sprawozdawczym, krótkie sprawozdania z odbytych obozów czy wycieczek koła, zestawienia ciekawszych wejść dokonanych w tym czasie przez członków koła. Zarządy powinny informować redakcję w swoich komunikatach o trudnościach napotykanym w pracy organizacyjnej i wychowawczo-szkoleniowej.

Materiał zawarty w komunikatach będzie stanowił podstawę do systematycznego prowadzenia w „Taterniku” kroniki Klubu Wysokogórskiego obejmującej nie tylko działalność Zarządu Głównego, ale także wszystkich kół. Pomoże także redakcji w lepszym zorientowaniu się w potrzebach i bolączkach poszczególnych środowisk taternickich, którymi pragniemy zająć się na łamach „Taternika”.

Dotychczas niesystematycznie nadsyłane materiały, wrywkowe i nieścisłe, były niewystarczające do opracowywania kroniki i publikowania jej w „Taterniku”. Jesteśmy przekonani, że zarządy kół dostatecznie ocenią wagę naszego życzenia i dołożą starań, by systematycznie, zgodnie z wyrażonym tu życzeniem, informować nas o życiu i działalności swego koła.

Redakcja



Na stokach Mont Blanc tu Taul spoczywają w lodowej szczelinie zwłoki Wawrzyńca Żuławskiego. W dniu 2 listopada 1957 r. została zrzuczona na to miejsce z samolotu przez prezesa Aeroklubu Mont Blanc p. Guiron wiązanka biało-czerwonych goździków z woreczkiem polskiej ziemi i listem rodaków zamieszkałych we Francji, wyrażającym hołd

zmarłym — Stanisławowi Grońskiemu i Wawrzyńcowi Żuławskiemu.

Zorganizowaniem tej uroczystości zajmowali się panowie J. Piasecki i J. Romanowski przy współudziale grupy Polaków. Obok zamieszczone zdjęcie przedstawia moment wręczenia kwiatów p. Guiron przez Polaków z Francji. S. B.

Schron wysokogórski

w okolicy Morskiego Oka projektuje wybudować Zarząd Główny KW w ramach długofalowego planu inwestycyjnego rozбудowy urzędzeń sportowych GKGF.

Adresy:

ZARZĄD GŁÓWNY KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO: Warszawa, Aleje Ujazdowskie 22.

KOMISJA TATERNICTWA JASKINIOWEGO ZG KW: Kraków, ul. Bohaterów Stalingradu 20.



Wzastygłą ciszę południa uderzyły dzwony kościółka w Lauterbrunnen. Natychmiast odpowiedziały im dźwięczną melodią z Wengen, które przysiadło na stoku w miejscu, gdzie urwisko skalne łamie się tworząc zielony kobierzec hal, pocięty ciemnymi plamami lasów. Rozpoczęła się zwykła, dźwięczna rozmowa luksusowego Wengen ze skromnym Lauterbrunnen, ukrytym na dnie doliny.

I odnieśliśmy wrażenie, że ta gra tonów i akordów, jest również własnością tej doliny, jak jej szarawordzawe urwiska wapienne, zwilżane rosą tęczowych siklaw, płaskie łąki ścielące jej dno, strumień toczący mętne, spienione fale i szara wstęga szosy ogrodzonej drewnianym płotem.

Szliśmy jej skrajem zastuchani, a przed nami mknął ku Trümmelbach barwny wąż samochodów. I podążaliśmy za tym głosem, który odbity po tyśiąckroć w amfiladzie otaczających ścian, biegł ku ocienionym urwiskom Schwarz Mönchu i zielonym, rozpromienionym w południowym słońcu stokom nad Stechelbergiem. Aż tam, gdzie kończą się one białymi śniegami lodowca Breithorn — pod lodowe ściany, pocięte pręgami głębokiego cienia, Grosshornu, Breithornu, Tschingelhornu, aż po ostrą piramidę Gspaltenhornu. — Zdjęcie Verlag Beringer.

LITERATURA ALPINISTYCZNA

Jan Józef Szczepański

Obszerna monografia *La Montagne*, wydana przez Larousse'a pod redakcją Maurice Herzoga, zawiera wśród materiałów dotyczących problematyki górskiej w naprawdę monograficznym zakresie, również i wyczerpujące studium literatury alpinistycznej.

Toteż tu, w krótkim sprawozdaniu, tym bardziej nie sposób przedstawić całego bogactwa owej literatury, legitymującej się już dziś setkami nazwisk i pozycji bibliograficznych. Dlatego szkic niniejszy będzie tylko do pewnego stopnia przeglądem tego studium, a raczej ma na celu ukazanie pewnych charakterystycznych tendencji rozwojowych, dających się zauważyć w piśmiennictwie alpinistycznym.

Przede wszystkim zaznaczyć należy, że mowa tu jedynie o literaturze wyspecjalizowanej (nawet w wypadku beletrystyki), czyli o tej, która operuje konkretną wiedzą o górach, bądź to w dziedzinie nauki, bądź też eksploracji czy techniki sportu wysokogórskiego. Ściślej — o literaturze towarzyszącej alpinizmowi. Przedalpinistycznemu piśmiennictwu poświęca *La Montagne* osobny rozdział, którego nie będziemy omawiać, jest to bowiem odrębny i też bardzo rozległy temat.

Tak więc orientacyjną dla nas datą jest rok 1857 — rok powstania zorganizowanego ruchu alpinistycznego, upamiętniony założeniem słynnego, działającego do dzisiaj Alpine Clubu. Oczywiście nie należy rozumieć tego zbyt rygorystycznie. Alpine Club powstał dlatego, ponieważ istniała już w owym czasie grupa alpinistów dostatecznie liczna na to, by odczuwać potrzebę zrzeszenia się. Toteż lata poprzedzające założenie tej pierwszej organizacji wysokogórskiej przynoszą już szereg publikacji o charakterze alpinistycznym. Są to przeważnie rozprawki geologiczno-dokumentacyjne oraz opisy pierwszych wejść na dziewicze dotychczas alpejskie szczyty. Oto kilka typowych pozycji: James D. Forbes: *Tour of Mount Blanc and Monte Rose* (1855); sir Alfred Wills (pierwszy zdobywca Wetterhornu) *Wandering among the High Alps* (1856); Hudson i Kennedy: *Where there is a will, there is a way* (1856).

Zwracają tu uwagę angielskie nazwiska autorów. Jest to znamiennie dla początków alpinizmu, bowiem pierwszymi alpinistami byli Anglicy, a także Alpine Club był organizacją angielską. Pod znakiem monopolu brytyjskiego upłynął cały pionierski okres aktywności wysokogórskiej w Alpach. Monopol ten stał się szczególnie widoczny od chwili, kiedy Alpine Club rozpoczął regularną działalność wydawniczą.

W 1859 r. ukazały się pierwsze publikacje o charakterze kronikarskim i przewodnikowym (*Peaks, Passes and Glaciers*), zaś od 1863 roku zaczął wychodzić organ klubu pt. *Alpine Journal*.

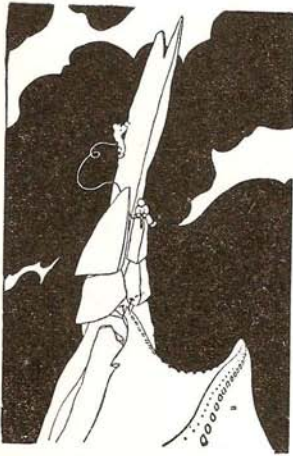
Hegemonia Anglików trwała od tej pory nieprzerwanie aż do początków bieżącego stulecia. Z tego okresu pozostały liczne prace geologiczne, historyczne, literackie oraz ściśle alpinistyczne, zajmujące się problemami techniki wspinaczkowej. Do najwybitniejszych należą: *The Glaciers of the Alps* i *Mountaineering* Tyndalla, *Scrambles amongst the Alps* Whympera (zdobywcy M. Cerwin), *My climbs in the Alps and Caucasus* Mummeryego, *The Italian Alps* i *La Vie de Saussure* Freshfielda oraz wiele innych. Również w tym okresie pojawiła się seria przewodników po Alpach pióra Coolidge'a.

Cechą ówczesnego alpinizmu było chodzenie z miejscowymi, płatnymi przewodnikami, a główny cel stanowiło zdobywanie szczytów. Jednakże już wtedy kiełkują koncepcje, które ukształtować miały oblicze nowoczesnego sportu wysokogórskiego. Naj-

Przypominamy Samivela — Czar i nastrój wysokich gór, znikomość człowieka wobec ich ogromu, pełną swoistego dowcipu satyrę na typowe wady wspinaczy — oto, co znajdujemy w doskonałych i szeroko znanych w świecie alpinistycznym rysunkach Samivela.



Ich pierwsze wejście: tak było...



..a tak w ich opowiadaniu.

istotniejszą z nich jest koncepcja „drogi”, sformułowana po raz pierwszy przez znakomitego wspinacza i eksploratora Mummeryego, który zagadkową śmiercią zginął następnie w Himalajach. Jeśli chodzi o ton literatury opisowej z tamtych czasów, to odznacza się ona rzeczowością, przeciwstawioną świadomie egzaltacji Ruskina, którego styl uchodził właśnie za najodpowiedniejszy do wyrażania stosunku człowieka wobec przyrody.

Trzeźwość i suchość relacji, lansowana już tak wcześniej przez autorów angielskich, miała z czasem przyjąć się w całej niemal literaturze alpinistycznej, oczywiście z wyjątkiem poezji. Ale tematyka górską inspirowała również utwory o zabarwieniu filozoficznym i religijnym o czym jeszcze będzie tu mowa.

Ożywiona działalność Anglików w Alpach stała się przyczyną paradoksalnego faktu, że Francuzi zwrócili początkowo swe zainteresowania ku Pirenejom. Właśnie te góry, nie „obchodzone” jeszcze przez cudzoziemców, stały się kolebką francuskiego ruchu wysokogórskiego, który pierwsze organizacyjne formy przybrał w postaci Société Ramond, stowarzyszenia założonego przez Russela w 1866 r. Pirenejom też poświęcone są pierwsze francuskie publikacje alpinistyczne, jak tegoż Russela *Souvenirs d'un montagnard*, czy piętnastotomowa monografia Pirenejów Béraldiego, względnie prace geograficzne Schradera. Dopiero w siedemdziesiątych latach powstaje Club Alpin Français, a pierwszy z jego roczników ukazuje się w 1874 r. Warto wspomnieć, że artykuł wstępny do owego pierwszego tomu *L'Annuaire du Club alpin français* napisała George Sand.

Wkrótce Francuzi zaczęli rywalizować z Anglikami w samych Alpach — już nie o pierwsze wejścia, lecz o pierwsze przejścia, bowiem wraz z ubywaniem dziewiczych szczytów coraz większej wagi nabierały problemy techniczne. Przyniosło się to zarówno do rozwoju alpinizmu francuskiego, jak i francuskiej literatury alpinistycznej. Do ciekawszych pozycji tego okresu należą: *Le Mont Blanc Duriera* (1877), *De la montagne au désert* Théodore Camusa (1895) i *La Meidge et les Escrins* Baud-Bovyego (1904).

Od 1904 roku ukazuje się nowe wydawnictwo na miejsce dotychczasowego *L'Annuaire*. Jest to *La Montagne*. Treść tego periodyku stanowią przeważnie rozprawki naukowe.

Ostatnie dekady ubiegłego stulecia i początki bieżącego, przynoszą ze sobą większe ożywienie alpinizmu. Obok Anglików i Francuzów pojawiają się w górach wysokich przedstawiciele innych narodów. Znaczną aktywność rozwijają Włosi, Szwajcarzy i Niemcy. Pierwsze nowoczesne opisy wspinaczek wychodzą spod pióra Szwajcara, francuskiego pochodzenia, Emila Javelle'a, który w latach osiemdziesiątych wydał książkę pt. *Souvenirs d'un alpiniste*. W 1903 r. poeta i wspinacz włoski Guido Rey opublikował obszerny poemat prozą *Le Mont Cervin*, oceniany jako wybitne osiągnięcie artystyczne. Spośród Niemców znaczny rozgłos w świecie alpinistycznym i literackim uzyskał Lammer, znakomity wspinacz a zarazem filozof, który w swych utworach propagował poglądy Nietzschego. Najbardziej znaną jego książką jest *Jungborn*. Lammer, idąc w tym za swym mistrzem, za najszczytniejsze dążenie człowieka uważał „wolę potęgi” i na tym tle stworzył swoistą psychologię i filozofię sportu wysokogórskiego. Wreszcie do ciekawszych pozycji pierwszych lat naszego stulecia należą wspomnienia alpinistyczne Achillesa Ratti, późniejszego Piusa XI.

Po pierwszej wojnie światowej zaczyna się zmierzch hegemonii Anglików w Alpach. Coraz żywszym i ciekawszym pismem staje się *La Montagne*, które osiąga swój najwyższy poziom w latach trzydziestych pod redakcją Pierre Dalloza, dobrego pisarza i wybitnego wspinacza. W tym czasie współpracuje z redakcją utalentowany satyryk i rysownik Paul Gayet-Tancrède, znany pod pseudonimem Samivel. Wydał on szereg albumów, w których — za pomocą pełnych dowcipu rysunków — charakteryzuje swoisty światek wspinaczy z jego typowymi wadami, jak megalomania, skłonność do koloryzowania itd. Rysunki Samivela doskonale oddają nastrój gór wysokich i znikomość człowieka wobec ich ogromu. Prasa alpinistyczna całego świata przedrukowywała je wielokrotnie i nie

Wymownym wyrazem trojski Samivela o zdrowy sens alpinizmu jest zdanie:

Wprowadzenie w alpinizm zbyt nagle, przecenianie brutalne i jednostronne wyników sportowych, duchowe i uczuciowe lekceważenie świata górskiego — jest postępowaniem niezawodnym, by zdeprecjonować i pozbawić głębi wszystkie walory alpinizmu (przypominamy z „Taternika” nr 3—4, 1948, tłum. H. H.).

ma chyba wspinacza, który by się z nimi nie spotkał. Tytuły albumów brzmią: *Sous l'oeil des choucas* (1932); —10° (1936); *Neiges* (1937); *L'Opéra de pics* (1944).

Alpinistyczny ruch wydawniczy odzwierciedla w tym okresie rozłam środowiska wysokogórskiego i powstające w jego łonie fermenty. We Francji wyodrębniają się nowe ugrupowania. W ramach klubu powstaje w 1919 r. elitarne stowarzyszenie pod nazwą Groupe de Haute Montagne (G. H. M.), a w 1926 r. młodzież studencka, lansująca hasło: „bez przewodnika”, zawiązuje własny klub, znany jako C. A. F. A. Klub ten wydaje doskonałe pismo *Alpinisme*, przejęte z czasem przez G. H. M. Niestety *Alpinisme* przestaje wychodzić w 1955 r.

Jeden z założycieli G. H. M. Jacques Lépinye jest do spółki ze swym bratem Tomem autorem pierwszej nowoczesnej powieści alpinistycznej pt. *Sur les crêtes du Mont Blanc*.

Równocześnie pojawiają się pierwsze literackie świadectwa alpinizmu kobiecego. Książka Micheline Morin *Encordées* i wspomnienia Marii Jalek *En campant sur l'Alpe* stanowią pozycje o dużej wartości.

Do najciekawszych pozycji okresu międzywojennego należą: *Toute la montagne* Alberta Dauzat (1924) — obszerny esej na temat sztuki, filozofii, geografii i alpinizmu; *Les Alpes éducatrices, mon Chamonix* Jules Payota; *Les Quatre Eléments* André Chamsona i *Montagnards* André Allix'a. Warto też wymienić pierwsze naukowe studium psychologii wspinacza *l'Alp Alpiniste* pióra Jean Secreta.

W beletryście górskiej przodują w latach trzydziestych Szwajcarzy. Powieści na wysokim poziomie literackim pisze Charles Gos (*La Nuit des Drus, l'Épopée alpestre* i inne), a do wyżyn prawdziwego artysty wznosi się C. F. Ramuz, którego *Derborence*, znana jest i u nas. Spośród powieściopisarzy francuskich wybijają się Auguste Vaultier i Jacques Dieterlen.

W latach o których mowa, Alpy i inne góry europejskie zostały już dokładnie poznane i „wyeksploatowane” alpinistycznie. Toteż zainteresowanie środowisk wysokogórskich zwraca się coraz wyraźniej ku górom egzotycznym, a zwłaszcza ku Himalajom. Wraz z wciąż licznymi ekspedycjami w te rejony, pojawiają się we wzrastających ilościach sprawozdania i opisy. I tutaj znowu przodują Anglicy, głównie dzięki temu, że tak jak swego czasu zmonopolizowali Alpy, tak samo przez dziesiątki lat utrzymywali hegemonię w Himalajach. Jednakże należy oddać im sprawiedliwość, że niezależnie od tego handicapu, potrafili stworzyć naprawdę wielką literaturę himalaistyczną. Nazwiska takie jak Irving, Smythe, Youngusband, Longstaff, Tilman czy Shipton mówią same za siebie. Oprócz sprawozdań i reportaży pokazują się też obszerne monografie, jak *Mountaineering* (1934), starające się ująć całościowo historię, rozwój i charakterystykę alpinizmu.

Nie będę już nużyć czytelnika cytowaniem tytułów (możnaby napisać obszerną rozprawę na ten temat) tym bardziej, że przechodzimy do czasów nam współczesnych i każdy zna przynajmniej ze słyszenia pozycje takie jak: *Obóz szósty* Smythe'a, *Annapurna* Herzoga, czy *Zdobycie Everestu* Hunta, aby wymienić tylko najsłynniejsze książki. Ten rodzaj literatury, zapoczątkowany przed drugą wojną światową, stanowi do tej pory dominujący rodzaj piśmiennictwa alpinistycznego. Można stwierdzić, że wytworzył się pewien wyspecjalizowany styl opisu, w którym autor stara się jak najmniej „przeszkadzać” faktom i robi co może, aby one same wyrażały dramatyczność przeżyć. Pewne różnice temperamentów zabarwiają ten styl mniejszą lub większą dozą humoru, liryzmu czy refleksyjności, ale istnieją zaskakujące podobieństwa w relacjach ludzi tak odrębnych jak Hunt, Buhl czy Herzog. Wynika to w głównej mierze z tożsamości psychologicznych, organizacyjnych i technicznych problemów, stojących przed nowoczesnymi wyprawami. Wielkie przedsięwzięcia wysokogórskie stały się akcjami zespołowymi, a przebieg operacji, przypominający starannie zaplanowaną bitwę, budzi nie mniejsze zainteresowanie czytelnika, niż indywidualne przeżycia jej uczestników.

Na kwestię zainteresowania czytelnika należy położyć tu szczególny nacisk. Faktem nowym i charakterystycznym jest wzrastająca ostatnio popularność tematyki wysokogórskiej. Podczas, kiedy przed drugą wojną światową książki traktujące o tych sprawach wydawano w paru tysiącach egzemplarzy, dziś rozchodzą się one w wielkich nakładach i mają liczne wznowienia. Wystarczy wspomnieć, że dość słaba powieść Roger Frison Roche'a *Premier de cordée* (w tłum. polskim: *Pierwszy na linie* wyd. PAX) pobiła we Francji wszelkie rekordy wydawnicze. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest niewątpliwie olbrzymi rozwój samego alpinizmu, który przestał być elitarnym „hobby”, a stał się dostępny dla mas żądnej przygód i silnych wrażeń młodzieży. Pociągnęło to jednak za sobą i ujemne skutki. Tylko niewielu może sobie pozwolić na udział w egzotycznych wyprawach odkrywczych. Szerokie rzesze alpinistów europejskich wyładowują swoją energię w komplikowaniu coraz rzadszych problemów technicznych, co z konieczności prowadzi do akrobatycznej rekordomanii. To, co w alpinizmie najszlachetniejsze — synteza aktywności i kontemplacji, samotna walka o pełnię własnej osobowości, głód ciszy i piękna — jest niewątpliwie zagrożone. Prawdziwi ludzie gór spoglądają na ten nowy kierunek z uzasadnionym niepokojem. Tensing w swym pasjonującym pamiętniku opisuje z rodzajem konsternacji Alpy, które przypominają mu wielką salę gimnastyczną.

Niepokój ów znajduje także wyraz we współczesnej literaturze alpinistycznej, obok bowiem nurtu obiektywnie opisowego, odżywa w niej z powrotem nurt subiektywizmu, refleksji i poetyczności. W książkach takich autorów jak Giusto Gervasutti (*Montagnes, ma vie...*), Gaston Rébuffat (*Étoiles et Tempêtes*) czy Georges Sonnier (*Où règne la lumière, Meije*) stałym refrenem powraca pytanie: Co jest prawdziwym celem alpinizmu? Z różnie formułowanych odpowiedzi można w każdym razie wyciągnąć wniosek, że esencją zniewalającego czaru górskiej przygody, jest dla tych znakomitych wspinaczy jej bezinteresowność — ten jakiś element najbliższy istocie sztuki. Dlatego to ów dziwny sport, dający tyle przeżyć, wykraczających poza dziedzinę sportu, przyciąga i przyciągać będzie nadal ludzi uczucia i talentu.

Od redakcji: Zamieszczone tu sprawozdanie, co podkreśla sam autor, zaledwie dotyka tak obszernego dziś zagadnienia, jakie stanowi literatura alpinistyczna. Szczególnie odczuwa się w nim brak omówienia literatury niemieckiej i austriackiej. Autor zaledwie mimochodem o niej wspomina, pomijając nawet nazwiska tak powszechnie znanych autorów, jak Luis Trenker czy Julius Kugy. Należy także pamiętać, że obszerna literatura alpinistyczną posiadają dziś i inne kraje jak ZSRR czy Stany Zjednoczone czy choćby najbliższa nam Czechosłowacja. Trzeba przy okazji podkreślić, że polska literatura taternicka i alpinistyczna nie doczekała się dotąd pełnego i krytycznego opracowania. Mamy nadzieję, że przynajmniej opracowanie bibliograficzne naszej literatury będziemy mogli zamieścić w najbliższym czasie na łamach „Taternika“.



Chamonix...

Obozy alpejskie Klubu Wysokogórskiego w lecie 1957 roku

Antoni Wala

Obozy alpejskie, które w roku 1956 były zaledwie wyjściem poza Tatry po wieloletniej przerwie i nawracały do bogatej tradycji naszego ruchu wysokogórskiego, w ubiegłym roku stały już pod znakiem szeroko zakrojonej działalności. Wzięło w nich udział łącznie 46 osób, rekrutujących się w większości spośród najbardziej aktywnych i o znacznym stażu taterników pochodzących z różnych środowisk Polski. Obozy były rozlokowane w trzech grupach górskich: w Alpach Berneńskich i Wallijskich w Szwajcarii oraz w grupie Mont Blanc we Francji¹.

To rozlokowanie obozów w różnych grupach górskich okazało się bardzo korzystne, przede wszystkim ze względu na warunki pogodowe. Niemal w tym samym czasie trwania obozów, ilość dni względnie dobrej pogody umożliwiającej wspinaczkę, była największa w Alpach Wallijskich, natomiast w grupie Mont Blanc odpowiednie warunki były tylko w okresie od 31 lipca do 5 sierpnia, podobnie, chociaż nieco korzystniej, było w Alpach Berneńskich. A więc, jak można się było spodziewać, partie zewnętrzne Alp po północnej stronie miały znacznie gorszą pogodę od wewnętrznych i oczywiście znalazło to odbicie w działalności poszczególnych grup. Wystarczy porównać ilość dni wspinaczek w kronikach obozów. To też wydaje się słuszne stanowisko R. Schramma, zajęte w sprawozdaniu dla ZG KW, że „należałoby się zastanowić, czy ze względu na szczególnie trudne warunki atmosferyczne w grupie Mont Blanc, nie wysyłać obozów raczej w inne partie Alp o lepszej na ogół pogodzie i wcale nie o niższych walorach alpinistycznych (np. Alpy Wallijskie)“.

Sezon alpejski 1957 roku był chyba pierwszym w dziejach polskiego alpinizmu, w którym zdobyto naraz i to najczęściej nie najłatwiejszymi drogami, aż 29 szczytów czterotysięcznych (patrz obok), przy czym na niektóre wchodziło parokrotnie.

Z wejść, największym sukcesem było przejście zachodniej ściany Aiguille du Petit Dru oraz całkowite trawersowanie grani Peutérey, szczególnie to — połączone z wejściem południową grania na Aiguille Noire de Peutérey. Przejścia te w opinii alpinistów zachodnio-europejskich należą do przejść najwyższej klasy. Jeśli chodzi o drogę zach. ścianą Dru, to jest ona właściwie skalną i przejście jej wybiegało poza program obozów, który przewidywał przechodzenie raczej dróg lodowych lub skalno-lodowych. To też nie wzbogacało ono naszych zdobyczy w myśl programu, jak i doświadczenia, wobec dobrego obycia ze skałą naszych wspinaczy w Tatrach. Ze względu jednak na znaczną ostatnio popularność dróg czysto skalnych w Alpach oraz bez wątpienia większe nagromadzenie trudności, niż spotykane na drogach w Tatrach, przejście to jest pięknym sukcesem i odegrało dużą rolę propagandową.

Spomędzy całego szeregu pozostałych wejść, również ciekawych i wartościowych, wysuwają się na czoło: jeszcze w grupie Mont Blanc — wejście na Aig. Verte drogą Coutouriera z zejściem drogą Mummeryego, wejście wsch. ścianą, drogą Boccalato na Mont Blanc du Tacul; w Alpach Berneńskich — wejście pn. ścianą, drogą Reissa, Solbergera i Reista na Fiescherhorn oraz wejście pn.-zach. ścianą na Klein Fiescherhorn (Ochs — 3900 m); w Alpach Wallijskich — dwukrotne powtórzenie drogi pn. ścianą na Dent d'Herens, wejście pn. ścianą, drogą Welzenbacha na Breithorn.

Piękne osiągnięcia obozów, pomimo nieszczygólnych warunków pogodowych w Alpach, były rezultatem zarówno intensywnie rozwijanej działalności górskiej przez ich uczestników, jak i na skutek dużej grupy osób, która wyjechała w Alpy w ubiegłym roku. Uzyskane wyniki świadczą o dużych możliwościach i wysokim poziomie naszego taternictwa. Można też było się przekonać, że Tatry są dobrym terenem, zwłaszcza w zimie, przygotowania do działalności alpejskiej. Uprawianie taternictwa zimowego daje dostatecznie dobre obycie z warunkami wspinaczek, jakie spotykamy na drogach skalno-lodowych o przewodzie śniegu, a brak obycia z lodem daje się tu szybko uzupełnić. Jedynie drogi typowo lodowe nastrożają poważniejsze trudności, ze względu na brak odpowiedniego opanowania techniki lodowej oraz doświadczenia potrzebnego do oceny na nich warunków — wymagają więc znacznie dłuższego przygotowania w Alpach. Natomiast przygotowanie do pokonywania dróg skalnych okazuje się wystarczające, a trudności leżą wyłącznie w większych rozmiarach ścian. Niebezpieczeństwa obiektywne wspinaczki w Alpach są większe niż w Tatrach i spotegowane jeszcze nieznajomością terenu u naszych alpinistów i brakiem obycia z nimi.

Nasi taternicy wykazali dużą przebojowość i inicjatywę, połączoną niestety nie zawsze ze zdrową ambicją. Chociaż ambicja jest motorem uzyskania dobrych wyników, to przerosty jej w wielu wypadkach prowadziły do nieliczenia się z własnymi możliwościami. Również z nich rodziła się niezdrówna chęć dorównania wynikami i to natychmiast alpinistom zachodnio-europejskim bez liczenia się z własnym przygotowaniem technicz-

Szczyty czterotysięczne, na które weszli polscy alpinisci:

Mont Blanc (4810 m)
Mont Blanc du
Courmayeur (4769 m)
Mont Maudit (4468 m)
Dôme du Goûte (4309 m)
Mont Blanc du Tacul (4249 m)
Aig. Blanche de Peutérey (4112 m)
Dôme de Rochefort (4016 m)
Aig. Verte (4121 m)
Aletschhorn (4195 m)
Jungfrau (4158 m)
Mönch (4099 m)
Schreckhorn (4078 m)
Gross Fiescherhorn (4048 m)
Gross Grünhorn (4043 m)
Dufourspitze (4634 m)
Zumsteinspitze (4563 m)
Dom (4545 m)
Lysskamm E (4527 m)
Weisshorn (4505 m)
Matterhorn (4482 m)
Lysskamm W (4430 m)
Dent Blanche (4360 m)
Zinalrothorn (4224 m)
Rimpfisschhorn (4195 m)
Strahlhorn (4190 m)
Dent d'Herens (4174 m)
Breithorn (4165 m)
Obergabelhorn (4066 m)
Dodac tu należy wejście grotolazów na
Barre de Écrins (4102 m)

¹ Materiały uzupełniające do artykułu oraz kroniki obozów znajdzie czytelnik na str. 37—41 tego zeszytu.

nym, kondycyjnym oraz wyposażeniem sprzętowym. Pomimo używania częściowo sprzętu francuskiego, nasze wyposażenie w niego było dalekie od tego, jakim dysponują alpinści zachodnio-europejscy przy podejmowaniu dziś przejść najwyższej klasy. Nie wystarczające przygotowanie wyzło szczególnie jaskrawo właśnie przy tego rodzaju przejściach, jak np. przy trawersowaniu grani Peutéréy, które robiono 5 dni, gdy ostatnio, na ogół trwa to około 3 do 4 dni. Na marginesie trzeba podkreślić, że wbrew ogólnemu u nas mniemaniu, szybkość na drogach alpejskich jest wynikiem doskonałego opanowania techniki, umiejętności zapracowania taktycznego wspinaczki, dobrania odpowiednich warunków oraz doskonałej kondycji — a nie będzie zależeć, jeśli chodzi o naszych alpinistów, od „biegania“ po Tatrach.

Również przykładem braku jeszcze odpowiedniego doświadczenia alpejskiego, a stąd niewłaściwej oceny warunków, było przejście pn.-zach. ściany Ochsa, trwające 2½ dnia, gdy tymczasem przewodnik podaje czas 9,5 godz. oraz wejście na Aig. Verte.

Niepokojącą jest lekkomyślność w narażaniu życia, dająca się zauważyć w czasie obozów, zresztą również bardzo charakterystyczna i w Tatrach oraz lekceważenie asekuracji, zwłaszcza na lodowcach, jak i beźmyślność i beztroška przy poruszaniu się po nich.

Nastawianie się wyłącznie na pokonywanie najpoważniejszych dróg alpejskich, co szczególnie zaznaczyło się w grupie „Francja I“, przy zupełnym lekceważeniu dróg łatwiejszych, ale również pięknych i o większej gwarancji bezpieczeństwa, jak i wejść na szczyty czterotysieczne, wynikało z wytworzonej atmosfery. Była to atmosfera gorączki i zdenerwowania, powstała w następstwie przekonania, że od uzyskanych wyników zależy udział w następnych wyjazdach. Pobudzało to do niezdrowej rywalizacji, rodziło postawę — pokazania się za wszelką cenę jakimś oszałamiającym wynikiem. Wynikiem potrzebnym dla utrzymania się w czołówce, a nie wypływającym jedynie z samej chęci posiadania ładnego przejścia. Przyczyn powstania takiej atmosfery trzeba się doszukiwać w stanowisku zajmowanym przez Komisję Sportową ZG KW, kładącą przesadny nacisk na czyn i uważającą go za wyłączną miarę walorów alpinistycznych ludzi.

Atmosfera tej niezdrowej rywalizacji, hamowana nieco w innych grupach poważniejszym podejściem do wspinaczki ich członków, wystąpiła jaskrawo w grupie „Francja I“ na skutek niewłaściwego doboru uczestników, przeważnie zbyt młodych i o wygórowanych ambicjach, jak i przez niewłaściwy wybór kierownictwa.

Groźnym ostrzeżeniem jest powtórzenie się i w tym sezonie alpejskim wypadku poślizgnięcia się (na Ochsie), a nie można wykluczyć, że tragiczna śmierć grupy Grońskiego miała też tę przyczynę. Jeśli weźmie się tu pod uwagę i wypadki tatrzańskie tego rodzaju, jakie miały miejsce w ubiegłym roku, to jest to groźne memento pod adresem Klubu, które wymaga poważnego zastanowienia się nad sposobami zapobieżenia im.

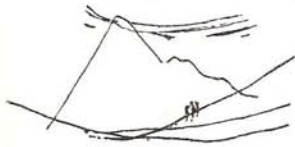
Wielokrotnie podkreślane tu słabe przygotowanie kondycyjne jest nader trudnym zagadnieniem — przygotowawcze obozy tatrzańskie mogłyby tu spełnić pożądaną rolę, gdyby nie to, że uczestnicy wyjazdów alpejskich, ze względu na pracę zawodową, zwykle nie dysponują dostateczną ilością wolnego czasu, by wziąć w nich udział. Również dające się zauważyć słabe przygotowanie teoretyczne, podobnie jak w roku 1956, da się wytłumaczyć trudnością w dostępie do potrzebnej literatury zagranicznej.

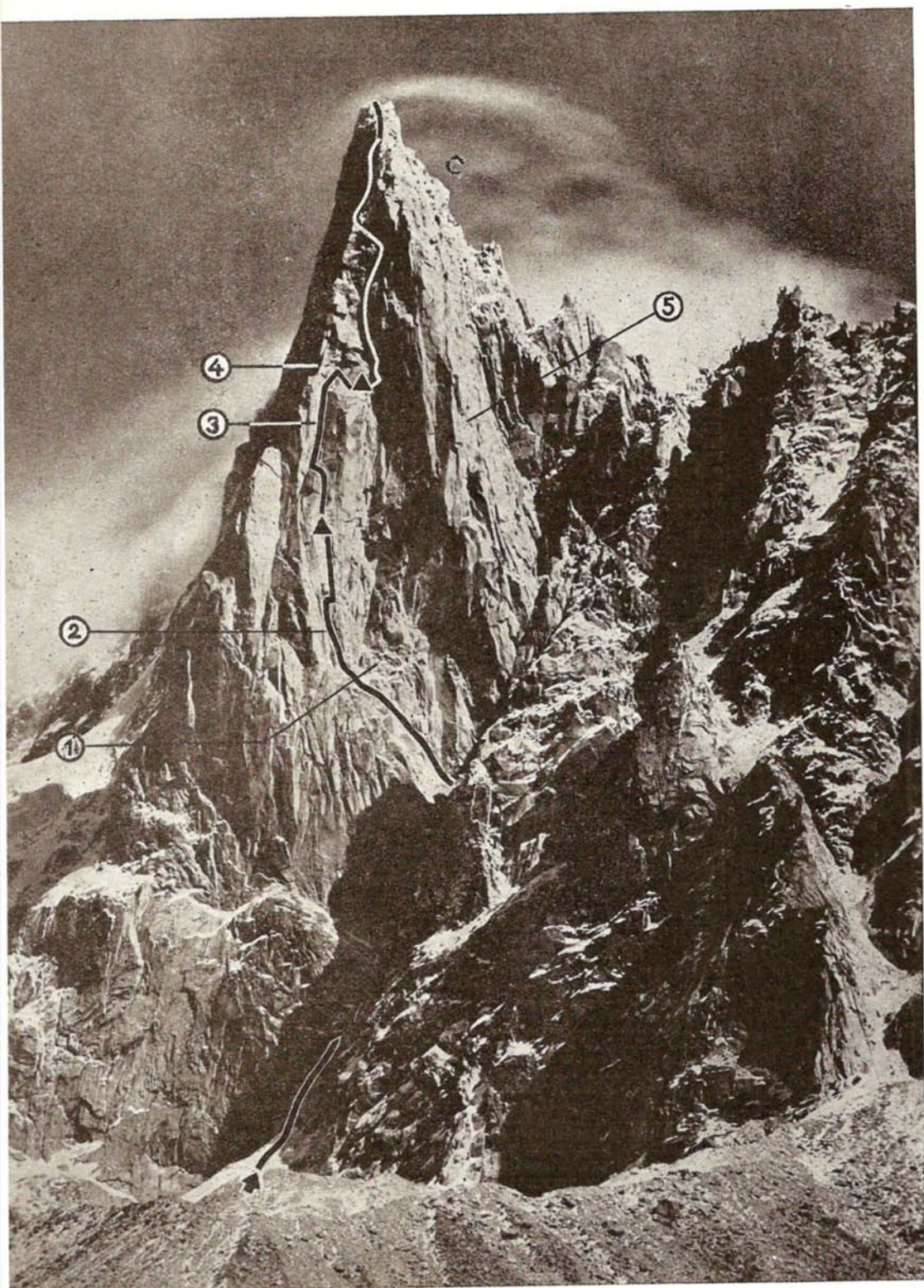
Kończąc ocenę wyników obozów należałoby jeszcze postawić pytanie: czy nastawianie się na pokonywanie w Alpach dróg stojących dziś na granicy naszych możliwości, tak ze względu na przygotowanie jak i małe obycie z Alpami, jest słuszne, czy aby nie jest przedwczesne i nie mija się z celami i zadaniami naszego ruchu wysokogórskiego. Pamiętać trzeba również, że przeprowadzenie akcji ratunkowej w razie wypadku na tak poważnych drogach, może pociągnąć za sobą znaczne koszty finansowe i to w dewizach, na co Klubu Wysokogórskiego nie stać.

Zasadę organizowania obozów pod namiotami uważałbym nadal za słuszną, pomimo szeregu zastrzeżeń, wysuwanych przez niektórych kierowników. Nie dostrzegli oni, że niewygody obozów, utrudniające dobry wypoczynek po wspinaczkach, były spowodowane przede wszystkim złym ich wyposażeniem. Było to następstwem przygotowywania obozów, jak zwykle, w ostatniej chwili oraz zlekceważenia potrzeby zabrania tak podstawowego sprzętu obozowego, jak stoły, krzeselka i odpowiednie wyposażenie kuchni. W praktyce życia obozowego nie tylko odczuwano to dotkliwie, ale sposób żywienia się w obozie, namioty przypominające budy cygańskie, nie budziły zachwytu o cudzoziemców na placach campingowych. Odpowiednie wyposażenie obozów na pewno zapewniłoby dostatecznie wygodne warunki pobytu, a sposób ten jest bardzo tani, co dziś odgrywa ważną rolę w naszej ciężkiej sytuacji finansowej.

Zywność w większej części przywieziono z kraju dokupując na miejscu tylko tę, której przywóz był niewygodny lub się nie kalkulował. Dobór żywności, zakupionej w kraju przez grupy w ostatniej chwili i bez gruntownego przemyślenia, nie we wszystkim był właściwy, przy czym bardzo różnie przedstawiało się to w poszczególnych grupach, w zależności od staranności w przygotowaniu. W efekcie końcowym dało się to nazbyt dotkliwie odczuć w czasie trwania obozów.

Organizacja obozów polegała na tworzeniu samodzielnie dobierających się zespołów wspinaczkowych, które udawały się na kilkudniowy pobyt do schronisk górskich i stamtąd dopiero dokonywały wejść. Same obozy położone były stosunkowo nisko, w okolicy dużych ośrodków letniskowych, jak Chamonix, Grindelwald, Zermatt, co umożliwiało wygodniejszy wypoczynek, odprężenie po okresie pobytu w terenie skalno-lodowym oraz łat-





W zachodniej ścianie Dru

Jan Długosz

PRZEJŚCIE zachodniej ściany Dru przez zespół polski wzbudziło u nas zainteresowanie tą ścianą, bardzo wysoko klasyfikowaną przez alpinistów francuskich. Wyraz ich opinii daje zamieszczony obok artykuł jednego z uczestników polskiego przejścia. Ostatnio Austriacy Diether Marchart i Walter Philippo dokonaniu 9 przejścia Zachodniej Dru w dniach 8 i 9 sierpnia 1957 r., w ogłoszonym artykule w *Osterreichische Alpenzeitung*, zakwestionowali jej pozycję i podali krytykę ocenę Magnone'a. Ich zdaniem trudności ściany mieszczą się wprawdzie w wielkości w górnym zakresie skał trudności, ale nawet w kluczowych miejscach nie dorównują spotykanym na najtrudniejszych drogach w Dolomitach. W końcowej konkluzji dochodzą do wniosku, że wprawdzie przez przejście zach. ściany Dru dokonano wejścia na wielką skałę, ale nie powstała droga, która by ze względu na trudności, czas trwania i rodzaj sztucznych ułatwień stanowiła przewrót w alpinizmie. Ocena drogi na Zachodniej Dru zostaje więc problemem owartym (Red.).

Zachodnia ściana Aiguille du Petit Dru (3733 m). Drogę wrysowano linią ciągłą, a strzałką oznaczono wejście w ścianę u wylotu wielkiego kuluaru. 1 — górny taras; 2 — rysa Vignesa; 3 — 90-metrowe zacięcie; 4 — miejsce, z którego wtrawersowano w czasie pierwszego przejścia w 1952 roku ze ściany północnej do górnej części zachodniej; 5 — pd.-zachodni filar, którym prowadzi droga W. Bonattiego z 1955 roku. Trójkątem oznaczono miejsca biwaków grupy polskiej w czasie przejścia w 1957 roku. — Jansol, Chambery

Kiedy w czerwcu ubiegłego roku Marek Stefański tłumaczył w Morskim Oku fragmenty książki Magnone'a „La Face W des Drus”¹ licznemu gronu słuchaczy, a Zbyszek Skoczyła spełniając rolę spikera streszczał początek napływającym ciągle amatorom mocnych wrażeń — nie przypuszczałem, że tak prędko, bo niewiele ponad 30 dni, będę mógł stwierdzić w jakim stopniu opis w książce pokrywał się z prawdą.

Nieustanne trudności, niezwykle niebezpieczne od kamiennych lawin dolne partie ściany, kłopoty z wycofaniem, zdjęcia przedstawiające monstrialne wprost przewieszki, płyty, zacięcia, nieprawdopodobnie wyglądające wahadło linowe, a dalej opis drogi pełnej takich fragmentów jak: 40 metrów w górę w zupełnej ekspozycji, skrajnie trudno, podciąg... Kilka takich opisów, jak na przykład: w trakcie wycyfowania się Adrien Dagory odjechał od skały, a mając tylko jedną pętlę Prusika, nie mógł wrócić z powrotem i cudem tylko uniknął katastrofy — zupełnie odebrały mi ochotę na bliższe zapoznanie się z tak „miłą” ścianą.

Planowałem północny filar Walkera na Grandes Jorasses, grań Peutérey, nawet drogę Vitaliego i Rattiego na Aiguille Noire de Peutérey, mającą jak najgorszą opinię, ale na zachodnie urwisko Dru nie miałem ochoty.

Na szczęście pamięć ludzka ma to do siebie, że z biegiem czasu wrażenia błędna, a jeśli opis początkowo przerażający czyta się przez dwa tygodnie dwa razy dziennie, to jakoś dziwnie powzednie.

Prócz tego sam czubek Aig. du Dru widziany z naszego obozu wcale tak strasznie z daleka nie wyglądał — postanowiliśmy więc spróbować.

Jaką wartość posiada dla Francuzów przejście tej ściany, mieliśmy przekonać się dopiero po powrocie. Na razie, zgodna opinia instruktorów z Ecole Nationale d'Alpinisme et de Ski i wszystkich poznanych kolegów francuskich, określała pomysł jako zupełnie zwariowany, gdyż w obecnych warunkach — ich zdaniem — zachodnia ściana Petit Dru jest w ogóle nie do przejścia, a poza tym i tak byśmy jej nie zrobili.

Opinia ta jeszcze bardziej pobudziła nasz zapał, a ponieważ na ścianach północnych było jeszcze gorzej, natomiast grań Peutérey zajęła już „konkurencja”, nie chcąc po wielkich planach wrócić do kraju z niczym, trzeba było zaryzykować.

30 lipca, z duszą na ramieniu — biwakowaliśmy już pod ścianą, na buli Le Rognon, modląc się w sekrecie, by jutro lało i można byłoby z czystym sumieniem i minami bohaterów wrócić do obozu.

Niestety, gwiazdy były tak blisko, jak nigdy chyba dotąd — tak przynajmniej mi się wydawało. Hen, na horyzoncie ginęły ostatnie chmury, a wkoło rozciągało się morze liliowo-szarych szczytów. W dole pulsowało życie — w Chamonix poruszały się światełka samochodów, kolorowe wężyki bliżej nieokreślonych reklam zdawały się mówić: a widzicie, po co takie zwariowane pomysły? Nie lepiej było teraz siedzieć w przytulnej kawiarence, popijając musujące „Pschitt” i wrzuciwszy 20 franków do „maszyny grającej”, zachwycać się niskimi tonami Becheta w dowolnym „Little Flower”?. — Takie rozmowy ze światełkami powtarzały się jeszcze przez następne dwie noce coraz gwałtowniej, obfitując już w akcenty złości. Tym razem była to tylko pogawędka przed zaśnięciem, później — długie, całonocne przekomarzenie, przerywane tylko gwałtownymi dreszczami i zgrzytaniem zębów.

Nie chciałbym tu opisywać następnych czterech dni, łatwo je sobie wyobrazić mieszając takie słowa jak: strach, zmęczenie, głód, przemoczone ubrania, zimno, nieprzespane biwaki, nieustannie skrajne trudności, przewieszki, trawersy, zacięcia, kominy, lód, zjazd. Proszę to wszystko w należytej proporcji zestawzić, przyprawić wyobraźnią a obraz pojawi się sam.

Zadne, nawet najlepsze opisy, nie oddadzą tych chwil, które są naszą nieodłączną własnością. Czy potrafię opisać, co czułem pokonując skrajnie trudną „Rysę Vignesa” — 15 metrów bez haka? Właściwie nic specjalnego, nie było na to czasu, wiedziałem tylko, że nie wolno mi spaść — oto wszystko, a jednak pomiędzy tym suchym stwierdzeniem, a tamtą chwilą jest taka przepaść, jak pomiędzy „piosenką o mojej Warszawie”, a III Symfonią Szymanowskiego.

Fakt, że byliśmy, przeszliśmy i żyjemy...

Zamiast tej całej jednostajnej procedury wolę przedstawić jak najbardziej wyraziście scenierię i opowiedzieć nieco o dziejach zdobywania tej ściany.

Zachodnia ściana Dru, 1100 metrów wysokości, o ponad 80° nachyleniu, zbliża się do idealnego pionu i kulminuje w niższym z dwu wierzchołków, zwanym Aiguille du Petit Dru (3733 m). Górne jej partie ze względu na kilka ogromnych barier skalnych są przewieszane i po wahadle linowym uniemożliwiają zjazd w dół.

Ścianę można podzielić na trzy części. Pierwsza zaczyna się 300-metrowym lodowym kuluarem o nachyleniu ponad 50°, niebezpiecznym ze względu na częste lawiny kamienne i poprzez dwa ogromne, zasłane kompleksami bloków skalnych tarasy, ciągnie się aż do litej części środkowej. Partia ta 450-merowej wysokości jest raczej niebezpieczna niż ciężka, a odcinki skalne są przeważnie nisko nadzwyczaj trudne.

O drugiej, kluczowej części ściany, długości 300 metrów można powiedzieć, że z chwilą wejścia w nią, pożegnaliśmy się z ziemią i na porządne, wygodne stanie trzeba będzie poczekać aż do końca. Teren bez przerwy o skrajnych trudnościach. Z około 50 wyciągów na Dru, prawie 30 zaliczyć trzeba do ekstremalnie trudnych technicznie. Najtrudniejsze miejsca, to „Rysa Vignesa”, ścianka z czterdziestometrową szczeliną, pokonywaną podciąganiem z pomocą drewnianych kółków, przewieszka z kilkumetrowym dachem, zamykająca niewielki komin przed wejściem na szczyt wielkiej kulisy i zaczynające się od niej 90-metrowe zacięcie w górze, z wahadłem linowym, kończą drugą część. Prócz tego naliczyłem w opisie jeszcze wiele miejsc oznaczonych jako V sup, V, lub dla podciągu A₁ i A₂.

Wreszcie trzecia 350-metrowa część rozpoczyna się od małej platformy po wahadle linowym, 250 metrów długą depresją i poprzez północną ścianę wyprowadza na szczyt. Część ta, o bardzo wielkich trudnościach, posiada bowiem jedno miejsce w skali VI i wiele w skali V sup. i V, nie jest już jednak tak eksponowana.

Po wyjściu na północną ścianę trudności maleją, dopiero pod samym szczytem niespodziewanie pojawia się jeszcze jedna szóstka.

Jeśli chodzi o miejsca biwakowe, to na całej ścianie jest ich pięć takich, gdzie możliwy jest biwak na siedząco.

Tak by przedstawiały się ciekawostki techniczne.

Porównując trudności z występującymi u nas w Tatrach wydaje mi się, że jedynie „wariant R” na wschodniej ścianie Mnicha jest miejscami trudniejszy. Nagromadzenie ich jednak jest na Dru tak wielkie, że tatrzańskie „ausery” nie wytrzymują tu porównania.

Przechodząc do omówienia dziejów zdobywania tej ściany, zacząć może od wypowiedzi Stanisława Grońskiego, jako dość typowej dla alpinistów lat dawnych. Zapytany dlaczego kierownik grupy zezwolił na próbę atakowania zachodniej ściany Petit Dru, mimo że jest to właściwie droga skalna — w planie były raczej drogi lodowe — odpowiedział: *Bo widzicie — Zachodnia Dru to coś jedynego w swoim rodzaju, odwieczny symbol niemoż-*

Osmege przejścia zachodniej ściany Aiguille du Petit Dru dokonali: Stanisław Biel, Jan Długosz i Czesław Momatiuk w dniach od 31 lipca do 2 sierpnia 1957 r.

Z trzech biwaków, dwa spędzono w ścianie (w pozycji siedzącej, mokro), trzeci w drodze zejściowej. Wymarsz pierwszego dnia o godz. 3.30, biwak założono o 20.30; drugiego o 4.30, biwak o 21.00; trzeciego o 5.00, szczyt osiągnięto o 16.00, biwak o 21.30. Razem 45 godzin wspinaczki do wierzchołka i 12 w zejściu.

Sprzęt: dwie liny nylonowe, zjazdowe (typu „Viking” — 70 m i francuska — 75 m), 8 kółków, 28 karabinków, 30 haków z lekkiego metalu, 1 czekan, 1 para raków, 3 młotki, 2 kurtki puchowe, 1 płachta jednoosobowa z igelitą, jedna para pantofli mansonowych (nieużywane), jedna para pionerek (używane tylko w jednym dniu, niepotrzebne), 2 plecaki, jedna linika pomocnicza — 40 m, 9 pętli nylonowych, 10 pętli zjazdowych konopnych, opatrunek osobisty.

Żywność: 4 tuby koncentratu owocowego z cukrem, 6 tub mleka skondensowanego z cukrem, 6 tabliczek czekolady, 1/2 kg landrynek, puszka makrel marynowanych, 2 paczki „pumpernika”, 1 kg pomarańcz i kilka cytryn, półkilogramowa puszka wotowiny, 1/2 kg sera i cukru (wyrzucone po pierwszym biwaku).

Szczególnie silnie odczuwaliśmy pragnienie, gdyż nie zabraliśmy ze sobą kuchenki turystycznej. Również zestaw żywności okazał się nie wystarczający, tak, że już trzeciego dnia oraz podczas zejścia, właściwie jej brakło i drogę ukończyliśmy bardzo wyczerpani. Garnek gorącego mleka i dwugodzinny odpoczynek w schronisku Charleta na Lodowcu Charpoua, postawił nas jednak na nogi i do obozu wróciliśmy w dobrej formie.

Sprzęt biwakowy — z wyjątkiem tzw. u nas popularnie „antydeszczów” gumowych (zastępujących skafandry), które zdały dobrze egzamin — niezbyt dobry. Konieczne widać się użycie lekkich nóg stonia i jednoosobowych krótkich płacht biwakowych.

liwości, ideał góry niepokonanej Malloryego. To jak szklana góra z bajek Grimma. Jeszcze dawno przed wojną, kiedy byłem w Alpach — kiedy niezdojdyto jeszcze ani Walkera, ani Eigeru — mówiono, że jest to tylko kwestią czasu, prędzej czy później muszą paść. Natomiast o Zachodniej Dru nikt nawet nie dyskutował, uważano bowiem za absolutnie pewne, że nikt nigdy tego nie zrobi.

W wymienionej na początku książce Magnone'a przytoczone są jako motto do części pierwszej słowa Lucien Devies, prezesa Fédération Française de la Montagne, wypowiedziane z okazji zdobycia w 1938 roku pn. ściany Eigeru i filaru Walkera:

*Poursuivre pendant trois jours, et malgré l'arrivée de la tempête, des efforts considérables, voilà qui donne une idée magnifique de ce que l'homme est aujourd'hui devenu capable de tirer de lui-même en haute montagne. Voilà ce qui compte à nos yeux. Qu'importe que l'Eiger et la Walker ne constituent pas une révolution en matière d'alpinisme et qu'un nouveau pas en avant ne sera techniquement marqué que lorsqu'on triomphera de la Face Ouest des Drus.*²

I nie minął rok czasu, kiedy dwaj pirenejsi Mailly i Cazaley podjęli śmiałą próbę ataku, rozpoczynając tym samym historię zdobywania tej ściany. Była to typowa improwizacja nie poparta gruntowną znajomością terenu. Po przejściu kuluaru i tarasów, trudności partii kluczowej okazały się tak wielkie, że zepchnęły upartą dwójkę w kierunku ściany północnej. Próba wtrawersowania do ogromnego zacięcia wyprowadzającego zresztą w efekcie na półoną stronę, nie dała rezultatu.

W roku 1945 dwójka marsylska Livanos i Magol nie osiągnęła nawet tarasów, ale w Chamonix zaczęto coraz bardziej wierzyć w możliwość zwycięstwa.

W latach 1946—47 w akcję wkracza słynny Gaston Rébuffat. W pierwszej mało znanej próbie z Jean Save de Beaurecuell dochodzi do górnych tarasów, w drugiej z późniejszym narciarskim mistrzem świata — James Couttet, atakuje środkową część, dokładnie w linii spadku wierzchołka. W tym miejscu ściana jest najbardziej przewieszona i niedostępna, próba kończy się więc po 30 metrach.

Rok 1949 jest rokiem przełomowym, cała czołówka francuska stawia sobie jako najwyższy cel pokonanie niedostępnego urwiska. Do boju ruszają dwa konkurencyjne zespoły: Marsylczycy — G. Livanos i R. Gabriel i Paryżanie — M. Schatz i J. Couzy, późniejszy zdobywca Makalu. Próby idą śladem Rébuffata, diretysimają ściany. Jedynym efektem dwóch ataków jest zdobycie około 80 metrów terenu i zniechęcenie do dalszej akcji.

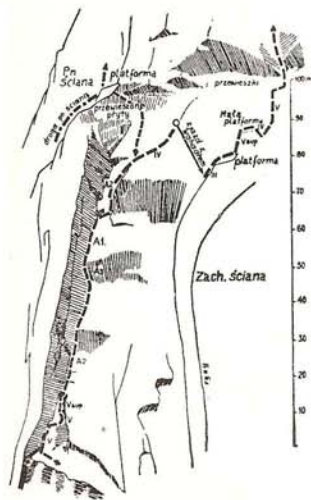
W tym samym czasie powstaje jeszcze jedna, najgroźniejsza chyba koalicja: Magnone, Berardini, Dagory i Laine, która pilnie trenuje w arcytrudnych skałkach Fontainebleau pod Paryżem.

W roku 1950 ściana znajduje się w centrum najzacieśzszej rywalizacji i zainteresowania całej Francji. Walka o pierwszeństwo toczy się pomiędzy Liończykami: Vignes, Dubost, Guenot, Malpelat i Paret, a Paryżanami: Magnone, Berardini, Dagory, Laine i Bastien. Owocem czterech prób, siedmiu biwaków i czternastu dni spędzonych w ścianie, było znalezienie właściwej drogi i pokonanie 120 metrów niedostępnych stromizm.

Bohaterem sezonu był Gilbert Vignes uważany za najlepszego dotychczas wspinacza francuskiego. W ciężkich zmaganiach ze skałą i niepokodą, wykruzały się siły zdobywców i oba konkurencyjne zespoły połączyły swoje wysiłki, tocząc pod koniec, chwilami dramatyczne zmagania, ramię przy ramieniu.

Rok 1950 dowiódł ostatecznie, jak zreasumował to nieco później Pierre Allain w swojej książce „Alpinisme et Compétition”, że

² W tłumaczeniu: „Zdobywać się bez przerwy w ciągu trzech dni i mimo nadejścia burzy, na wielkie wysiłki — oto wspaniały obraz tego, co potrafi dziś dać człowiek w górach. To właśnie ma wartość w naszych oczach. Mniejsza z tym, że Eiger i Walker nie stanowią przewrotu w alpinizmie i że nowy krok naprzód w dziedzinie jego techniki nie będzie zrobiony, póki nie pokona się Zachodniej Ściany Drus”.



90-metrowe zacięcie, jeden z kluczowych fragmentów drogi. Na rysunku oznaczono również trawers z platformy w północnej ścianie do omawianej drogi oraz cyframi i literami (A1, A2, A3) pokonywanych techniką sztucznych ułatwień. — Z książki „La Face W des Drus”.

droga w dolnej partii idealnie w linii spadku wierzchołka — jest niemożliwa.

Jedyna możliwość pokonania środkowej części ściany, spenetrowana przez Vignesa i Berardiniego, biegnie z tarasów trochę w lewo od diretissimy do 200-metrowej depresji, momentami zanikającej w rysach i przewieszkach, a wyprowadzającej na wierzchołek wielkiej kulisy. Stąd droga biegnie 90-metrowym gładkim płytowym zacięciem, by wreszcie trawersem w prawo wejść w ogromny, ciągnący się już do końca ściany wyłom w linii monstralnych przewieszek, idealnie środkiem.

Jesienią Zachodnia Dru, zaniepokojona sukcesami swoich dręczycieli, zdobyła się na ostatni wysiłek pozbycia się prześladowców. Nagłe skoki temperatury minionego lata naruszyły trwałość monolitycznych płyt. Pewnego dnia nastąpiła katastrofa. Potwornych rozmiarów płyta runęła w dół. Tysiące ton granitu zmiotły wszystko na swojej drodze i zmieniły zupełnie trudności na tarasach, znacznie je zwiększając.

Rok następny był ostatnim sezonem triumfów Dru. Berardini, Dagory, Laine i weteran Schätz nie dotarli nawet do końca tarasów. Zawalone świeżymi zwalami kamiennych bloków okazały się przeszkodą nie do pokonania. Każdy krok naprzód powodował groźne w skutkach lawiny kamienne. Zachodnia Dru triumfowała.

W tym samym czasie w dalekich Himalajach — Louis Dubost na próżno wraz z Tensingiem wypatrywali z wierzchołka Nanda Devi East Rogera Duplata i Gilberta Vignesa, którzy po wejściu na szczyt Nanda Devi podjęli próbę bez precedensu w historii himalaizmu, przetrawersowania kilkukilometrowej grani łączącej oba wierzchołki.

Zachodnia Dru straciła swojego najgroźniejszego przeciwnika.

Ale nie jedyne. Na przeciwnym krańcu kuli ziemskiej, w mroźnej Patagonii — Guido Magnone, razem z Lionelem Terray stanął 2 lutego na granitowej piramidzie Fitz Roy. W tym momencie — jak pisze — wróciła mu wiara, że zwycięstwo nad Dru leży w ludzkich możliwościach.

Wreszcie nadszedł rozstrzygający rok 1952. W pięciodniowych zaciętych zmaganiach (od 1 do 5 lipca) uparta trójka: Magnone, Berardini i Dagory sforsowała pierwszych 200 metrów kluczowej partii ściany i urągając prawu grawitacji 90-metrowe zacięcie. Ale Dru nie skapitulowała, trawers do wyłomu między przewieszkami okazał się nie do pokonania i znów dziesiątki zjazdów w powietrzu zmuszały do nieustannego napięcia uwagi, nie pozwalały myśleć o nowej porażce, tym razem ostatniej.

I wreszcie ostatni akord zabrzmiał w dniach od 16 do 18 lipca. Niemordowana trójka wzmocniona Marcelem Laine wtrawersowała z północnej ściany, wiercąc kilkanaście otworów w gładkiej płycie, do najwyższego punktu osiągniętego podczas poprzedniej próby. Tym razem wahadło linowe rozwiązało sytuację.

18 lipca o szóstej popołudniu czterech ludzi ścisnęło sobie ręce na wierzchołku Petit Dru.

Dziesięcioletnie zmagania zakończyły się nowym sukcesem człowieka. Rekord trudności wywindowany został jeszcze wyżej.

O tym, że zaskoczyliśmy francuskie koła alpinistyczne, przekonaliśmy się zaraz po powrocie. Stale zaczepiano nas na ulicach Chamonix pytając, czy to my jesteśmy tymi Polakami, którzy zrobili la Face West. W sklepach sportowych udzielano nam rabatu, właściciel hotelu Montenvers podejmował nas winem, a jeden z najlepszych alpinistów francuskich André Contamin powiedział: *Wasze Tatry muszą być bardzo trudne, skoro wychodzą z nich tacy alpinści.*

W chwili, kiedy piszę te słowa, znów staje mi przed oczyma ta ściana kolos; gładkie kilkusetmetrowej długości jasne płyty, zamknięte pierścieniami ogromnych przewieszek, upstrzone ogromnymi rudawymi plamami odbijającymi czerwonawe światło zachodzącego słońca. Wzrok z prerażeniem i beznadziejnie ślizgał się po tych niedostępnych aż po wierzchołek zerwach i jedynej pociętej dla nas była wówczas myśl, że jakoś jednak ludzie tędy przeszli.

Alpy Berneńskie:

U góry: widok z drogi na Eiger — na pd-zachód. Od lewej — Rottalhorn (3969 m), Jungfrau (4158 m), Wengen Jungfrau (4090 m), prz. Silberlücke, Silberhorn (3695 m). — Z. Rubinowski

U dołu: Widok z grani Fiescherhornu na południe. Od lewej — Grünhorn (4043 m), Wannenhorn (3905 m), Schönbühlhorn (3853 m), Fiescher Gabelhorn (3875 m), Kamm (3866 m). — T. Nowicki

Od czasu zdobycia zachodniej ściany Dru, ambicją najlepszych alpinistów było przejść to ucho igielne skalnej akrobatyki.

Drugiego przejścia dokonali: P. Lenain, R. Gervais, A. Billet i M. Grassin — 27, 28, 29 lipca 1954 roku. W czasie burzy, która zaskoczyła ich w zejściu, ginie Lenain.

Trzecie przejście zrobione zostało również w 1954 roku przez J. Brouna i D. Whillansa w dniach 3, 4, 5 sierpnia.

Czwarte — J. Couzy i R. Desmaison w dniach 23, 24, 25 lipca 1955 roku.

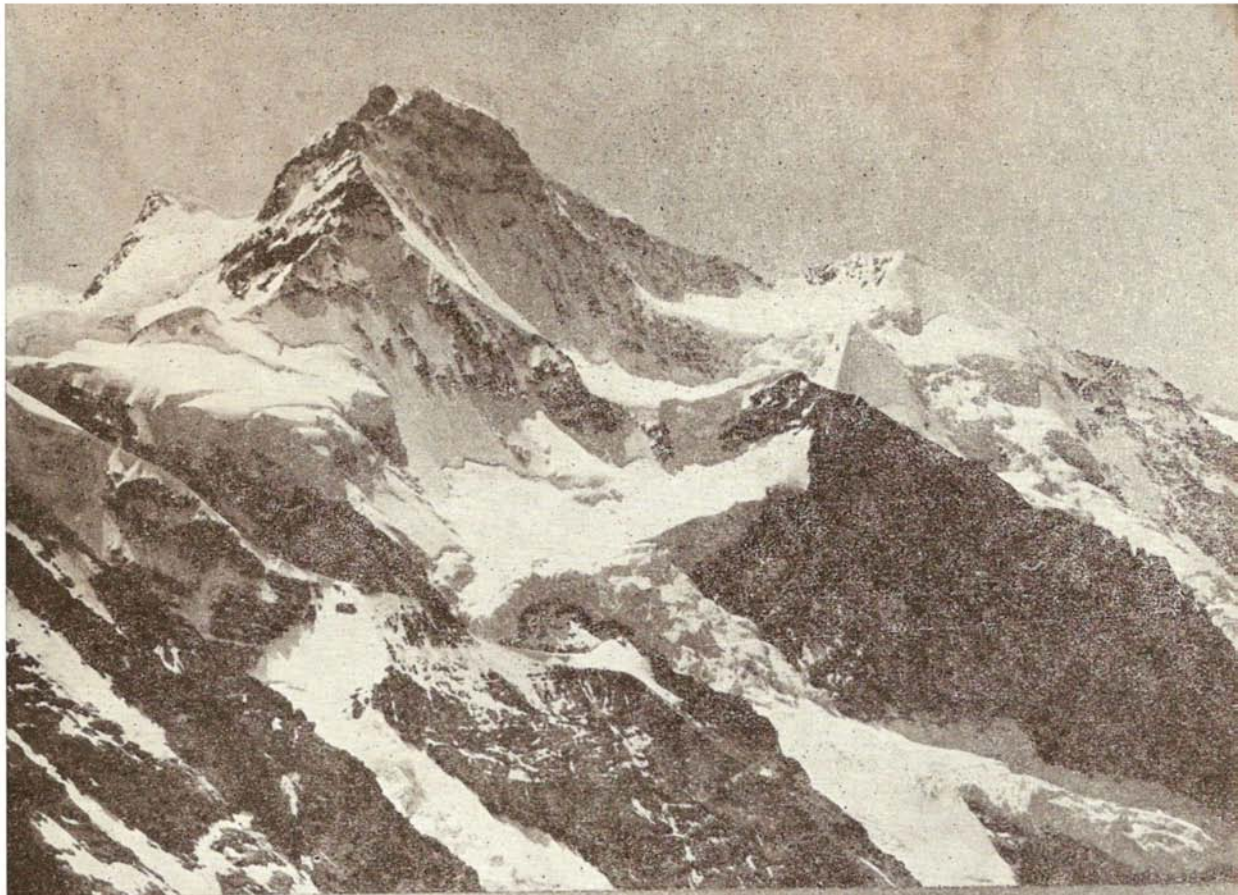
Piąte — J. Lehne i S. Lowe w dniach 9, 10, 11 sierpnia 1956 roku.

Szóste — H. Buhl i M. Schmuck w dniach 10, 11 sierpnia 1956 roku.

Pierwsze zimowe — J. Couzy i R. Desmaison w dniach 10, 11, 12, 13, 14 marca 1957 roku, przy użyciu nowoczesnego sprzętu opartego na wzorach himalajskich.

Siódme — O. Koupal i R. Kuchař w dniach 31 lipca i 1 sierpnia 1957 roku.

Ósme — zrobione przez zespół polski (Dwójka czeska weszła w ścianę wraz z Polakami, po czym posuwając się stale przed naszym zespołem, osiągnęła szczyt kilka godzin wcześniej. W tym samym czasie Francuzi: R. Paragot, P. Lesseur, M. Grassin i M. Bron przeszli drogę Bonattiego na pd-zach. filarze. Pomogli oni naszemu zespołowi w odnalezieniu we mgłę zejścia z wierzchołka — red.).



Fiescherhorn przy księżycu

Jerzy Hajdukiewicz

Idziemy asfaltową drogą między ostatnimi sklepami, bazarami i hotelami. Przystajemy.

— Nie, to nie tu — i znów idziemy trochę dalej. Przystajemy i znowu stwierdzamy, że to jeszcze nie tu.

I wreszcie pod murkiem protestanckiego cmentarza decydujemy się, że jest to chyba najdogodniejsze miejsce.

Podniosłem „Zeissa” do oczu. Fragmenty ściany skoczyły ku mnie z sześciokrotną siłą zbliżenia lornetki: żebra skalne, żłeby, flanka lodowa, seraki w lewej, podszczytowej partii i wielkie, podłużne nawisy lodowe pod granią, a wreszcie skały samego już szczytu. Wszystko w głębokim, świeżym puchu.

Lornetka wędruje z rąk do rąk. Potem padają wypowiedzi.

— Za dużo śniegu — twierdzi Hela, moja żona.

— Wykluczone! — dodaje Krzysztof Berbeka. — Trzeba czekać dziesięć dni, żeby te masy puchu osiadły. Żebra muszą być czysto skalne!

Wiemy jak będzie nasza droga. Welzenbach szedł lewą połacią, ale o tę nam nie chodzi. Chcemy przecież dokonać drugiego przejścia drogi Reissa, Sollbergera i Reista z 1947 roku. Jest oceniona jako nadzwyczaj trudna przy wyraźnie pomyślnych warunkach. Teraz mowy nawet nie ma o jej zaatakowaniu. Nazwiska pierwszych zdobywców znane są szeroko. Reiss zdobył Lhotse (8501 m), a Reist dokonał trzeciego wejścia na Everest w czasie Szwajcarskiej Wyprawy w 1956 roku. Obaj przeszli prawie wszystkie największe ściany Alp Berneńskich. Pod „naszą” ścianą podchodzili, względnie atakowali ją osiem razy, nim odnieśli sukces w półtoradniowej wspinaczce z biwakiem. Ostatecznie nic dziwnego. Północna ściana Fiescherhornu, zwana Fiescherwand ma 1250 metrów wysokości, a trudności skalno-lodowe aż zapraszają do wielkiej gry.

Chowamy lornetkę i oglądając dokładnie każdą wystawę sklepową wracamy wzduż całego Grindelwaldu do naszych namiotów. Grindelwald jak zwykle schludny, czysty, wyasfaltowany i na szwajcarską modłę stateczny. Na pierwszy rzut oka nie widzę żadnych zmian od 1946 roku.

Nasze namioty stoją na placu campingowym Bodenwald. Wypożyczyliśmy je w PTTK. Od różnokolorowych, świetnie rozpiętych, wielkich namiotów campingowych odbijają jak ubodzy krewni. Na domiar złego gdzieś tam pyszni się swym luksusem baniasty domek.auta, auta i skutery.

Przyjechaliśmy wczoraj w deszczu. Dziś wykorzystując słoneczne przejaśnienie ustawiliśmy namioty. Po zainstalowaniu się w nich poszliśmy natychmiast popatrzeć na ścianę. Oglądałem ją już nie raz, nie dwa. Z dołu z Grindelwaldu, z boku z Fieschergletscher, z góry — ze szczytu. W zimie i w lecie. Teraz przyjechałem z Zakopanego, żeby ją zdobyć.

Pogoda się ustaliła. Opalamy się leżąc przed namiotem na materacach pneumatycznych, jemy i odpoczywamy. Wejście na Mönch przez Nollen i zejście z Jungfrauoch przez Kalli — 2800 m różnicy wzniesień — dało nam niezły trening.

Nurtuje mnie jedna, uporczywa myśl. Czy koniecznie musimy iść przed Fiescherwandem jeszcze w grupę czterotysięcznych Schreckhorn — Lauteraarhorn? Tak projektowałem, ale formę już chyba złapaliśmy, a losu nie należy kusić. Pogoda może się skończyć i zostaniemy na lodzie bez poważnego wyniku. Pamiętam jak przez zbytne zwlekanie uciekła mi wschodnia ściana Mont

Blanc przez Via della Pera. Zadecydowały dosłownie dwa dni. Mielibyśmy wówczas z Janem Staszem — w 1947 roku — trzecie przejście tej drogi. Okazję trzeba chwycić w lot. Może się już nigdy nie powtórzyć.

Dzielię się swymi myślami z Krzysztofem. W końcu bierzemy lornetkę i idziemy pod murek cmentarny. W drodze powrotnej kupujemy już żywność na jutrzejszą wyprawę.

●
Podejścia w Alpach Berneńskich należą do największych w całych Alpach. Nasz obóz leży zaledwie na 950 m n.p.m. Mamy dziś dojść do miejsca biwakowego na Zäsenberg (2316 m). Plecaki wypełnione po brzegi — prowiant na 4 dni, kuchenka, śpiwory, kurtki puchowe, płachta biwakowa, materacyki, sprzęt wspinaczkowy i mnóstwo innych niezbędnych rzeczy.

Idziemy ponad dolnym lodowcem grindelwaldzkim — Unterer Grindelwaldgletscher, potem przekraczamy jego zasypane piargiem cielsko i przez wściekłą, usuwającą się spod nóg morenę łapiemy trawiaste stoki Zäsenbergu.

O czwartej po południu, zmęczeni stajemy przed miejscem biwakowym. Olbrzymi gład z lekko nachylnym okapem. Po bokach czymiś dłońmi ustawione ochronne murki kamienne. Do wody 60 metrów po poziomicy. Ileż w historii alpinizmu wiąże się z tym miejscem. Biwakowali tu Welzenbach i Tilman, Farrer, Lammer, von Schumacher, Vörg, Herman Ettner i Reist, Wolfgang Stephan... Wielcy bojownicy, którzy atakowali północną ścianę Fiescherhornu. Przychodzili i odchodzili, jako pokonani lub jako zwycięzcy, zostawiając po sobie skromne ślady w postaci murków kamiennych.

Zielona wyspa Zäsenbergu, poprzerwana oszlifowanymi lodowcem bulami skalnymi, króluje nad Unterer Grindelwaldgletscher. Kilkanaście metrów od naszego biwaku urywa się kruszyzna skalna kilkuset metrami aż hen, na lodowiec. Nad Zäsenbergiem wznosi się olbrzymi, amfiteatralny koncha Fiescherwandu. Dwukilometrowa podstawa dźwiga potężną skalno-lodową ścianę.

●
Budzik warczy o trzeciej. Po godzinie jesteśmy już w drodze. Noc jest na tyle jasna, że możemy obejść się bez światła latarki, którą przez zapomnienie zostawiliśmy i tak w Grindelwaldzie. Po dwu godzinach jesteśmy w olbrzymim, płaskim kotle lodowca u stóp ściany. Śnieg twardy jak kość. Warunki wprost idealne.

— No tak — zwracam się do Krzysztofa — wszystko w porządku, możemy więc wracać na Zäsenberg.

Krzysiek znacząco kręci palcem kółka na czole, drugim kciukiem wskazując mnie Heli. Potem pyta: — Niby dlaczego?

— Bo jest stanowczo za późno! Już szósta, górna część ściany oświetlona jest słońcem, zaraz zacznie się obstrzał lodowy. A poza tym, gdy nawet za pół godziny wejdziemy w ścianę, to do szczytu już dziś nie zdążymy. Biwak pewny i to na jednolicie nachylonej flance lodowej w górnej partii ściany, na wysokości niespełna trzech tysięcy. Poza tym nie wyczeraliśmy po wczorajszym podejściu. Pięć godzin snu to za mało.

Zostawiamy sprzęt wspinaczkowy i część prowiantu. Zabieramy tylko liny, które podłożone pod grzbiet, uzupełniają świetnie materacyki.

O ósmej jesteśmy z powrotem na Zäsenbergu. Od razu włączymy do śpiworów i śpimy do czwartej po południu. Budzą nas idący do dołu Karol Jakubowski i Tadeusz Nowicki. Mieli w dzień po nas zaatakować północno-zachodnią ścianę Ochsa (3900 m), tworzącą lewe ograniczenie Fiescherwandu. Chwila zdziwienia z powodu naszej obecności. Krótkie wyjaśnienia tłumaczą sytuację. Od razu też zabieramy się do przyrządzania kolacji. Trwa to długo, gdyż musimy się najeść i napić na zapas.

Jeszcze przed zachodem słońca wleźliśmy do śpiworów.

●
Budzik warczy tym razem o wpół do pierwszej. O drugiej wymarsz. O czwartej stajemy pod ścianą. Światło jest tak rozproszone,

że nie możemy znaleźć pozostawionych tu wczoraj rzeczy. Długo błądzimy po śladach starego lawiniska o gigantycznych rozmiarach. Nareszcie są! Teraz krótkie pożegnanie. Karol z Tadeuszem idą w lewo pod Ochsa, my prosto ku depresji między pierwszym a drugim żebram naszej ściany.

O piątej jest już na tyle jasno, że możemy wejść w ścianę. Szczelina brzeżna jest wspaniała. Górna warga wywiesza się przekornie, lecz znajdujemy od razu dogodne miejsce; wychodzimy na stromą depresję firnową. Śnieg doskonały. Od razu zaczyna się dziki wyciąg z czasem; Krzysztof, bez rąbania stopni, posuwa się szybko w górę na pełny wyciąg liny. Wbija czekan i asekuje. Teraz idzie Hela i bezpośrednio za nią ja. Oboje z plecakami. Po dojściu do Krzysztofa błyskawicznie przejmuję ubezpieczenie. I znów w górę, a potem z lekkim odchyleniem w lewo, ku pierwszym skałom drugiego żebra. Ściana ucieka nam po prostu spod nóg. Ekspozycja roślinie z minuty na minutę. Głębokie na 3 metry rynny lawinowe przechodzimy ukosem. W tej ścianie wszystko jest wielkie!

Pierwsze skałki. Nie są wcale trudne, lecz leży na nich niezwiązany, krystaliczny śnieg. Ubezpieczeni przy jedynym haku zdejmujemy raki. Piekielnie niewygodny proceder. Potem Krzysztof przechodzi skałki i znowu śnieg. Ale już bardziej miękkiej. Tempo spada. Zapadamy się po kostki.

Znowu skała. Tym razem lita, stroma i trudna. Krzysztof atakuje — pełen rozważa. Hak. Potem drugi. Nadzwyczaj trudno. Trzeci hak. Już sforsował pionowy próg. Teraz rabie czekaniem stopnie. Kawałki lodu przelatują mi koło głowy. Pac! Dostałem! Robie uniki, patrząc stale w górę. Teraz lecą kamienie, lecz już bardziej w prawo. Wreszcie Krzysztof wbija hak stanowiskowy i teraz rusza Hela. Po kwadransie przychodzi kolej na mnie. Plecak wyważa jak zwykle, ale to nic. Trzeba przejść. Trzeba wybić haki. Wreszcie docieram do towarzyszy. Było nadzwyczaj trudno i pięknie!

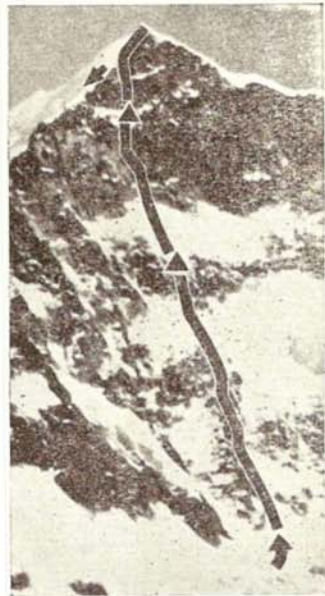
Jesteśmy na początku wąskiej depresji, wciętej w sam grzbiet drugiego żebra. Mozolne przypinanie raków w dużej ekspozycji też należy do programu. W depresji śnieg nieprzyjemny. Czasami do połowy łydki. — Gdzie ona nas wyprowadzi? Czy daleko jeszcze do jednolitej flanki firnowej, tworzącej górną połowę ściany? Idziemy depresja prosto w górę. Świat zda się deskami zabity. Nad nami beznadziejnie gładkie, świeżo przysypane śniegiem progi skalne. Podchodzimy pod nie i tu otwiera się nowa możliwość. Z odchyleniem w prawo biegnie śnieżny kominiek na grzadkę w naszym żebrze. Ciekawość, co znajduje się za tym najbliższym horyzontem, pcha nas dalej. Stajemy na siodełku w grzędzie. Dalej znowu płytka, śnieżna depresja. Pasma śniegu komunikują już chyba na pewno z flanką firnową. Ulga!

Zatrzymujemy się. Była to pierwsza i jedyna, jak się później okazało, chwila wytchnienia. Wyjmuje z plecaka puszkę soku grapefruitowego. Otwieram, dosypuję kilka łyżeczek Nescafé. Pijemy. — Boże! co za luksus! Niczym w „Europejskiej”. — Grapefruit krzepi wspaniale. Zanim zdążyliśmy z Helą wypalić papierosa. Krzysztof już przeszedł cały wyciąg liny. Jeszcze cztery wyciągi i stajemy na dolnym krańcu flanki firnowej. Hak. Bitwa o ścianę wygrana! Czyżby?

Flanka jest paskudnie stroma. Liczyliśmy, że będzie bardziej połoga niż dół ściany i pomyliliśmy się w swoich rachubach. Poza tym czeka nas długi, lekko wznoszący się trawers w lewo. Zza haka asekuje Krzysztof. Trawers przecina szereg depresji i żeberk. W depresjach lód, na żeberkach puch niezdatny do ubezpieczenia. Ekspozycja wspaniała! Sześćset metrów pod nami lśni w słońcu gigantyczna soczewka kotła lodowcowego. I to zupełnie bezpośrednio, oko nie ma na czym spocząć. Nic tylko powietrze!

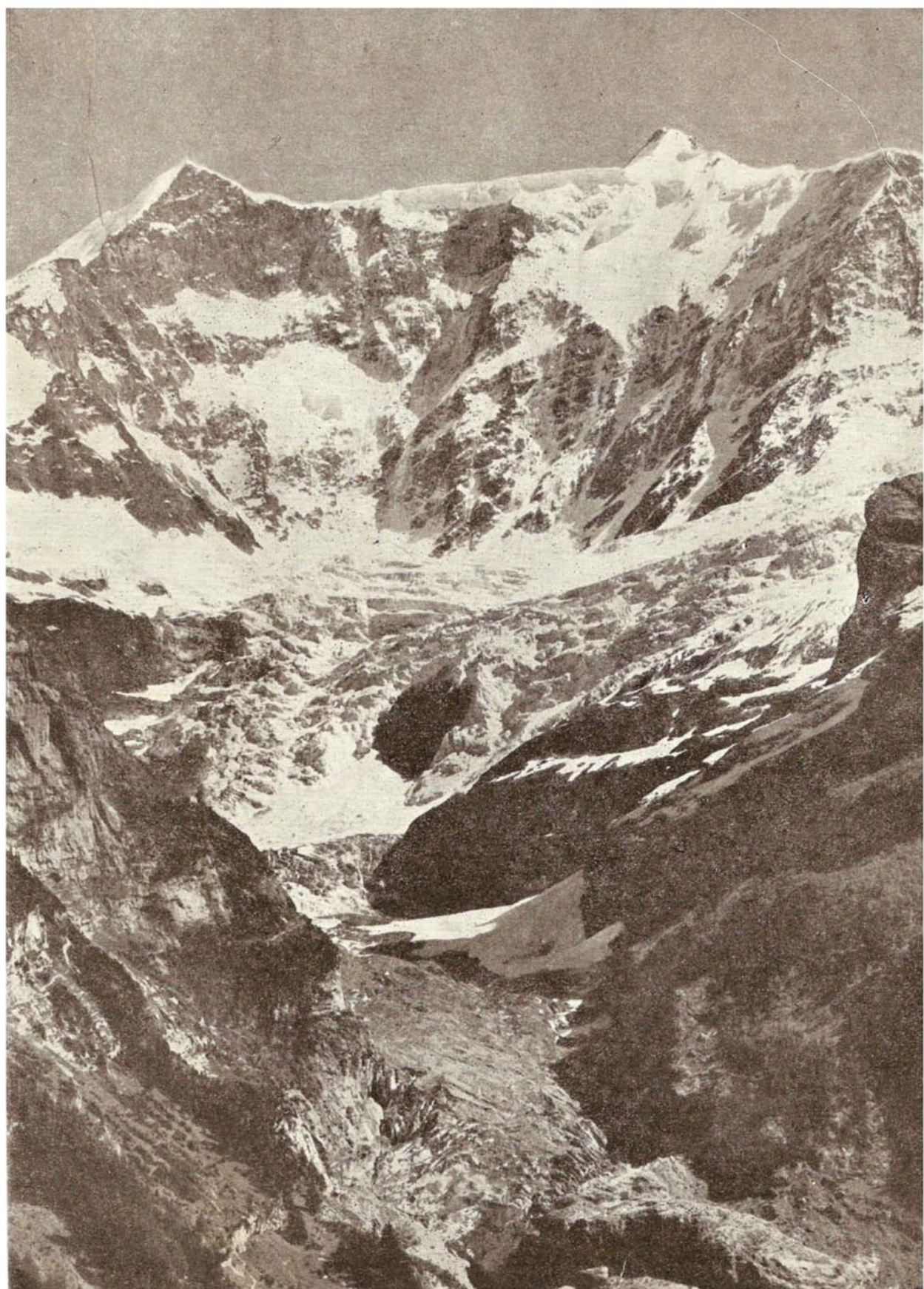
— Jest czym oddychać — zwracam się do Krzysztofa. Ten coś mruczy i rusza trawersem rąbiąc stopnie. Na pierwszym żeberku zakłada stanowisko asekuracyjne zza czekana.

Hela już przeszła. Wybijam hak. Ten, jak na złość, za każdym uderzeniem wchodzi coraz głębiej. Zostawiam więc pięknego „Simonda” na pamiętkę i ruszam.



Potężne urwisko skalne tworzą: (z prawej) pn. ściana Gross Fiescherhornu (4048 m), 1250 m wysoka — przeszli ją K. Berbeka, H. Hajdukiewiczowa i J. Hajdukiewicz w dniu 4 sierpnia 1957 r. oraz pn.-zach. ściana Ochsa (3900 m) zwanego inaczej Klein Fischerhornem. Tę ścianę pokonali w 24-godzinnej wspinaczce K. Jakubowski i T. Nowicki w dniach od 4 do 6 sierpnia 1957 r. Na zdjęciach obok wrysowano drogi wejścia, a trójkątami miejsca biwaków. — E. Schudel, Grindelwald





Wyciąg za wyciągiem zdążamy w lewo. Paskudna robota. Obsunięcie się kogokolwiek z nas, to błyskawiczna podróż całej trójki do stóp ściany. Kilka haków lodowych, kupa zwietrzałych skałek i wreszcie stajemy w otwartej już flance.

Śnieg poprawił się momentalnie. Na przednich zębach raków idziemy ostro w górę z odchyleniem w lewo, w kierunku na lodową rynnę spadającą z grani, na prawo od szczytu. Plecak zaczyna mnie męczyć, wobec czego proponuję Krzysztofowi zmianę w prowadzeniu. Ten jednak woli iść dalej niczym nie obciążony i odrzuca moją propozycję, tłumacząc to bliżej dla mnie niepojętymi względami taktycznymi.

Tempo utrzymujemy możliwie jak najlepsze. Jesteśmy zgrani w naszym zespole i nie trwonimy słów. Krzysztof wspina się na cały wyciąg liny, asekuje, a my z Helą podążamy jednocześnie. Rekordowy wyciąg trwał 7 minut z zegarkiem w rękę.

Zbliżamy się ciągle do lodowej rynny. Nad nami potwornych rozmiarów wiszą buły seraków, również z lewej strony ograniczając one rynnę równoległą do niej barierą. Ani mowy o wyprostowaniu drogi w kierunku na szczyt. Ten zresztą nie stoi nad samą ścianą. Jest odsunięty nieco na południe od punktu zwornikowego, w którym ona kulminuje.

Nareszcie rynną. Początkowo idzie dobrze. Na lodzie leży zaledwie kilka centymetrów zmrożonego śniegu, który wystarcza od biedy dla przednich, atakujących zębów raków. Śnieg jednak za traca się szybko, a lód jest beznadziejnie gładki. Hak lodowy i delikatne, oszczędne stopieńki. Łydki boją do szaleństwa. Nie ma jednak innej rady, dzień kończy się szybko, a o biwaku w tych warunkach nikt z nas nawet nie myśli.

Znowu delikatna warstewka śniegu wyzwala nas od rąbania stopni. Wystarczą tylko raki. I znowu lód, przeklęty lód. Znowu tempo spada, a odległości od grani nie jesteśmy w stanie ocenić. Przy takiej stromiznie wszelkie oceny są złudne.

Zwolna zapada zmrok. Krzysztof znajduje wąziutką szczelinę w lodzie i wkłada do niej czekan po głowicę. W ten sposób zaoszczędził sobie trudu wbicia jeszcze jednego lodowego haka. Asekuje. Potem idzie w górę. Po 15 metrach łapie dobry, nawiany i dobrze ubity śnieg. Jeszcze trzy wyciągi liny i stajemy na grani.

Dochodzi dziesiąta. Jest już dawno po zachodzie słońca. Mrok kompletny. Powoli zwijamy dziesięciomilimetrową szwajcarską linę nylonową, zostawiając na dalszą drogę pomarańczową ósemkę francuską „Jenny”. Wkładamy kurtki puchowe i wiatróvky. Do plecaków wędrują haki, młotki, karabinki.

Po starych śladach, powoli, idziemy w górę na szczyt. Nic prawie nie widać. Światło jest rozproszone. Grań śnieżna jest miejscami stroma i ostra, lecz nie sprawia żadnych trudności. Trochę skały, znowu eksponowany koń śnieżny i znowu skały. Tym razem szczyt.

Szczyt — zalany potokami księżycowego światła! Jasno jak w dzień. Rozrzutna iluminacja! W dole, niczym przedpotopowe gady, pełzają olbrzymie cielska lodowców.

Na północy, trzy tysiące metrów pod nami, iskrzą się światełka Grindelwaldu. Jest dziesiąta.

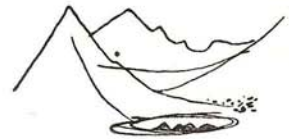
Jedenaście lat temu stałem na tym szczycie w słoneczne, wielkonoce południe. Patrzyłem w dół przez północną ścianę, przez Fiescherwand, na widniejącą 1250 metrów poniżej nieckę lodowcowego kotła, na obłą bulę Zäsenbergu, skrytą pod grubą warstwą wiosennego firnu i na zieleniąjące dopiero łąki Grindelwaldu. Jedenaście lat temu myślałem o tej wspaniałej, rozległej ścianie.

Teraz wiem, że wróciłem. Wróciłem do krainy swej młodości, żalów, niepowodzeń i cichej radości sukcesów. Dziesięć pełnych lat, najlepszych mych lat byłem oderwany od tych gór! Moich gór!

Światełka Grindelwaldu zaczynają niepokojąco mrugać i zacierać się. Czas schodzić.

Zstępujemy ku plecakom, bierzemy je na barki i powoli, nie spiesząc się wędrujemy łatwym już terenem po jakichś wytopionych śladach w dół, na Ewigschneefeld.

Wieczorny wiatr przysiadł, jest cicho i spokojnie. Nad wszystkim panuje dobre, jednostajne światło księżycy. I spokój...



ALPY, a nasze możliwości

Marek Stefański

Oszałamiające sukcesy górskie naszych kolegów, którzy dokonali przejścia zachodniej ściany Petit Dru i trawersowania grani Peutérey, rozpałiły wyobraźnię wszystkich taterników. To też z pewnością legną się w młodych głowach zuchwałe plany dokonania takich samych lub lepszych „podbojów alpejskich”. Szczególnie wśród tych, którzy jeszcze nie mieli możliwości wypróbowania swych sił w górach wyższych, trudniejszych niż Tatry.

Znam to z doświadczenia. Piszę „bom smutny i sam pełen winy”. Gdym się znalazł wraz z Marianem Bałą po raz pierwszy w sercu Alp, w roku 1956 na lodowcu Mer de Glace i gdy oczom naszym ukazała się cudowna północna ściana Grandes Jorasses, nieomal przysięgaliśmy, że za 3 tygodnie „wkosimy” filar Walkera.

Pominąwszy brak pogody i odpowiedniej kondycji, wypadek, któremu ulegliśmy na Col de la Fourche oraz fakt, że z braku dobrych warunków na ścianie, filaru tego od 3 lat nikt nie powtarzał, zdobyte przez nas w ciągu trzech tygodni doświadczenie alpinistyczne przesunęło nasz „światoburczy” plan ad calendas graecas.

Dwa lata temu jeden z doskonałych taterników snując marzenia o przyszłych wyprawach górskich, wypowiedział następujące zdanie: „Oczywiście jeśliśmy byli w Szwajcarii, to wypadaloby, żeby jakaś dwójka polska wyskoczyła na Północną Eigeru”. Zupełnie jakby chodziło o Mnicha przez piętę.

Wątpię, czy dziś taternik ten, który dziwnym zbiegiem okoliczności brał udział w letniej akcji ratunkowej na Eigerze, wypowiedziałby to zdanie tak lekko po raz drugi. Natomiast taternicy mający w tej chwili tyleż doświadczenia górskiego co wspomniany „alpinista” dwa lata temu, rozumują dziś tak jak on wówczas.

Z rozmów, które przeprowadzałem na temat Alp z kolegami, którzy dotychczas wspinali się tylko w Tatrach wynika, że ponad 90% taterników nie docenia trudności dróg alpejskich. Nie doceniają oni również kolosalnego ryzyka na jakie narażeni byli ci, którzy w ubiegłym roku uczestniczyli w tak śmiałych wejściach. Ktoś kto dokonał pięknego i ryzykownego przejścia górskiego, opowiadając o swych przeżyciach, taternickim zwyczajem albo przywdziewa „togę nonszalacji i bohaterstwa” i powiada: „Panowie, korba była potworna, ale cóż to dla nas”, albo też przez skromność, nie chcąc wychwalać swej odwagi, przemilcza groźne momenty i tym samym dewaluje drogę wobec słuchaczy. Praktycznie „tertium non datur”. Wskutek tego wątpię, czy taternicy, którzy nie byli jeszcze w Alpach, słyszeli prawdziwie obiektywne sprawozdania z wypraw.

Nie docenianie niebezpieczeństw gór wysokich przez grupę wyruszającą w Alpy, może się stać przyczyną wypadków, szczególnie gdy w niej wytworzy się psychoza: „Walker (lub tp.) za wszelką cenę”.

Poprzez niniejszy artykuł chciałbym więc „krzyknąć wielkim głosem” do początkujących alpinistów: „Alpy są wielokrotnie niebezpieczniejsze aniżeli Tatry”.

Jestem dumny z osiągnięć naszych kolegów. Dzięki temu Polacy zyskali podziw alpinistów francuskich, „porobiliśmy znajomości” wśród światowych „potęg” alpinistycznych, zawariliśmy szereg cennych przyjaźni. Polski alpinizm wszedł przebojem na arenę międzynarodową. Lecz równocześnie zapisał się czarnymi zgłoskami w kronice wypadków. Zginęło dwóch najbardziej doświadczonych alpinistów. Oczywiście tajemnicze okoliczności śmierci S. Grońskiego i jego jugosłowiańskich przyjaciół, jak również tragiczny wypadek W. Żuławskiego i S. Biela nie były skutkiem działania w szczególnie trudnym lub ryzykownym terenie. Nie wiążą się też te wypadki bezpośrednio z tematem niniejszego artykułu, nie mniej

nasz Klub Wysokogórski powinien, moim zdaniem, szczególnie teraz przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby miejsca podziwu dla dojrzałości, sprawności i odwagi polskich alpinistów nie zajęła obawa, że „znów będą wypadki, bo Polacy bawią w Chamonix”.

W oczach francuskich alpinistów nie znających dobrze naszych warunków życia, możliwości treningów i sprawności technicznej, zyskaliśmy dobre imię i podziw. Za to wśród doskonale nas znających członków organizacji par excellence amatorskiej GUMS utarło się przysłowie: „nierozważny jak Polak”. Przy tym dobrze wspinający się GUMS-owcy stoją technicznie wyżej aniżeli nasza czołówka i doświadczenie mają wielokrotnie większe, choć wyników takich jak wejście zach. ścianą Petit Dru nie mają. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że na drogi typu: północny filar Walkera, północna ściana Eigeru, czy Matterhornu, lub nawet północna ściana Petit Dru, chodzą spośród zachodnio-europejskich alpinistów tylko najlepsi zawodowcy lub tacy amatorzy, którzy nie muszą pracować. I jedni i drudzy, praktycznie całe życie spędzają w górach utrzymując się ciągle w doskonałej formie, a ponadto do każdej takiej „wystrzałowej” drogi przygotowują się starannie przez szereg miesięcy. Nie trzeba dodawać, że miesiącami całymi, a nieraz i latami wyczekują aż na danej ścianie będą możliwie najlepsze warunki. Na to wszystko nas nie stać. Wydaje mi się, że w żadnym sporcie prawdziwi amatorzy nie mają szans na dorównanie zawodowcom. Usiłowania w tym kierunku mijają się z celem jakiegokolwiek sportu. Nasi taternicy mają rację jeśli twierdzą, że „stać nas co najmniej na to samo, na co stać było naszych kolegów, którzy mieli szczęście być wcześniej od nas w Alpach”. Za to nie mają racji i popelniają karygodny błąd, jeśli uważają: „wobec tego uda nam się na pewno co najmniej to, co udawało się naszym kolegom w Alpach”.

Trójka naszych doskonałych taterników po powrocie z Dru jednoznacznie stwierdziła: „wystarczyłoby pół dnia już nawet nie niepokody, lecz zwykłej mgły, a nie stać by nas było na powrót”.

Nauczyliśmy się w Alpach, że nawet na średnio-trudnych drogach, z chwilą popsucia się pogody kończy się wspinaczka, a zaczyna się walka o życie.

G. Rébuffat przetrwał na „Walkerze” parodniową burzę i drogę ukończył po burzy. Z północnej ściany Eigeru potrafił się wyczołgać po kilku dniach zmagania z fatalną pogodą. Było to możliwe jedynie dzięki odpowiedniemu przygotowaniu technicznemu i przede wszystkim kondycyjnemu. Nie wolno więc wyruszać na drogę stanowiącą ostatni kres możliwości wspinaczy, gdyż trzeba się zawsze liczyć z możliwością gwałtownych zmian pogody.

Bylibyśmy nieznośnie zrozumieli, gdybyśmy z naszych sukcesów tegorocznych wysnuli wniosek, że dorównujemy technicznie czołówce francuskiej. Porównanie samej techniki wspinania się na małą skałkę w Praz de Chamonix pomiędzy zdobywcą Mustagh Tower, instruktorem E. N. S. A. Contaminem, a naszymi najlepszymi wspinaczami, wypadło w przerażający sposób na naszą niekorzyść. Różnica była taka jak pomiędzy dobrym instruktorem, a średnim kursantem w pierwszy dzień kursu skałkowego. Przestrożą powinna być zastraszająca cyfra 70 wypadków śmiertelnych średnio w ciągu sezonu, na stosunkowo niewielkim obszarze francuskich Alp. Alpinizm ma sens póki ponoszone ryzyko nie przewyższa w znacznym stopniu „niebezpieczeństw” niektórych „ryzykownych” sportów, takich jak jachting morski, wyścigi motocyklowe na żużlu itp. Narażanie życia w alpinizmie zgodne jest z etyką chyba tylko podczas akcji ratunkowych, oczywiście jeśli nie jest spowodowane lekkomyślnością.

Konkretnie proponuję, aby Klub Wysokogórski poprzez odpowiednią organizację wypraw nie zezwalał na wybieranie się na drogi o najwyższej alpejskiej skali trudności:

a. osobom jadącym po raz pierwszy w góry typu alpejskiego, choćby to byli „mistrzowie” wspinaczki tatrzańskiej.

b. osobom, które przed wyjazdem nie spędziły przynajmniej 4 do 6 miesięcy na intensywnych treningach w Tatrach.

CIEKAWY porównanie poziomu naszych taterników z poziomem francuskich alpinistów, podaje R. Schramm w swoim sprawozdaniu: alpinści francuscy „w masie swojej chodzą wspaniale w skale, natomiast unikają zdecydowanie lodu, w którym przeważnie są stabi. Nasz średni poziom w skale jest nieco słabszy niż francuski, tak samo nasi najlepsi w skale są gorsi od ich najlepszych; w śniegu i lodzie — nasz średni poziom jest lepszy od francuskiego, ale do wielkich „asów” lodowych francuskich, a tymbar-dziej niemieckich, austriackich lub szwajcarskich — naszym, nawet najlepszym, jeszcze bardzo daleko.



W górach Ziemi Południowego Przylądka

Jerzy Piotrowski

● WYSPA GÓR I LODOWCÓW

Archipelag Svalbard, nazwany tak w XII wieku przez odkrywców — Wikingów, składa się z szeregu nieraz bardzo od siebie odległych wysp (na przykład: Wyspa Niedźwiedzia leży około 300 km na południe od Zachodniego Spitsbergenu). Ogólna ich powierzchnia wynosi około 65 000 km² i leżą one, z wyjątkiem Wyspy Niedźwiedziej, mniej więcej pomiędzy 76° 30' a 81° szer. półn. oraz 10° 30' a 34° dług. wschod. Największymi spośród wysp są Zachodni Spitsbergen zwany zwykle Spitsbergenem, Ziemia Północno-wschodnia i Edgeöya.

Dzięki specjalnie korzystnym warunkom klimatycznym, jakie mimo niewielkiej stosunkowo odległości od Bieguna Północnego, panują wzdłuż zachodnich wybrzeży Spitsbergenu, a będących skutkiem ciepłego prądu morskiego — Golfstromu, już w XVII wieku brzeg ten był nawiedzany przez żeglarzy — myśliwych. W bogatym w zwierzęcą morzu polowali oni na wieloryby, białe niedźwiedzie i foki. Z początku XX w., gdy odkryto tu złoża węgla i zaczęto je eksploatować, kraj zaludnił się nieco i liczy obecnie około 5000 ludzi żyjących w kilku osadach, znajdujących się przeważnie wewnątrz największego z fiordów — w Eisfiordzie. Svalbard, kraj do niedawna bezpański, został w 1920 r. przyznany traktatem w Sévres Norwegii, która od tam sprawuje opiekę nad archipelagiem poprzez swego gubernatora, zamieszkałego w największym z osiedli — w Longyearbyen.

Bardzo zróżnicowany geologicznie i klimatycznie Spitsbergen posiada góry o różnym charakterze. Wzdłuż zachodniego wybrzeża, spomiędzy spływających w tę stronę lodowców, wyrastają szczyty przypominające nieco nasze Tatry. Jedną z najpiękniejszych tu przybrzeżnych partii górskich i niewątpliwie najbardziej schodzonych, jest okolica daleko na północ położonej zatoki Magdaleny. Przyjeżdżają tu stale grupy alpinistyczne, które na jej pięknych, przeważnie skalistych ścianach, wyszukują stale nowe problemy. W ostatnim roku działała tu wyprawa austriacka. Jednym z powodów częstych odwiedzin tej właśnie zatoki, są ułatwienia komunikacyjne. Statek „Lyngen” utrzymujący w okresie letnim stałą łączność między Norwegią, a Spitsbergenem zarzuca tu kotwicę, aby dać możliwość turystom poznania tego pięknego zakątka.

Także blisko oceanu leżące, położone niedaleko naszej bazy szczyty np. Torbjørnsenfjellet, żywo przypominają ten typ gór, który spotyka się nad zatoką Magdaleny. Są one przeważnie skaliste, przy tym często o bardzo kruchej skale, a lodu i śniegu jest raczej niewiele.

Poza pasem przybrzeżnym, z każdym kilometrem na wschód zmienia się klimat i charakter gór. Lodowce, początkowo zupełnie bezśnieżne, zmieniające się pod wpływem działania słońca w olbrzymie bajora, są coraz twardsze i pokryte coraz to grubszą warstwą śniegu. Kilka kilometrów od zachodniego wybrzeża, panują tu w lecie warunki, które u nas określić można, jako „pełną tatrzańską zimę” — mróz, zawieje śnieżne i zmarznięta, oblepiona śniegiem skała. Poza licznymi, nieraz kilkusetmetrowymi, ciemnymi, zupełnie pionowymi zerwami, szczyty te są całkowicie białe. Dalej na wschód, kraj zmienia się w jedną śnieżno-lodową pustynię. Nie wiadomo tu, co jest letnim śniegiem, a co lodowcem, ani jak przebiega granica łądu. W te strony nikt się nie zapuszcza, można tu spotkać jedynie białego niedźwiedzia.

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że ukazujące się obecnie szczegółowe norweskie mapy Spitsbergenu, drukowane wycinkami, dotyczą całego zachodniego wybrzeża i częściowo środkowej partii łądu, natomiast brakuje do tej chwili dokładniejszych danych odnoszących się do wschodniego wybrzeża. Dopiero po drugiej wojnie światowej wykonywane zdjęcia lotnicze, dają pierwsze materiały do opracowania tej części kraju. Trzeba tu przypomnieć, że wyprawa polska w 1934 r. przyczyniła się do skartowania Ziemi Torella i na mapach widnieje teraz wiele nazw polskich, nadanych przez odkrywców. Są więc góry Kopernika, Curie-Skłodowskiej, Staszica, grań Stanisławskiego, lodowce Polaków, Siedleckiego, Mogilniczego i wiele jeszcze innych nazw.



Przez lodowe pustkowie Sörkapplandu wędrowaliśmy ciągnąc nasz sprzęt i żywność na saniach typu „nansenowskie-go”. — J. Piotrowski

Podczas przemarszu przez Spitsbergen w 1936 r. trójka polskich alpinistów, posuwająca się mniej więcej środkiem wyspy, musiała dokonywać wyboru drogi „na oko”. Map albo jeszcze nie było wcale, lub też były niedokładne. O przekraczanych przez nich górach Stubendorffa, położonych w północno-wschodniej części wyspy, pisze tak jeden z uczestników Stanisław Siedlecki na łamach Wierchów¹: *Góry te stanowią dziś największą białą plamę na mapach Spitsbergenu, a są zarazem najwspanialszym zespołem łańcuchów skalnych w tym kraju. W ich pobliżu wznosi się góra Newtona (1717 m), szczyt uważany za najwyższy na Spitsbergenie. Wydaje się jednak rzeczą prawdopodobną, że wśród gór Stubendorfa znajdzie się szczyt jeszcze wyższy.* Do dziś o ile się nie myłę wypowiedź ta nie straciła nic na swojej aktualności.

Własne moje obserwacje potwierdzone opinią ludzi znających cały Svalbard stawiają otoczenie Hornsundu na pierwszym miejscu, gdy chodzi o najpiękniejszą i najdzikszą okolicę Spitsbergenu, a bezkonkurencyjnym jest masyw Hornsundtindu i Mehestenu.

Fiord Hornsund jest położony najbardziej na południe z wielkich fiordów Spitsbergenu. Oplywający południowy przyładek zimny prąd, mieszający się dalej z Golfstromem, wywołuje tu zaburzenia klimatyczne i czyni tę część wyspy obszarem o bardzo zmiennym i surowym klimacie. Do fiordu, długości blisko 25 km i szerokości około 12 km, spływają liczne lodowce, które „cielią się” rodząc olbrzymie ilości gór lodowych, blokujących czasem zupełnie wjazd do Hornsundu.

Wiejące tu, niezwykle silne huraganowe wiatry, uniemożliwiają często żeglugę po fiordzie, a ich porywy dochodzą do 200 km/godz., rozrywając namioty.

● NAJWYŻSZE SZCZYTY SÖRKAPPLANDU.

Południowy Spitsbergen — norweska nazwa: Sörkappland — jest niezwykle górzysty. Trudno tu opisywać szczegółowo całe otoczenie Hornsundu, pewną ilustracją niech będzie dołączona schematyczna mapa tego terenu. Tutaj natomiast chcę zając się trochę dokładniej grupą górską — jakby wyrwaną z najbardziej strzelistej partii Alp i tu przeniesioną — wspomnianym już masywem Hornsundtindu i Mehestenu.

Widniejący po drugiej stronie fiordu, w odległości od naszej bazy około 16 km w linii powietrznej, masyw ten przyciągał stale nasz wzrok. Rzadko zresztą wierzchołki tych szczytów ukazywały się w całej swej krasie. Przeważnie, nawet przy najpiękniejszej pogody

dzie, ta właśnie grupa spowita była mgłą. Przy bardzo czystym powietrzu, charakterystycznie zakrzywiony wierzchołek Hornsundtindu widoczny jest z morza z odległości aż 160 km.

Oba szczyty masywu, Hornsundtind (1431 m) i Mehesten (1354 m), rozdziela dość wysoko położona przełęcz, z której spływają bardzo stromo spadające lodowce: na zachód Garwoodbreen, a na wschód Jacobstigen. Grzbiety obu szczytów położone są względem siebie pod kątem prostym. Rozczłonkowane ramiona masywu, tworzą samodzielne, ale jakby wspierające go urwiste turnie i szczyty, z których ważniejsze to od pn.-zachodu i północy Westetinden i Kvasaegga, od wschodu Austryggen. Wschodnie stoki masywu spadają na nisko leżącą (około 150 m n.p.m.), ogromny Samarbreen, od zachodu zaś podnóże stanowi Goesbreen. Lodowiec ten, choć miejscami silnie poprzecinany szczelinami, tworzy jednak najlepszy szlak komunikacyjny do tego potężnego masywu górskiego, jedynym bowiem dogodnym — po tej stronie fiordu — miejscem do lądowania jest zatoka Goeshamna.

Trzeba pamiętać, że dobiecie do brzegu możliwe jest w fiordzie tylko w nielicznych miejscach. Niedostępne wybrzeże tworzy przeważnie zerwa lodowca schodzącego do wody, lub pionowe skały, o które rozbijają się fale, wyrzucając wysoko w górę fontanny wody.

Próby zdobycia Hornsundtindu były podejmowane dwukrotnie przez Edmunda J. Garwooda, pierwszy raz jeszcze w 1896, drugi rok później, gdy towarzyszył on wyprawie Conwaya. W 1928 r. Norwedzy: Broch, Fjeld i Høygaard wycofują się 100 m poniżej szczytu. Późniejsze austriackie wyprawy oceniają szczyt jako nieosiągalny. Dopiero wyprawa niemiecka dr Rieche w 1938 r. uwieńczona jest powodzeniem².

Niestety nie udało się znaleźć materiałów dotyczących amerykańskiej wyprawy alpinistycznej w 1952 r. (?), która podobno powtórzyła wejście na Hornsundtind.

● POLACY NA SPITSBERGENIE

Wyprawa organizowana w ramach Roku Geofizycznego 1957/58 do fiordu Hornsund przez Komisję Międzynarodowego Roku Geofizycznego przy Polskiej Akademii Nauk, której będąc uczestnikiem, miałem możliwość zetknąć się z górami Spitsbergenu, jak wszystkim wiadomo, nie była pierwszą ekspedycją polską, wyruszającą do tego polarnego kraju. Polscy naukowcy i alpinści działali już w 1932/33 r. na Wyspie Niedźwiedziej, w 1937 na Grenlandii, a w latach 1934, 1936 i 1938 na Spitsbergenie. W wyprawie w 1936 r., o czym wspominałem już poprzednio, bierze udział trzech alpinistów: inż. Stefan Bernadzikiewicz, dr Konstanty Narkiewicz-Jodko i obecny kierownik wyprawy mgr doc. Stanisław Siedlecki. Ekspedycja o charakterze sportowym dokonuje wówczas przejścia wzdłuż Spitsbergenu od południowego do północnego przylądka. Polacy przebywają przestrzeń 860 km w przeciągu 56 dni, ciągnąc na saniach przez spękane lodowe pustynie żywność i ekwipunek. Do tej chwili jest to najdłuższe przejście, jakiego dokonano w Arktyce bez użycia psów.

Wszystkie wyprawy na Spitsbergen mają w swoim gronie alpinistów, którzy nie będąc nawet obznajmieni z tym krajem, posiadają jednak umiejętności obozowania i poruszania się w trudnym nieraz terenie. Umiejętności te, oraz odporność fizyczna i psychiczna czyni z alpinistów nieodzownych uczestników również i naukowych wypraw polarnych.

Podczas wyprawy rekonesansowej w 1956 r. oraz właściwej wyprawy w roku 1957 alpinści polscy dokonali szeregu wartościowych przejść i spenetrowali przede wszystkim najbardziej bazy położone, często dziewicze jeszcze szczyty.

● WCHODZIMY NA MEHESTEN

Na południową stronę fiordu wybraliśmy się celem przeprowadzenia wywiadu geodezyjnego. Hornsundtind oglądaliśmy już od

¹ Stanisław Siedlecki: Przejście z południa na północ przez Zachodni Spitsbergen. Wierchy 1938. Rocznik XVI. Str. 133.

² Svalbard a Norwegian Outpost. J. W. Eides Forlag. Bergen 1950. Str. 152.

Podczas wyprawy rekonesansowej na Spitsbergen w 1956 roku oraz właściwej wyprawy w 1957 r. zorganizowanej w ramach MRG 1957—58, taternicy polscy biorący udział w nich, dokonali szeregu następujących wejść szczytowych:

Skoelffjellet (670 m) wschodnią ścianą — K. Birkenmajer, M. Kuczyński, J. Piotrowski, S. Siedlecki — 18 sierpnia 1956 r.

Wienertinden (925 m) — M. Kuczyński — 21 sierpnia 1956 r.

Fannytoppen (412 m), przejście grani od południowego wierzchołka ku północnemu i wejście pd.-zach. grzędą na Wienertinden (925 m) oraz zejście zachodnią grzędą, czas przejścia 14 godz. — J. Piotrowski i J. Pruchnicki — 12 sierpnia 1957.

Torbjörnsenfjellet wsch. ścianą, 7½ godz. — M. Paully i J. Piotrowski — 18 na 19 sierpnia 1957.

Midifjellet (642 m) wsch. granią — J. Pruchnicki i M. Zalewski — 4 sierpnia 1957.

Mehesten (1354 m) zach. grzędą z zejściem w górę tą samą drogą, a w dół częściowo zach. ścianą; droga b. trudna, 9 godz. — Z. Jaworowski i J. Piotrowski — 23 września 1957.

strony fiordu podczas poznawania jego wnętrza i uznaliśmy, że jest on z tej strony nie do zdobycia. Jeszcze bardziej „szklanemi górami” wydały nam się — znacznie niższy Vestetinden (928 m) i Kvasaegga (1000 m)¹. Niestety nie mieliśmy okazji oglądać ich z bezpośredniej odległości, gdyż dostęp do nich byłby możliwy z lodowca Körberbreen. Zdobyć którejkolwiek z tych blisko 1000-metrowych iglic, na których jeszcze nie stanęła stopa ludzka, byłoby nie lada sukcesem. Z tego typu turni, robiących wrażenie całkowicie niedostępnych, warto wymienić również Bautaen (473 m), turnię wyrastającą tuż nad fiordem, pomiędzy lodowcami Chomjakobreen i Hornbreen.

Teraz mieliśmy możliwość obejścia tej grupy górskiej dookoła i ewentualnego pokuszenia się o zdobycie choć jednego z tych szczytów. Najbardziej przyciągał nas — prawdopodobnie niezdobyty jeszcze Mehesten.

Wykonując program geodezyjny staraliśmy się z Zbigniewem Jaworowskim spenetrować okolicę i dokonać kilku treningowych wejść trudnymi, skalno-lodowymi ścianami. Za najwartościowsze z przejsz tego okresu uważam zach. ścianę Tsjebysjovfjellet (920 m) i Nordfallet (825 m). Nie należy zapominać, że wysokości bezwzględne, stosunkowo niewielkie, nie dają wyobrażenia o ogromie ścian wyrastających wprost z morza. Kiedy wędrując z saniami dalej, w głąb Sörkaplandu poprzez lodowce Goesbreen, Mehesten, Vasilievskardet i Kneikbreen, rozbiliśmy obóz pod blisko 1000-metrową zachodnią zerwą Mehestenu, patrzyliśmy jak urzeczeni na jego olśniewającą białą, niebotyczną ścianę. Aby zapoznać się z możliwościami wejścia na Mehesten lub Hornsundtind udaliśmy się pod rozdzielającą te najwyższe szczyty Garwoodbreen. Pogoda nam nie sprzyjała. Szczytowej partii Hornsundtindu nie było widać, a Mehesten tylko do połowy odsłaniał swą około 700 m wysoką pn.-zach. śnieżną ścianę. Pomimo to następnego dnia postanowiliśmy zaryzykować i o godz. 4.00 rano wyruszyliśmy z obozu. Pod ścianą spotkało nas przykre rozczarowanie. Ponad nami wysoko, pomiędzy pasmami skał wisiały jeszcze pola lawinowe, a dolna część ściany była jednym olbrzymim lawiniskiem. Śnieg był mokry i zapadający się. W tych warunkach nie można było ryzykować.

Przejsie przez lodowiec Samarin do wschodniego wybrzeża również się nie udało. Na przełęczy nad Samarinem trzy dni trzymała nas w namiotach mgła i wichura. Jedzenie się kończyło, niedługo miał przypłynąć po letnią grupę okręt „Bałtyk” — trzeba było wracać.

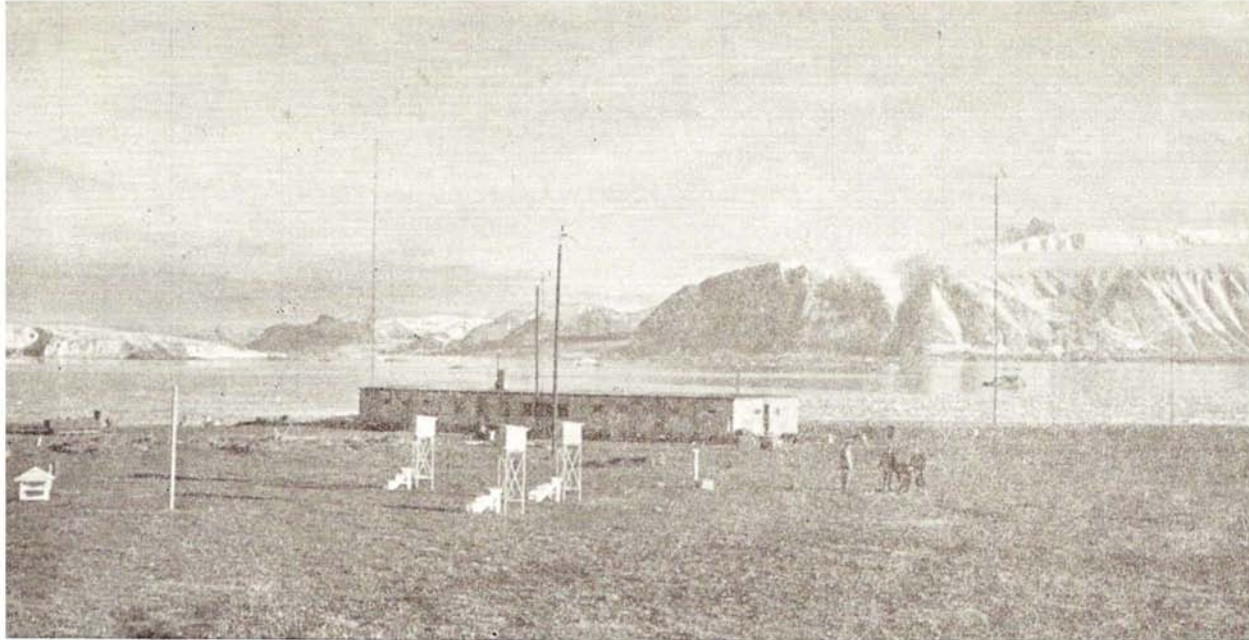
Mając jeszcze trzy dni czasu do dyspozycji, rozbiliśmy namioty pod zachodnią grzędą Mehestenu i postanowiliśmy czekać. Cel naszych planów alpinistycznych wyglądał od wschodu, od lodowca Samarin beznadziejnie, atak mógł więc nastąpić tylko od zachodu. Przesiadując, a raczej „polegając” w rozerwanym przez wicher namiocie, wymyśliliśmy ze Zbyskiem inną, może trudniejszą od poprzednio obranej, lecz bezpieczniejszą od lawin drogę. Natomiast Hornsundtindu nie oglądaliśmy z tej strony nigdy w całości. Raz widać było tylko dolną część ściany, kiedy indziej tylko partię szczytową. Jak należało rozwiązać środek ściany — powyżej przełęczy rozdzielającej Garwoodbreen od Jacobstigen nie wiedzieliśmy.

Szczęście w końcu uśmiechnęło się do nas. W południe 11 września, nagle wiatr ustał, a lekkie, oślepiające przebłyski słońca spowodowały, że ubraliśmy się momentalnie. Mimo późnej pory postanowiliśmy wyruszyć. Noce trwały zaledwie około 2 godzin i nie były zupełnie ciemne. Nie musieliśmy się liczyć z biwakiem. Towarzyszący nam Pruchnicki i Zaleski wyskoczyli z namiotu prawie równocześnie z nami. Oni, skuszeni pogodą wybierali się na szybki wypad bez obciążenia w głąb kraju dołem po lodowcach, my na drugi co do wysokości ze szczytów Sörkaplandu. Po śniadaniu pakujemy plecaki i ruszamy równocześnie, kiwając sobie rękami na pożegnanie. O godzinie 13.00 wchodzimy w skalno-lodową grzędę Mehestenu. Trzy kolejne strome pola śnieżne kończą się podciętymi zerwami. Przez dwa z nich przechodzimy trawersując je wysoko,

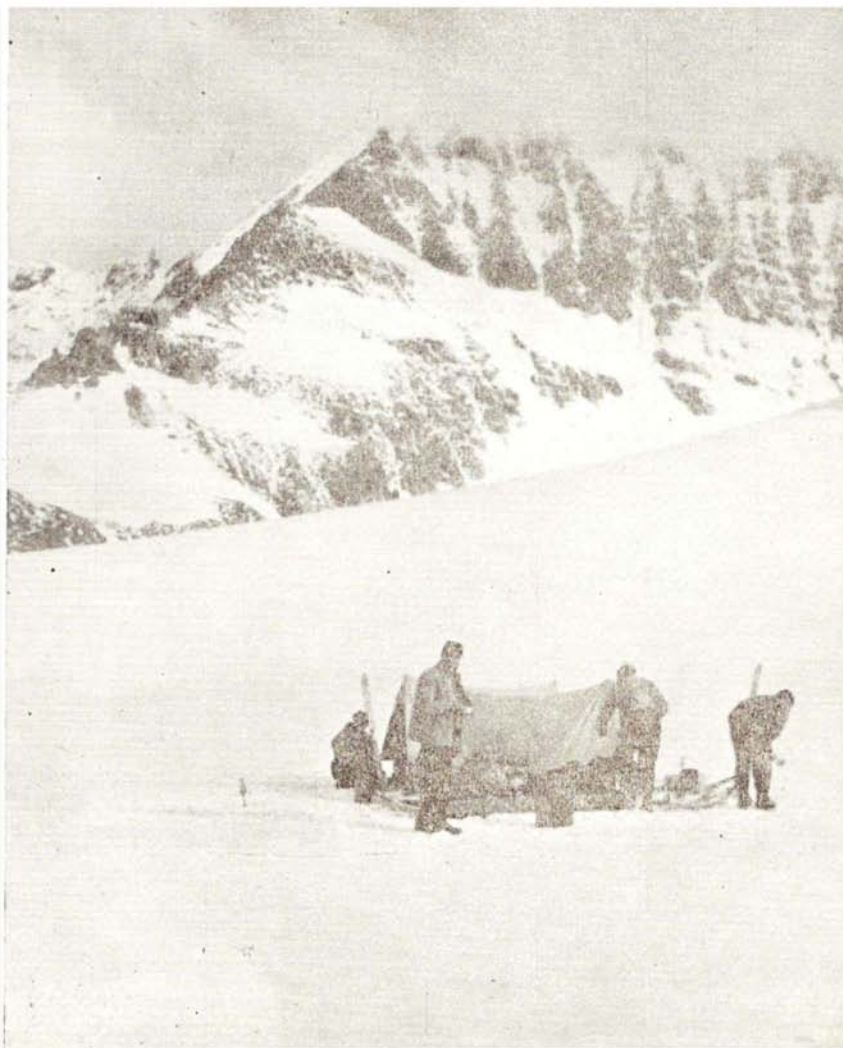


1

¹ Np. — zachodnia ściana Kvasaeggi od śniegu twarzy 600 m, o nachyleniu 70° urwisko skalne.



2

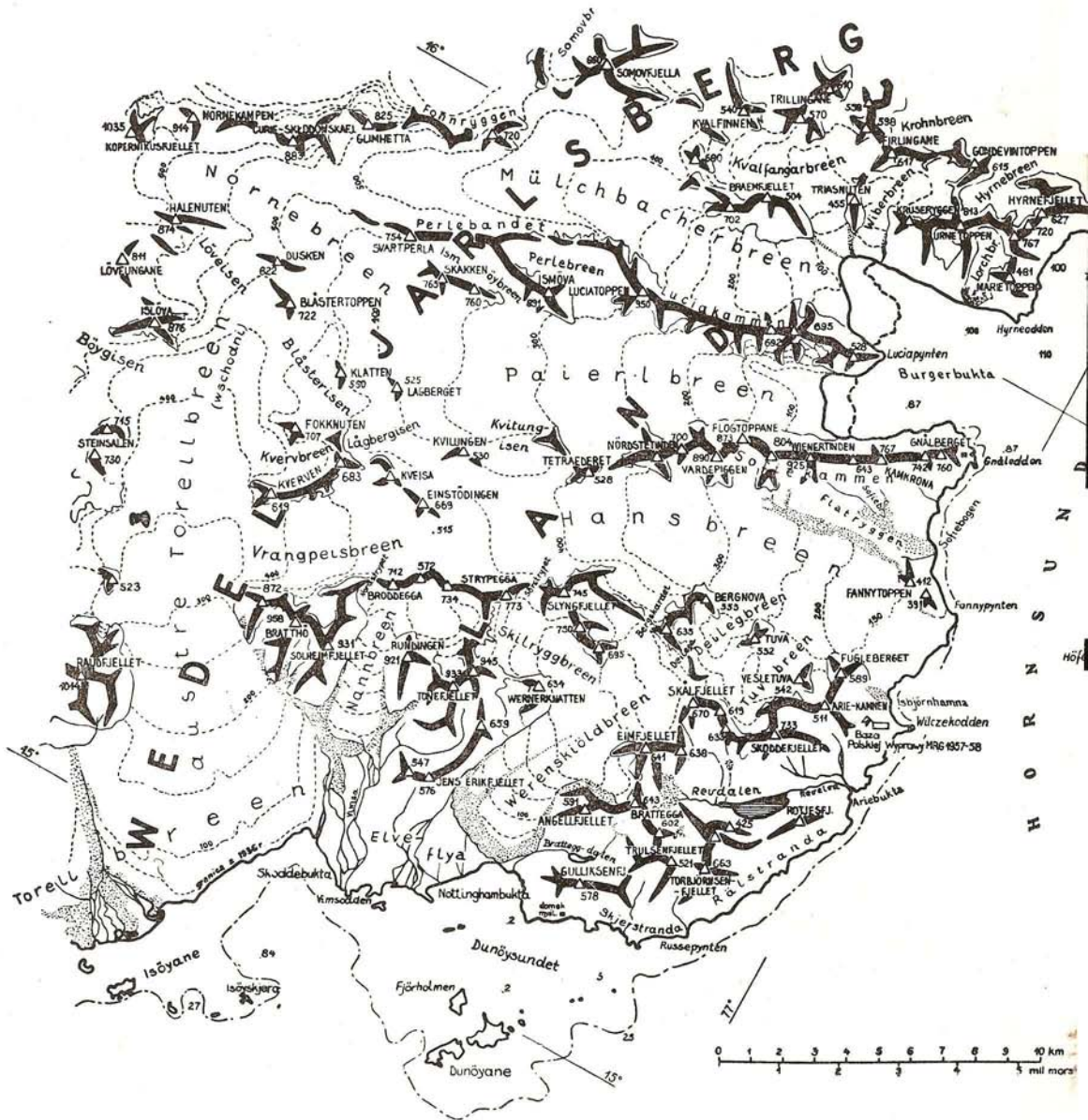


1. Odpoczynek podczas jedne-
go z przemarszów po lodow-
cu Hansbreen.
2. Do bazy nad fiordem Horn-
sund wracaliśmy zmęczeni
po długich wędrówkach,
z niej wychodziłmy po
dniach odpoczynku znów
w głąb lądu. Otoczenie
Hornsundu stanowi najpięk-
niejszą i najdzikszą okolicę
Spitsbergenu.
3. Mając jeszcze trzy dni cza-
su do końca pobytu, rozbi-
liśmy nasze namioty pod za-
chodnią grzędą Mehestenu.
Z tej strony była jedyna
szansa zaatakowania go.
Przesiadując w rozerwanym
przez wicherę namiocie,
wymyśliłmy ze Zbyszkiem
drogę zachodnią grzędą,
której dolna część widoczna
jest na zdjęciu.

Zdjęcia — J. Piotrowski

3

SZKIC OROGRAFICZNY OTOKU TEREN DZIAŁANIA POLSKIEJ WYPRAWY MIĘDZYNARODOWEJ



Oprac. na podstawie norweskich map
topograficznych, wyd. w 1953 r. J. Wala

CZENIA FIORDU HORNSUND

ODOWEGO ROKU GEOFIZYCZNEGO 1957 — 1958



Hornsundtind

Mehesten



trzenie jest tak lawiniaste, że decydujemy się wspinać wprost w górę, poprzez pionowe kominy w skalnych ściankach. Wspinamy się więc po skale i bijemy gęsto haki. Zaopatrzeni jesteśmy w doskonały lekki sprzęt alpinistyczny. W plecaku „na wszelki wypadek” mamy płachty biwakowe i leki wzmacniające serce.

Już po 5 godzinach wspinaczki osiągamy wcięcie w przepaścistej grani. Przewijamy się przez nie na przeciwny stok i stajemy pełni zachwytu. Grań spiętrza się powyżej, szeregiem ostrych „koni śnieżnych”. Ponad przevalającymi się pod nami zwałami chmur pada czerwono-różowe światło zachodzącego słońca. Z delikatnej, pastelowej mgły odsłaniają się strzeliste kształty najbliższego sąsiada — Hornsundtindu.

Nad siodełkiem wołam do Zbyszka: „śnieg jest coraz lepszy!”, a za chwilę: „o, nawet za dobry.” Jest miejscami tak twardo, że trudno wbić do śniegu kolce raków. Asekurujemy się cały czas bardzo starannie z wbitych młotkiem do śniegu czekanów i idziemy systemem „na zmianę”, 70-metrowymi odcinkami. Ostrość grani przypomina mi Aig. du Bionnassey, z tym że jest bardzo stromo nachylona i urozmaicona gigantycznymi nawisami stanowiącymi często problemy wspinaczkowe.

Zapada zmierzch. Połd nami, po prawej stronie przeświecają przez mgłę czarne urwiska zach. ściany, po lewej gładka, 70° nachylona śnieżna płaszczyna. 1000 metrów niżej pod nią majaczy lodowiec. Oglądamy z góry drogę, którą chcieliśmy pokonać 10 dni temu i dziękujemy Panu Bogu, że wówczas załamaliśmy się. Stąd dopiero można ocenić ogrom ściany, której tylko część widoczna była z dołu. Do szczytu mamy jeszcze kilkaset metrów drogi po powietrznych turniach. Śnieg jest tu świetny. Raki trzymają doskonale, a wbity po głowicę czekan stanowi pewne zabezpieczenie w razie odpadnięcia towarzysza.

Na szczycie dość długo zachwycamy się niezwykle pięknym widokiem. Zastanawiamy się też nad drogą powrotną. Po lawiniastych, podciętych polach śnieżnych nie będziemy szli nocą za żadne skarby świata.

Zachowując ciągle jak najdalej idącą ostrożność, wracamy drogą wejścia aż do siodełka w grani, skąd postanawiamy wtrawersować w zach. ścianę i nią schodzić wprost w dół. Śnieg pod pasem olbrzymich przewieszek, przecinających w poprzek całą ścianę, jest prawie pionowy. Z 300 metrów schodzimy twarzą do ściany, patrząc z obawą czy nie wyleci coś na nas z olbrzymiego skalnego leja, zawieszzonego ponad nami.

Szczęśliwie dochodzimy do pasa szczelin. Przez pierwszą z nich przedostajemy się, zawieszwszy się na rękach na wbitym dobrze w lód czekanie, druga — szczelina brzeżna — sprawia nam wiele kłopotów. Jest przede wszystkim takich rozmiarów z jakimi nie spotkaliśmy się dotąd nigdy. Do przeciwległej wargi szczeliny jest chyba ze 40 m. W ciemności usiłujemy znaleźć jakikolwiek most śnieżny, ewentualnie miejsce, w którym dałoby się zjechać na linie. W pewnej chwili, dość niespodziewanie, natrafiłem na wąską grankę, prowadzącą w głąb szczeliny. Asekurowany przez Zbyszka dochodzę do warstwy miękkiego śniegu, który nie wiem, czy utrzyma takie obciążenie. Wolno więc pełzną na brzuchu, głową w dół do zbawczego przeciwległego brzegu. Niestety, blisko już twardego śniegu brakuje liny. Kilka metrów ryzykownie poruszamy się równocześnie, na obu końcach wyciągniętej liny. Potem już fraszka — zbiegamy po stoku do namiotów, które są rozbite niedaleko od wejścia w ścianę.

Widok z lodowca Goesbreen na Hornsundtind (1431 m) i Mehesten (1354 m). Liniami wrysowano drogę wejścia i zejścia Z. Jaworowskiego i J. Piotrowskiego zach. grzędą na Mehesten w dniu 23 września 1957 roku.

ŚNIEŻNE KOTŁY

Jerzy Kolankowski

Jest rzeczą bezsporną, że taternictwa, a tym mniej alpinizmu nie można nauczyć się, nie mówiąc już o uprawianiu go we właściwym stopniu i zakresie, gdzie indziej jak tylko w górach typu alpejskiego. Truizmem jest również opinia o wielkiej wartości treningowo-szkoleniowej różnego rodzaju „ogródków skalnych” i „szkółek wspinaczkowych”. Niektóre z nich jednak cieszą się u nas znaczną popularnością. Wystarczy wspomnieć Skalki Podkrakowskie, których nieustająca „eksploracja” trwa już blisko pięćdziesiąt lat, czy Sokole Góry w pasmie Rudaw Janowickich teren całorocznej niemal „ekspansji” taternickiej środowiska sudeckiego i wrocławskiego. Mniej natomiast, a może nawet zupełnie nieznaną dla szerszego ogółu taternickiego pozostają uroki i wartości wysokogórskie Śnieżnych Kotłów w Karkonoszach, oczywiście nie jako terenu turystycznego ale właśnie wspinaczkowego.

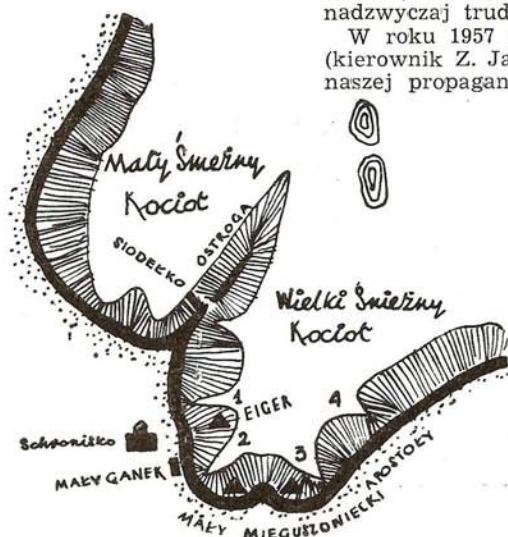
W przewodnikach, owszem, podkreśla się ich „tatrzański” charakter, wspomina się ich szlachetne, lodowcowe pochodzenie, przestrzega się (i słusznie) przed niebezpieczeństwami latem i zimą. Natomiast opinie (ustne i odosobnione) co do wartości wspinaczkowej tego terenu są następujące: „daleko, mokro, krucho”. I tyle. Wiadomo również, że kiedyś coś próbował w nich „robić” Wojciech Niedziałek. Ale i niewiele ponadto. Skalki podkrakowskie doczekały się swojego przewodnika opracowanego przez A. Dobrowolskiego i K. Paszuchę. Po Sokolich Górach wodzi na razie tradycja (przewodnik w opracowaniu). A w Śnieżne Kotły... mamy zamiar właśnie was zaprowadzić. Nie pożałujecie tego!

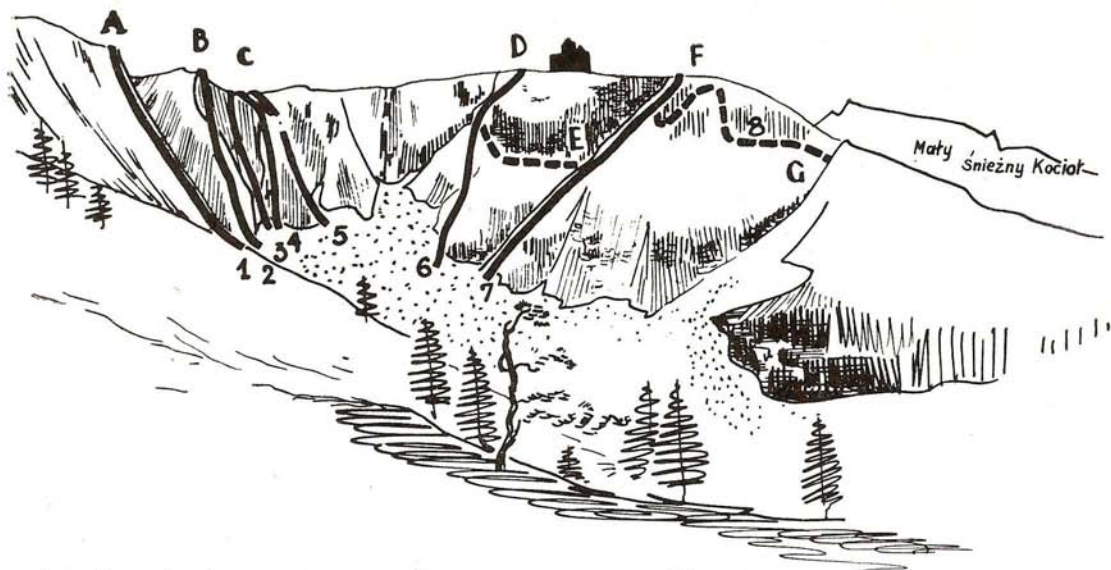
Zanim wyruszymy w drogę, kilka słów z „historii”. Przed drugą wojną światową trenowali tu, zwłaszcza zimą członkowie Alpenvereinu, brak jednak o tym bliższych wiadomości. Jeśli jednak „prehistorią” będą tu głuche wieści o działalności W. Niedziałka, to „historia” (może ktoś zna inną? — Jeśli tak, to niech nam prędko napisze) zaczyna się trzy lata temu od „wyprawy” i to od razu niemal zimowej, w dniach 30 kwietnia i 1 maja 1955 roku, członków ówczesnego Cieplickiego Koła Taternickiego PTTK pod kierownictwem autora. Uczestnicy jej Chachuła, Ruff, Różański, Siemaszko i autor, dokonali wejścia jedną z dróg, w ówczesnych warunkach nadzwyczaj trudną.

W roku 1957 pierwszy zimowy obóz Koła Wrocławskiego KW (kierownik Z. Jakubowski), częściowo przynajmniej był wynikiem naszej propagandy Śnieżnych Kotłów, jako taternickiego terenu

Mapka schematyczna rejonu Śnieżnych Kotłów.

Zleby: 1 — zachodni; 2 — południowo-zachodni; 3 — połudn.-wschodni; 4 — wschodni.





szkoleniowo-treningowego, a nawet wyczynowego. W przeciwieństwie do typowych „skałek” o drogach zazwyczaj krótkich, nieraz kilkuminutowych, większość dróg w Snieżnych Kotłach (zaryzykujemy to twierdzenie!) dorównuje niemal całkowicie niektórym tatrzańskim lub nawet przewyższa je zarówno pod względem długości jak i skali trudności. Mam tu na myśli takie drogi w Tatrach, jak na pn.-zach. ścianie Mnicha, Żabiej Czubie, Ciemnosmreczyńskich Turniach czy Zadnim Mnichu.

Przy przeciętnej względnej różnicy wzniesienia około 200 metrów, drogi o 6 do 7 wyciągach liny nie należą tu do wyjątków. Skala trudności, ekspozycja, długie kilkogodzinne dojścia, względnie wysokie położenie (1200—1500 m), typowo wysokogórski charakter, zimą ogromne nawisy i cały repertuar zimowych niebezpieczeństw jak np. lawiny, wszystko to pozwala uznać Snieżne Kotły za teren taternicki pośredni pomiędzy skałkami w ścisłym słowa znaczeniu, a Tatrami. Jako taki zasługuje być może na szerszą niż dotąd popularyzację.

W sposób naturalny grawitować tu będą, Cieplice i Jelenia Góra, i odleglejszy już Wałbrzych i Wrocław. Ale zarówno Poznań jak i Łódź, czy powiadzmy Szczecin, ośrodki odległe od gór znajdują tutaj również wartościowe pole działania, oczywiście nie w formie niedzielnego wypadu, a obozów przynajmniej kilkuniedniowych. Tatry naturalnie nic nie zastąpi, ale i Snieżne Kotły warto będzie poznać od najmniej oczekiwanej, kryjącej wiele niespodzianek i tajemnic, strony.

Na początku przytoczyłem negatywną opinię o Snieżnych Kotłach — że „daleko, mokro i krucho”. Pierwsza z nich mówi wyraźnie o... gnuśności opiniodawców. A druga i trzecia? Oczywiście, że na północnych stokach bywa mokro i krucho bardziej niż na południowych. Ale odnosi się to nie tylko do Snieżnych Kotłów i nie stanowi absolutnej przeszkody do uprawiania w nich taternictwa, a zwłaszcza treningów przed wyjazdem w Tatry czy nawet w Alpy. Wietrzenie granitów specjalnie sudeckich sprzyja powstawaniu lawin kamiennych. Jest to oczywiście niebezpieczeństwo jedno z najgroźniejszych, nieraz trudnych do przewidzenia w terenie pozornie pewnym. Ustrzec się przed nim możemy jednak przestrzegając zasad taktyki i techniki wspinaczkowej.

Dojścia do Snieżnych Kotłów opisane są w odnośnych przewodnikach turystycznych. Najdogodniejsze, koło schroniska pod Łąbskim Szczytem, które stanowi zarazem bazę wypadową do nich. Oparciem może być również szalaś w Wielkim Kotle, należący do Polskiego Tow. Geograficznego (klucze w schronisku).

Pierwszą drogą, którą zapoczątkowaliśmy naszą działalność w tym terenie, a o której wspominałem na początku artykułu, była droga prowadząca prawą (orograficznie lewą) krawędzią wielkie-

Urwiska Wielkiego, Snieżnego Kotła kryją wiele ciekawych i nietatwych problemów wspinaczkowych, z których tylko część, oznaczona na rysunkach, została dotychczas rozwiązana.

A — Apostoły; prowadzi tu droga tzw. „Rysą Piotrowskiego” (1), eksponowana, krucha; skrajnie trudna, 2 godz. I przejście: J. Kolankowski i Piotrowski, 25 lipca 1957 roku.

B — Ząb Rekina; „droga Kurowskiego i Rufa” (2); nadzwyczaj trudna częściowo z pomocą techniki sztucznych ułatwień, 4 godz. I przejście: Kurowski, Ruf, wrzesień 1956. Podczas drugiego przejścia J. Kolankowski i Piotrowski rozwiązali dot. urwiska nowym wariantem (oznac. linią przerywaną), 13 października 1957. Uskok szczytowy, omijany przez wymienione drogi z prawej strony, pokonali techniką sztucznych ułatwień J. Kolankowski i Piotrowski w 4 godz., 2 listopada 1957.

„Rynną skrzatów” wiedzie droga (3) interesująca tylko zimą, latem nieco trudna, której przejścia dokonali Kurowski i Piotrowski w marcu 1957.

C — Turnia Popieła; prowadzi tu dwie drogi: lewym filarem (4), droga b. trudna, interesująca, w dolnej części krucha, 3 godz. I przejście: B. Kalinowski i J. Kolankowski oraz E. Ruf i Z. Różański w dole nadz. trudnym wariantem (kropki), 19 czerwca 1955. Prawym filarem, droga b. trudna (5), eksponowana; w dolnej części krucha i mokra; 1 1/2 godz. I przejście: J. Kolankowski i E. Ruf, 24 listopada 1955 roku.

D. — Mały Ganek; „droga patronów“ (6), trudna z jednym miejscem b. trudnym, krucha, dużo traw, 1 1/4 godz.; I przejście: J. Kolankowski i Siemaszko, 9 listopada 1955 roku.

E. — Urwisko 100 metrów wysokie zwane „Eigerem“.

F — Filar Majowy; droga (7) miejscami trudna, 2 godz.; I przejście: J. Kolankowski, Chachuła, Siemaszko, Różański, Ruf, 1 maja 1955 roku w warunkach zimowych.

G — Trawniki, poprzez które prowadzi z siodełka w grzędzie rozdzielającej oba kotły, trawers (8) zrobiony przez Rufa i J. Kolankowskiego 14 kwietnia 1957.

go żlebu spadającego z ostrogi pomiędzy Kotłami, nazwaną „Filarrem Majowym“. Z dna Wielkiego Śnieżnego Kotła kierujemy się w prawo w skos po usypiskach ku buli skalnej, leżącej u wylotu wspomnianego żlebu i stąd ku początkowi naszego filara.

W półkolu Wielkiego Śnieżnego Kotła idąc od strony prawej (orogr. lewej), wyróżnia się kilka mniejszych i kilka wybitnych żlebów, ograniczających i wyodrębniających ściany i turnie kotła. Pomiedzy wielkim żlebem zachodnim, a pd.-zachodnim opadają urwiska wyniosłości zwanej „Małym Gankiem“ (nazwa nadana od balkonika widokowego, zbudowanego nad krawędzią kotła opodal schroniska nad Śnieżnymi Kotłami (patrz — mapa schemat.) przez które prowadzi droga, nazwana od znalezionej tu amunicji „droga patronów“.

Patrzącego spod szalasu PTG nad Przednim Stawkiem wprost ku południowi uderza zarysowany śmiałymi liniami centralny bastion skalny, wyłaniający się z ogólnego tła północnych urwisk Wielkiego Śnieżnego Kotła, uwieńczony kilkoma zębami skalnymi i ograniczony dwoma wybitnymi, stromo opadającymi żlebami. Całość nazwaliśmy — i nazwa przyjęła się — „Małym Mięszowieckim“. W tym interesującym obiekcie skalnym — gdy podejdziemy bliżej ku jego podnóżom — wyróżnić można nadzwyczaj zuchwałą, zwisającą groźnie nad naszymi głowami około 150 m wysoką glicę, nieco przypominającą Mnicha z ścieżki do Doliny za Mnichem. Otrzymała ona nazwę „Ząb Rekina“. Z jego wierzchołka ku grzbietowi Karkonoszy wybiega powietrzny, ozdobiony ciekawą attyką skalną „Smoczy Grzebień“. Środkiem pn. ściany „Małego Mięszowieckiego“ spada kruchy, stromy żleb — „Rynna Skrzatów“, którego progi i skałki nazywamy „Skrzatami“. Prawe zaś jej ograniczenie (zach.) tworzy znowu piękna, przypominająca nieco piramidę, eksponowana ze wszystkich stron, od północy opancerzona niedostępnymi płytami i podcięta od dołu „Turnia Popiela“ (niem. nazwa Rubezahlstöcher), opadająca do następnego z kolei „Żlebu z progiem“. We wschodniej ścianie Zębu Rekina tkwi w rodzaju nyży, ciekawy blok skalny zwany od swego kształtu „Kregłem“, albo „Bożkiem“. Poprzez opisane urwisko wiedzie kilka dróg o znacznych trudnościach, wymagających nieraz użycia techniki sztucznych ułatwień.

We wschodniej części kotła, pomiędzy pd.-wschodnim a wschodnim żlebem wznosi się formacja skalna zwana przez nas „Apostołami“. W górze utworzona z częściowo litych skał, w dole tworzy ją skalno-trawiasty teren, pokryty miejscami luźnym piargiem. Są tu jeszcze liczne problemy, bowiem jak dotychczas rozwiązaliśmy tutaj tylko jedną drogę tzw. „Rysą Piotrowskiego“ — bardzo eksponowaną, skrajnie trudną i kruchą.

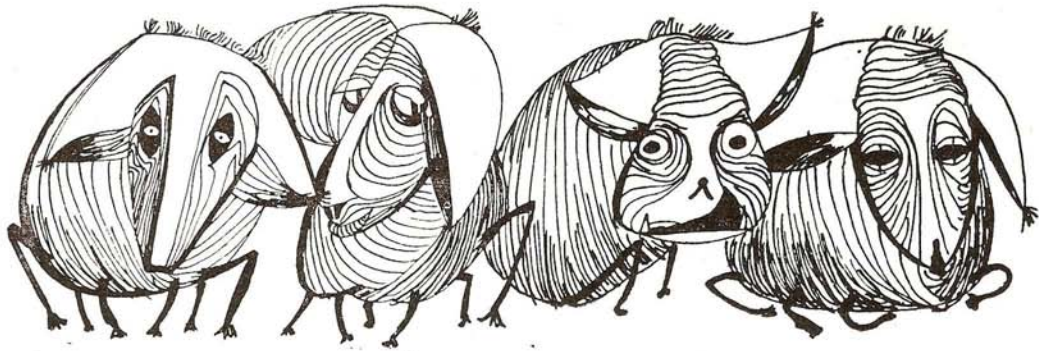
Wymienione w artykule drogi to tylko znikoma część możliwych tu do zrobienia dróg. Jest jeszcze wiele także nowych problemów, z których do najciekawszych należy około 100 m wysoka ściana skalna, tutejszy „Eiger“.

Poza wspinaczkami ścianami, filarami i kantami, istnieje również możliwość trawersowania ścian kotłów (jednego, czy obu), przede wszystkim zaś Wielkiego. Pierwszą w ogóle, a zarazem zimową próbę trawersowania przeprowadzili Ruf i Kolankowski 14 kwietnia 1957 roku¹. W ciągu trzech godzin interesującej wspinaczki udało się przejść w 1/3 łatwiejszą część trawersu. Główne przeszkody, piętrzące się na ścianach Małego Ganku i Małego Mięszowieckiego oraz w części wschodnich urwisk kotła, zwłaszcza górnych, czekają dopiero na zdobywców.

Na dwustumetrowych urwiskach Śnieżnych Kotłów — jak widzicie — jest jeszcze wiele problemów i dróg wartych wysiłku, choćby tylko dla treningu przed wyższymi celami. Zima karkonoska otwiera tutaj również niezrównane możliwości. A zatem do zobaczenia u stóp karkonoskich „ausserów“ i oczywiście na nich!

¹ Mamy zastrzeżenia co do celowości takiego przedsięwzięcia. Z nadesłanych przez autora fotografii i szkiców nie wynika, by istniał tam układ formacji skalnych, który by narzucał takie rozwiązanie. (red.).





Jaskiniowe jamniki

Przemysław Burchard

Nasza wyprawa odbywała się w czasie, kiedy sprawy górskie wyszły poza krąg alpinistów. Prasa poświęcała im sporo miejsca, a głównym obiektem jej zainteresowania stały się Himalaje, skutkiem niedawnego zdobycia Everestu. Oczywiście największym szlagierem był Yeti czyli Snowman, czyli w polskim niezręcznym tłumaczeniu „przeażliwy człowiek śnieżny”. Nazwy te wśród taterników stały się tematem licznych dowcipów.

W jaskini, pierwszego dnia ktoś nazwał nasz domek biwakowy „obrzydliva chata jaskiniowa”. Później, gdy ją polubiliśmy, zmieniono to na „straszliwa chata jaskiniowa”. Od tego momentu nazwy wszystkiego, co znajdowało się w kręgu naszej jaskiniowej działalności, otrzymywały podobne uzupełnienia. A więc my sami: „Dzielny Kuczyński Jaskiniowy”, „Wspaniały Gradziński Jaskiniowy”, i tak dalej. Sprzęt: „doskonała drabina jaskiniowa”. Elementy jaskini: „obrzydlive błoto jaskiniowe”. Tak bez końca. Wszystko było „jaskiniowe” z dodatkiem jakiegoś przymiotnika na początku trójmianu. Trzeba zaznaczyć, że koncepty te bywały nieraz bardzo frywolne.

Na tym tle powstała legenda o Jaskiniowych Jamnikach. Legenda owa krąży do dziś wśród grotolazów różnych środowisk, znają ją nawet adeptci, którzy w czasie wypraw do Zimnej dopiero się o taternictwie jaskiniowym dowiadywali z warszawskiego Expressu.

Było to w dzień powrotu z za korkociągu.

Gdy mineliśmy Rozdroże, spostrzegłem, że nie tylko ja jeden odczuwam skutki forsownego wysiłku. „Bohaterowie są zmęczeni” — pomyślałem. A ściślej — nie wszyscy są zmęczeni, niektórzy dopiero zaczynają się męczyć. Taki Maciek. Wczoraj skakałby z tego złotego bloku. Dziś złazi powoli, przytrzymując krawędź kamienia ręką. Grotowski nie zsuwa się rynną progu, ale schodzi statecznie, wypatrując pod nogami stopni. Kowalski stał się małomówny. W ogóle nikt jakoś nie gada, nikt się nie śmieje, nastrój stał się ponury.

Za mną szedł Gradziński. Miał twarz bladą, a rysy podczernione kopciem z lampy przybrały wyraz zacięty i złowrogi. Milcząc maszerował, ostrożnie piastując swój chlebek z fotograficznymi przyborami. Nad samą krawędzią rynnę schyliłem się, aby podnieść zgubiony przez kogoś karabinek.

Gradziński wybuchnął nagle głośnym śmiechem.

— Czyś oszalał? Co się stało?

Gradziński śmiał się tak strasznie, że aż usiadł na skałę, przechylał się z boku na bok i omal nie stoczył się z progu. Byłem po-

ważnie zaniepokojony, wiedziałem bowiem, że zdarzają się takie szoki po silnym wyczerpaniu, które objawiają się między innymi śmiechem bez wyraźnego powodu.

— Ależ... macie... zadek poszarpany... drogi panie — wyjąkał wreszcie między kolejnymi paroksyzmami śmiechu.

Sięgnąłem ręką za siebie, aby stwierdzić stan dolnej części kombinezonu. Niestety nie natrafiłem na nią. Tam, gdzie wczoraj jeszcze wisiały nitki strzępiącej się tkaniny — dzisiaj ziała olbrzymia dziura, również i w spodniach. Jedynie zabłocone barchanowe gacie chroniły mnie od bezpośredniego zetknięcia się ze skałą, gdy siedziałem.

Moje pojawienie się na biwaku wywarło skutek niezwykle korzystny, jeśli chodzi o nastrój. Wszyscy śmiali się prawie tak, jak przedtem Gradziński. On zaś przygotował lampę błyskową i zrobił mi zdjęcie w chwili, kiedy schylałem się nad garnkami. Po kolacji dolałem do herbaty rumu. Kiedy już kilka kubków obiegiło szanowne grono, zaczęliśmy z Czyżewskim naszą opowieść. Mówiliśmy na zmianę. Gdy jednemu zabrakło konceptu, natychmiast drugi zabierał głos podejmując opowieść lub wtrącając uzupełniające szczegóły.

Na pewno każdemu z was, którzy chodzicie po jaskiniach zdarzyło się choć raz pełzać ciasnym korytarzem. Tam znowu bywało tak, że usłyszeliście charakterystyczny głos darcia tkaniny i poczuliście, że coś szarpie was za spodnie lub bluzę. Na próżno szukać jednak miejsca, o które zahaczyła tkanina kombinezonu. Skała jest tam gładka jak szkło.

To — Straszliwe Jamniki Jaskiniowe.

Żyją one od tysiącleci w najdalszych zakamarkach jaskiń. Są stare jak świat, nie giną nigdy. Podobno rozmnażają się, jednak uczeni nie zbadali dotychczas, jakim sposobem. Jamniki bowiem są niesłychanie czujne i pierzchają przed człowiekiem w ciasne szczeliny, dla grotolaza niedostępne. Zbliżają się tylko z tyłu, i to przeważnie wtedy, kiedy człowiek nie może się przed nimi bronić. Ostrymi jak szpilki ząbkami — a mają ich po cztery rzędy w każdej szczecie — szarpiają ubranie, odrywają podeszwy butów, nieraz nawet kaleczą ciało.

Jeśli grotolaz znajduje się w szerszym pomieszczeniu, też czasem wpełzają ostrożnie z kryjówek i czając się w pobliżu, czekają na dogodny do ataku moment. Poruszają się jednak zawsze na samej granicy kręgu spostrzeżenia. Jeśli szybko obrócić głowę, ujrzyście tylko migającą białą plamę lub kreskę i znów sala będzie pusta jak przed chwilą.

Jamniki są białe lub zupełnie przezroczyste. Uczeni nie są zgodni co do barwy jamników. Zwolennicy barwy białej twierdzą, że pochodzi ona od mleka wapiennego, którym jakoby jamniki chętnie się odżywiają, oczywiście poza podstawowym jadłem, tkaniną z kombinezonów. Poza tym jamniki są jakoby zupełnie ślepe, mają jednak jakiś inny zmysł, który im to zastępuje. Ich maleńkie niepotrzebne zupełnie oczka świecą czerwonym blaskiem. Wspinają się po ścianach przy pomocy takich przyłg, jakie muchom umożliwiają chodzenie po suficie. Jamniki mają oczywiście przyłgi wielokrotnie większe, po pięć na każdej łapie.

Obiektywni przyrodniczy przyznają jednak, że wszystkie przytoczone szczegóły należą do niesprawdzonych hipotez. Jedno tylko jest pewne — że jamniki szarpiają kombinezony.

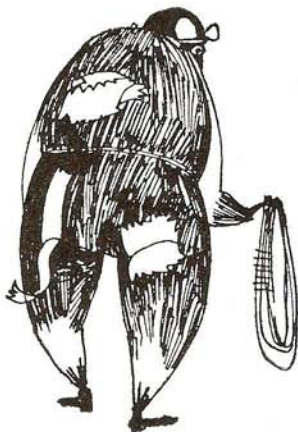
● Gdy Kuczyński po wyjściu z jaskini udzielał prasie wywiadu, powiedział w pewnym momencie:

— ...a z bocznego korytarza wypadło nagle z głośnym ujadaniem stadko jamników jaskiniowych...

— Jamników? — przerwał podejrziwy reporter. — Na pewno?

— Nie wiem, proszę pana — odparł Kuczyński — ale to mogły być TYLKO one.

Kazik w ostatnim momencie wykreślił dziennikarzowi z gotowego artykułu wzmiankę o jamnikach jaskiniowych, ponieważ autor dla nadania większej powagi „bombie” powołał się na autorytet „znanego zoologa doktora Kowalskiego”.



Rys. Z. Łagocki

TATERNICTWO I ALPINIZM

Zeszlatoroczne obozy alpejskie mieściły się pod namiotami. Szare, niczym budy cygańskie, odbijały od barwnych namiotów sąsiadów. W nich polscy alpiniści przeżyli długie dni soty, stały puste, gdy góry wypełniało słońce. A oto namioty obozu „Szwajcaria I” na tle wapiennych ścian Wetterhornu i różnorodnych hoteli Grindelwaldu. — Z. Rubinowski



Obozy alpejskie Klubu Wysokogórskiego w lecie 1957 roku — kronika

Zebrane tu materiały stanowią uzupełnienie artykułu pod tym samym tytułem w niniejszym numerze. Tu czytelnik znajdzie zestawienie składów osobowych obozów, kronikę i te wiadomości, które ilustrują przedstawione tam uwagi i wnioski, a które dla przejrzystości artykułu musiano wówczas pominąć. O ile tam potraktowano wszystkie obozy łącznie, tu przegląd materiałów usystematyzowany jest według kolejności: obóz „Szwajcaria I” w Alpach Berneńskich, „Szwajcaria II” w Alpach Wallijskich, „Francja I” i „Francja II” w grupie Mont Blanc.

1. Obóz w Alpach Berneńskich

Rozpoczął się najwcześniej ze wszystkich obozów alpejskich. Warszawę opuśczone 15 lipca 1957 r. i po dwudniowej podróży przez Wiedeń, Innsbruck, Zurych — 17 lipca jego uczestnicy znaleźli się na miejscu w Grindelwaldzie. Obóz trwał do 16 sierpnia, po czym w podróży powrotnej tą samą trasą zatrzymano się dwa dni w Bernie i półtora dnia w Wiedniu na zaproszenie organizacji ratowniczej „Osterreichische Bergrettungsdienst”. Przyjazd do Warszawy nastąpił 22 sierpnia.

W obozie brało udział 11 osób: z Zakopanego — Jerzy Hajdukiewicz (kierownik), Helena Hajdukiewiczowa i Krzysztof Berbek; z Krakowa — Tadeusz Nowicki, Karol Jakubowski, Zbigniew Rubinowski, Adam Skoczylas, Antoni Wala i Jerzy Wala; z Łodzi — Zbigniew Skoczylas; z Katowic — Tadeusz Rogowski i prywatnie jego żona Z. Rogowska.

Baza główna obozu, pod namiotami, mieściła się w Grindelwaldzie na placu campingowym (Campingplatz-Bodenwald) i należy stwierdzić, że dzięki życzliwemu stosunkowi kierownictwa, dobremu zaprowadzeniu tego miejsca, odpowiednim urządzeniom sanitarnym oraz dogodnemu położeniu — nisko w kotlinie (940 m) o bogatej szacie roślinnej, w terenie zagospodarowanym — stwarzała ona dogodne warunki pobytu i odpoczynku. Stąd dowolnie dobierające się zespoły, dwu lub więcej osobowe, udawały się w uzgodnieniu z kierownictwem, na kilkudniowy pobyt w głąb gór do tamtejszych schronisk, skąd dopiero rozwijały działalność wysokogórską.

Obóz wyposażony był w 5 namiotów dwuosobowych i 1 duży, przeznaczony na kuchnię i magazyn, przywiezione z kraju. W życiu obozowym dotkliwie dawał się odczuć brak odpowiedniego wyposażenia kuchennego i takiego sprzętu, jak składane krzeselka czy stoły campingowe.

Większą część żywności przywieziono z kraju, na miejscu dokupywano tylko: owoce, zupy, chleb, czekoladę, częściowo mleko skondensowane i surowe, oraz lemony.

W czasie obozu nawiązano szereg kontaktów, z których najcenniejsze to: z Sekcją Interlaken i Grindelwald SAC, Dölfen Reistem, uczestnikiem 3 wejścia na Mont Everest. Udział w akcji ratunkowej na Eigerze części zespołu w czasie od 10 do 12 sierpnia, odbił się szerokim echem w prasie europejskiej oraz polscy alpinisci zyskali duże uznanie wśród czołowej grupy alpinistów zachodnio-europejskich.

Kronika:

17–26 lipca 1957. Był to okres złej pogody, uniemożliwiającej rozwinięcie działalności alpinistycznej. W Grindelwaldzie padał przeważnie deszcz; od wysokości 2000 m już często śnieg; wysoko w górach występowały częste zawieje, utrzymywała się bardzo niska temperatura, a wszystko pokrywała gruba warstwa świeżego śniegu. Okres ten przesiadywano przeważnie w namiotach, wykorzystując chwilowe przejaśnienia, czy krótkie okresy roz pogodzenia na zapoznanie się z najbliższą okolicą Grindelwaldu.

27 lipca — 6 sierpnia. Pierwszy dzień był wprawdzie jeszcze niepogodny, a popołudniowy deszcz spowodował drobne zamieszanie w podjętej już działalności alpinistycznej, ale dalsze dni charakteryzowała słoneczna, bezchmurna pogoda i w wysokich partiach gór niska temperatura — stwarzając jak się okazało, świetne ale niestety krótkotrwałe i jedyne warunki dla działalności alpinistycznej. W tym też czasie dokonano przeważającą część wejść składających się na wyniki obozu. I tak:

W dniu 29 lipca — H. i J. Hajdukiewiczowie, K. Berbek, K. Jakubowski, T. Nowicki, Z. Rubinowski, Z. Skoczylas weszli na Mönch (4099 m) pd.-zach. żebrem przez tzw. „Nollen”, a pozostali w tym czasie wyjechali kolejką na Jungfrauoch (3475 m).

W dniu 30 lipca — K. Jakubowski, T. Nowicki, Z. i T. Rogowscy, A. Skoczylas, Z. Rubinowski, A. i J. Walowie wchodzi na Jungfrau (4158 m) przez Rottalsattel (3886 m), skąd A. Skoczylas i Z. Rubinowski weszli jeszcze na Rottalhorn (3969 m).

W dniu 31 lipca — K. Jakubowski i T. Nowicki weszli pn.-zach. granią przez Walcherhorn na Gross-Fiescherhorn (4048 m); A. i J. Walowie pd. ścianą na Mönch; Z. Rubinowski i Z. i T. Rogowscy na Mönch pd.-wsch. granią (zwykłą drogą).

W dniu 1 sierpnia — A. i Z. Skoczylasowie, T. Rogowski, Z. Rubinowski wchodzą na Grünhorn (4043 m) przez Grüneggfirn, a A. i J. Walowie żebrem Haslera na Aletschhorn (4195 m) i schodzą tą samą drogą.

W dniu 3 sierpnia — Z. Rubinowski i A. Skoczylas wchodzą pn.-wsch. flanką lodową na Aletschhorn i schodzą żebrem Haslera.

W dniu 4 sierpnia — K. Berbeka i H. i J. Hajdukiewiczowie wchodzą pn. ścianą (tzw. Fiescherwand), drogą Reissa, Sollbergera i Reista na Fiescherhorn (4048 m).

W dniach 4, 5, 6 sierpnia — K. Jakubowski i T. Nowicki przechodzą pn. ścianę Klein-Fiescherhornu (Ochsa — 3900 m) z dwoma biwakami na wys. 3300 m i 3750 m, a w trzecim dniu o godz. 9.30 osiągają wierzchołek schodząc pn. granią. W czasie zejścia, wskutek poślizgnięcia się Nowickiego, obaj obsuwają się po stoku ponad 100 m, szczęśliwie zatrzymując się na siodle w grani i nie ponosząc poważniejszych obrażeń.

7—15 sierpnia. Był to już okres burzliwy, z licznymi opadami deszczu i tylko krótkotrwałymi rozpodogodzeniami. Początkowo odpoczynek po dość intensywnej uprzednio działalności, a potem udział w akcji ratunkowej na Eigerze oraz niekorzystna pogoda spowodowały, że już nie rozwinięto dalszej działalności. Tylko Z. Rubinowski wchodzi samotnie w dniu 8. 8. na Pfaffenstöckli (3114 m) pn.-wsch. granią, a A. i J. Walowie wchodzą tego dnia zach. grzędą na punkt 3377 m w grani między Strahlegghornem a przełęczą Finsteraarjoch. Ostatni w dniu 9 sierpnia — w ciężkich warunkach, wchodzą jeszcze na Schreckhorn (4078 m) przez Schreckfirn i Schrecksattel, trudną pd.-wsch., skalno-lodową granią i nie biorąc już udziału w akcji ratunkowej na Eigerze. W akcji tej w dniach 10, 11 i 12 sierpnia brali udział: K. Berbeka, J. Hajdukiewicz, A. i Z. Skoczylasowie, Z. Rubinowski, T. Rogowski, T. Nowicki i K. Jakubowski (bliżej szczegóły w nr 3/57 „Taternika“), wchodząc wówczas zach. flanką na Eiger (3970 m).

Już w okresie likwidacji obozu, w dniach 13 i 14 sierpnia — Z. Rubinowski i A. i J. Walowie robią wycieczkę w głąb doliny Lauterbrunnental, nocując w niezagospodarowanym schronisku Schmadrühütte i powracając przez Gimmelwald i Mürren.

16 sierpnia nastąpiła likwidacja obozu i wyjazd do Berna.

2. Obóz w Alpach Walijskich

Wyjazd z Warszawy nastąpił 18 lipca. W czasie przejazdu do Zermatt na miejsce obozu, zatrzymano się na 4 dni w Bernie dla przedłużenia wiz szwajcarskich. Przerwę tę wykorzystano na poznanie miasta i złożenie wizyty w Ambasadzie Polskiej z okazji święta w dniu 22 lipca. Dopiero 23 lipca grupa znalazła się w Zermatt i założyła bazę w namiotach powyżej przysiółka Winkelmaten na wys. ok. 1680 m.

W obozie brało udział 12 osób: z Zakopanego — Zbigniew Korosadowicz (kierownik), Michał Gajewski, Jerzy Honowski; z Krakowa — Adam Dobrowolski, Kazimierz Paszucha, Adam Górka, Adam Lenczowski (Nowa Huta); z Warszawy — Stanisław Bysiek i Zbigniew Wiśniowski; z Gliwic — Jan Mostowski i Andrzej Sidwa; z Opola — Andrzej Drogowski.

Organizacja obozu była podobna do organizacji obozu „Szwajcaria I“. Na skutek ustronnego położenia obozu, jego uczestnicy nie mieli możliwości nawiązania szerszych kontaktów ze światem alpinistycznym. Złożono jedynie wizytę przewodniczącemu Sektion Monte Rosa SAC.

Kronika:

25—29 lipca. Okres ten poświęcono na zapoznanie uczestników, którzy jeszcze nie byli w Alpach, z techniką lodowcową i terenem oraz na trening. W dniu 25 lipca przeprowadzono trening na lodowcu Schönbühl, a w następnych dniach dokonano wejść całą grupą na Tête Blanche (3727 m) przez Stockjigletscher (26 lipca) i po noclegu w Monte Rosahütte dokonano wejścia zwykłą drogą przez Grenzsattel (4452 m) na Dufourspitze (4634 m), najwyższy punkt masywu Monte Rosa. Bysiek i Wiśniowski przechodzą jeszcze przez Zumsteinspitze (4563 m) i przełęcz Lysjoch (4153 m) do schroniska Gnifetti.

30 lipca do 17 sierpnia. W tym czasie rozwinięto działalność już w samodzielnych, drobnych zespołach, których członkowie dobierali się dowolnie według wzajemnych upodobań.

W dniu 30 lipca — Dobrowolski, Górka, Paszucha, Honowski i Lenczowski wchodzą od strony pn.-zach. na Lysskamm W (4480 m) w czasie 7 godzin, a Bysiek, Wiśniowski, Sidwa i Mostowski od strony pn.-wsch. z Grenzgletscher na Lysskamm E (4527 m) w 14,5 godz. (biwakowano w zejściu, na lodowcu).

1 sierpnia — Drogowski, Gajewski i Tatariewicz (sposo obozu) weszli wsch. granią na Weisshorn (4505 m) i zeszli tą samą drogą.

3 sierpnia — Dobrowolski, Honowski, Górka, Lenczowski, Paszucha weszli na Rimpfischhorn (4199 m) zwykłą drogą; Mostowski i Sidwa wchodzą na Matterhorn (4482 m) granią Zmutt w 12 godz.

4 sierpnia — Dobrowolski, Honowski, Górka, Lenczowski, Paszucha wchodzą przez Adlergletscher i Adlerpass (3802 m) na Strahlhorn (4190 m) i granią na Adlerhorn (3987 m); zejście przez Adlergletscher i Findelngletscher. Bysiek i Wiśniowski weszli wsch. granią (tzw. Vierseelgratt) na Dent Blanche (4360 m).

5 sierpnia — Drogowski i Gajewski wchodzą na Rimpfischhorn (4202 m) zwykłą drogą.

8 sierpnia — Dobrowolski, Górka i Paszucha wchodzą pd.-wsch. granią na Zinalrothorn (4224 m).

9 sierpnia — Sidwa i Mostowski wchodzą pn. ścianą na Dent d'Hérens



(4174 m) w 8 godz. Wejście to było poprzedzone ich próbą w dniu 6 sierpnia. Zeszli granią ku Tiefmattenjoch; Korosadowicz z żoną weszli na Theodulpass (3317 m).

11 sierpnia — Honowski i Lenczowski weszli przez Obergabeljoch i pd.-wsch. granią na Obergabelhorn (4066 m), stąd pd.-zach. granią na Wellenkuppe (3910 m); Bysiek i Wiśniowski weszli pn. ścianą na Dent d'Hérens w 13 godz.

14 sierpnia — Honowski, Górka i Paszucha weszli pn.-zach. granią na Dom (4545 m) przez Festijoch (3724 m).

16 sierpnia — Bysiek i Wiśniowski weszli zwyczajną drogą na Breithorn (4165 m), a 17 sierpnia Sidwa, Mostowski, Bysiek i Wiśniowski weszli na ten szczyt pn. ścianą (drogą Welzenbacha).

18 sierpnia likwidacja obozu i wyjazd z Zermattu.

3. Obóz „Francja I” w grupie Mont Blanc

Rozpoczął się 20 lipca i trwał do 19 sierpnia. Miejscem obozu był plac campingowy położony przy drodze łączącej Chamonix z Praz de Chamonix. Uczestnicy obozu przybyli kolejną przez Wiedeń, Berno do Genewy, a stąd autobusem do Chamonix; tą samą drogą powrócili do kraju.

W obozie brało udział 13 osób: ze Szczecina — Stanisław Groński (kierownik); z Krakowa — Marian Bała, Stanisław Biel, Jan Długosz, Antoni Janik, Andrzej Pietsch, Stanisław Worwa; z Gliwic — Adam Bilczewski, Roman Sledziewski; z Katowic — Witold Udziela; z Warszawy — Czesław Momatiuk, Jerzy Warteresiewicz; z Łodzi Lechosław Utracki.

Później od całej grupy przybyli do Chamonix S. Biel i A. Janik, który przebywał na obozie zaledwie kilka dni i wcześniej go opuścił.

Baza obozu mieściła się na placu campingowym pod namiotami, a organizacja jego była podobna jak i poprzednich. Działalność obozu można podzielić na trzy okresy, które omówimy poniżej.

Kronika:

19—29 lipca. Okres niekorzystnej pogody, zwłaszcza w pierwszych dniach, poświęcono na zorganizowanie obozu. Dopiero pod jego koniec, przy złych warunkach śniegowych i dużym niebezpieczeństwie lawin, zespół Utracki — Warteresiewicz przechodzi w dniach 23 i 24. 7. 57 grań Mont Blanc od Dôme du Gouter do Col du Midi, wchodząc na Aig. du Gouter pn.-zach. grzędą (I wejście — ok. 11 godz.), oddzielającą pn. ścianę od lodowca Griez i nocując w schronisku Vallot.

W tym samym czasie Groński, Bilczewski, Bała, Pietsch, Długosz, Momatiuk podejmują próbę przejścia grani Mont Blanc od Col du Midi — wyprawa zalamuje się wskutek złych warunków pogodowych. Również w bardzo ciężkich warunkach przechodzą w dniach 25—26. 7. Worwa, Sledziewski i Udziela grań Aig. de Rochefort od Col du Géant do Col des Grandes Jorasses, biwakując na Calotte de Rochefort (3976 m).

31 lipca — 5 sierpnia. Okres bardzo dobrej pogody, w pełni wykorzystany. W dniach 31. 7. — 2. 8. — Biel, Długosz, Momatiuk przechodzą zach. ścianą Aig. du Petit Dru(8 przejście). 31. 7. — 4. 8. — Bała, Bilczewski, Sledziewski, Udziela wchodzą granią Peutérey na Mont Blanc poprzez Aig. Noire de Peutérey, którą osiągną wschodnią granią. Tą samą drogą z wejściem granią południową na Aig. Noire de Peutérey wchodzą na Mont Blanc — Pietsch, Utracki, Warteresiewicz, Worwa w dniach 31. 7. do 4. 8.

Na tym działalność sportowa grupy została zakończona, tak wskutek pogorszenia się pogody, jak i zaginięcia S. Grońskiego z Jugosłowianami na grani Mont Blanc i rozpoczętych w związku z tym poszukiwań. Obejmują one trzeci okres do 19 sierpnia i szerzej piszemy o tym osobno.

4. Obóz „Francja II” w grupie Mont Blanc

Łącznie z podróżą obóz trwał od 20 lipca do 23 sierpnia. Podróż odbyto kolejną na trasie Warszawa — Wiedeń — Innsbruck — Zurych — Genewa, skąd autobusem do Les Bossons, tak samo z powrotem.

W skład obozu wchodziło 10 osób: z Poznania — Ryszard W. Schramm (kierownik), Antoni Gąsiorowski; z Warszawy — Jerzy Mierzejewski i Jerzy Sawicki; ze Śląska — Marek Stefański, Maria Żukowska i Jacek Żukowski; z Zakopanego — Jerzy Mitkiewicz. Prócz tych w obozie brała udział częściowo na własny koszt Krystyna Jakubowska.

Obóz pod namiotami mieścił się w Les Bossons, 4 km od Chamonix na placu campingowym. Jego organizacja była podobna do poprzednich.

Nawiązano szereg b. cennych i serdecznych przyjaźni osobistych i odnowiono zadzierzgnięte w ubiegłych latach. W dowód przyjaźni i podziękowania, ofiarowano nienumerowane odznaki klubowe KW następującym osobom: Georges Meyer (SATUS, Szwajcaria), Willy Marthe (SATUS, Szwajcaria), Georges Favre (SATUS, Szwajcaria), André Contamine (GHM, Francja, instruktor ENSA), Marc Lepeut (GUMS, Francja), Tadeusz Wowkonowicz. Od W. Żuławskiego otrzymał odznakę Raymond Leininger (GHM, Francja).

Działalność sportowa obozu kształtowała się wyraźnie w zależności od pogody i zachodzących wypadków.

25—28 lipca — okres złej pogody. Poza urządzeniem obozu przeprowadzono tylko jeden trening na lodowcu Taconnay.

29 lipca — 5 sierpnia — okres bardzo dobrej pogody. Obejmował tydzień czasu, który traktowano jako trening i zapoznanie się z terenem. Dokonano w dniach 29 i 30. 7. wejścia całą grupą (8 osób) przez Aiguille du Gouter (nocleg) i Dôme du Gouter do schroniska Vallot, skąd Mitkiewicz i Schramm przetrawerowali Mont Blanc do Col de la Brenva i zeszli przez Corridor na Grand Plateau; Gąsiorowski, Stefański i Wilczkowski weszli

Alpy Wallijskie.
Dent d'Hérens (4174 m). Północną ścianę przeszli dwukrotnie uczestnicy obozów alpejskich w 1957 roku. Przypominamy tu, że w roku 1945 przeszli ją J. Hajdukiewicz i M. Mischke — było to wówczas 9 wejście tą ścianą. Droga prowadzi widoczną w środku ściany grzędą (wschodnim lub zachodnim jej rozgałęzieniem) kończącą się w barierze lodowej terasy Fincha. Z terasy wprost w górę, flanką szczytową na wierzchołek. Trudności drogi zależą przede wszystkim od uformowania się bariery oraz od stanu zaśnieżenia flanki. — J. Mostowski



na Mont Blanc i zeszli tą samą drogą do schroniska Vallot, po czym wraz z Mierzejewskim oraz M. i J. Żukowskimi zeszli na Grand Plateau. Stąd całą grupą powrócono przez Route Nationale (Petit Plateau — Grands Mulets — Jonction) do Les Bossons. W dniu 2. 8 Mitkiewicz, Stefański i Wilczkowski weszli pn. ścianą na Tour Ronde. W dniu 3. 8 tę samą drogę powtórzyli M. i J. Żukowscy oraz Gąsiorowski i Mierzejewski. Tegoż dnia Mitkiewicz i Schramm dokonali wejścia lewym żłebem wsch. ściany na Mont Blanc du Tacul, drogą Boccalatego („Coulair Boccalate“, zwany także „Coulair des Aiguilles du Diable“).

6—10 sierpnia — okres pogarszania się pogody i równoczesnych, w większości nieudanych prób dokonania poważniejszych wejść, skupionych przeważnie na pn. ścianie Aiguille Verte. W dniu 9. 8 Mierzejewski i Sawicki robią pn.-zach. grań Aiguille de Batière wraz z przejściem dolnych urwisk — nie dokończono z powodu deszczu (wycofanie z IV brèche, zrobiono ok. 3/4 drogi).

11. 8 Gąsiorowski i Schramm podchodzą pod żleb spadający z Col Armand Charlet z zamiarem wejścia tą drogą na Aig. Verte; w czasie forsowania trudnej szczeliny brzeźnej A. Gąsiorowski odpada, doznając zia-

mania dłoni — wycofanie się. Mitkiewicz, Stefański i Wilczkowski wchodzi na Aig. Verte pn. ścianą grani Coutouriera („Coulouir Coutourier“). Pod wieczór tegoż dnia następuje załamanie się pogody. 12. 8 po biwaku pod szczytem Aig. Verte. — Mitkiewicz, Stefański i Wilczkowski schodzą pd.-zach. ścianą drogą Mummeryego („Coulouir en Y“) do schroniska Charpoua. Na tym działalność sportowa grupy została zakończona. Począwszy od tego dnia członkowie grupy brali udział już wyłącznie w akcjach ratunkowych i poszukiwawczych.

18 sierpnia — likwidacja obozu.

Opracował na podstawie sprawozdań kierowników obozów dla ZG Klubu Wysokogórskiego Antoni Wala

Na grani Peutérey

Wejście na Mont Blanc granią Peutérey jest do dziś jednym z najciekawszych i najpiękniejszych w tym masywie. Najczęściej rozpoczyna się trawersowanie grani od przełęczy Brèche Nord, oddzielającej Aig. Blanche od Les Dames Anglaises. Po raz pierwszy trawersowanie tego dokonał P. Güssfeldt z przewodnikami E. Reyem, C. Kluckerem i C. Ollierem w 1893 roku, zaczynając jednak od Aig. Blanche. Dopiero w 1934, wspinał się monachijscy A. Göttner, F. Krobath i L. Schmaederer (28—31 lipca) przechodzą w całości grani Peutérey, wchodząc na Aig. Noire de Peutérey wschodnią granią od Mont Noire. Wejście południową granią na Aig. Noire de Peutérey zostało zrobione po raz pierwszy przez K. Brendela i H. Schallera w 1930 roku i stanowi do dziś jedną z najciekawszych dróg skalnych Alp. To też wejście na Mont Blanc całą granią Peutérey z osiągnięciem Aig. Noire de Peutérey tą właśnie granią, zrobione w 1953 przez Niemców: R. Hechtela i G. Kittelmana, uważane jest za jedną z najpoważniejszych i najdłuższych dróg alpejskich. Warto przy okazji przypomnieć, że w 1932 r. grani Peutérey od przełęczy Brèche Nord przeszli J. Golcz, S. Groński i K. Narkiewicz-Jodko. W 1947 próbowali przejść całą grani, łącznie z Aig. Noire de Peutérey T. Orłowski i W. Żuławski, lecz próba ich załamała się na Aig. Noire. Poniżej podajemy opis przejścia w całości grani Peutérey zrobionego ubiegłego lata przez dwa zespoły polskie.

Red.

30 lipca o godzinie 10 rano wyjechaliśmy kolejką linową z Chamonix na Aiguille du Midi, skąd przez górna część lodowca Giganta w dwie godziny przeszliśmy do schroniska Torino na Col du Géant. Mieliśmy zamiar wejść na Mont Blanc; Leszek Utracki, Andrzej Pietsch, Jerzy Warteresiewicz i Stanisław Worwa i granią Peutérey przez skrajnie trudną południową grani Aiguille Noire de Peutérey, a Adam Bilczewski, Roman Sledziwski, Witold Udziela i ja, przez wschodnią grani Aiguille Noire.

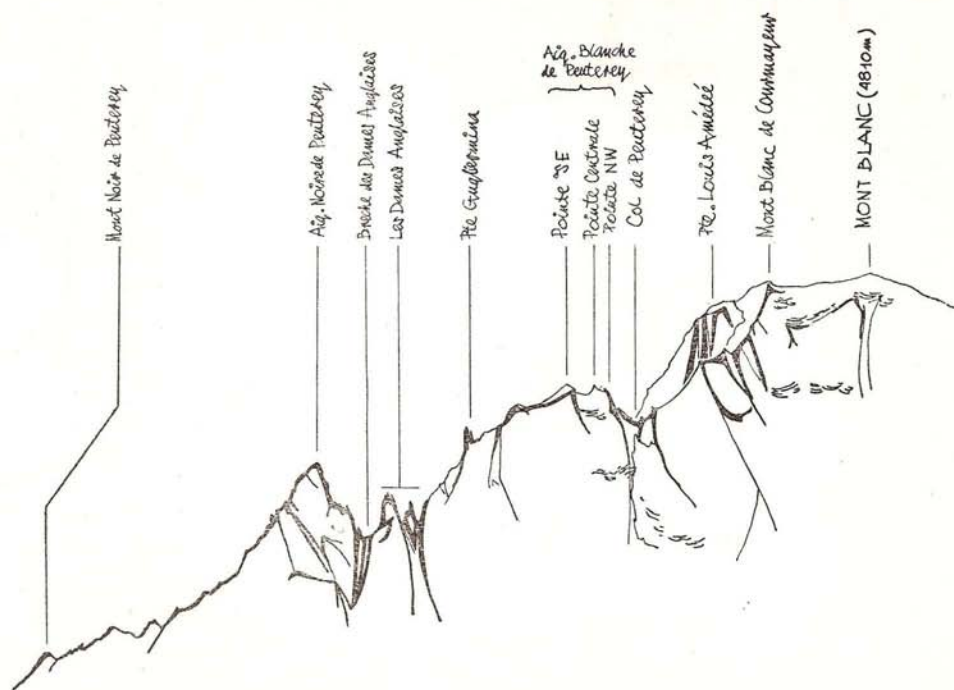
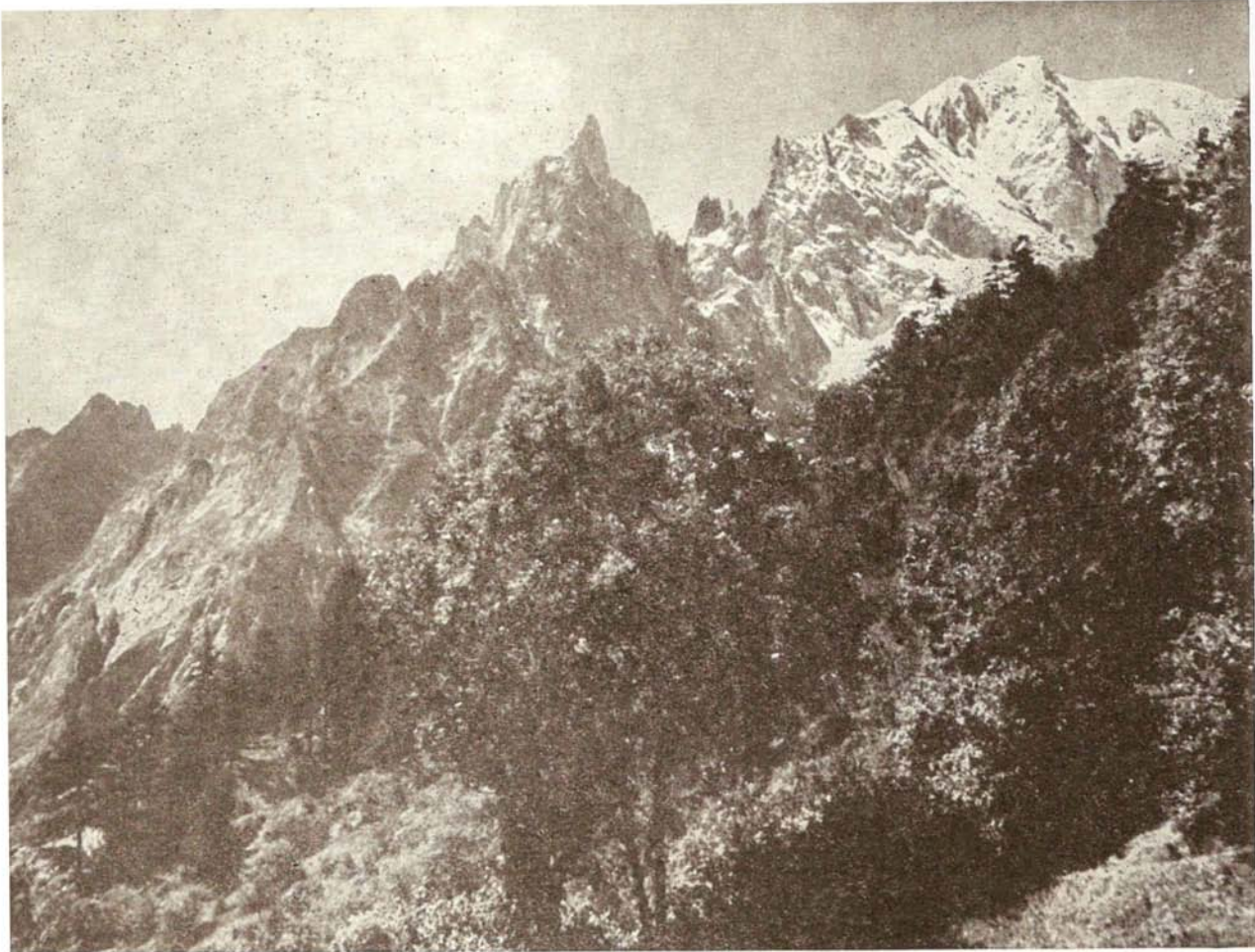
Pogoda była wspaniała, toteż wszyscy byliśmy dobrej myśli. Z Col du Géant do Entrèves zjechaliśmy kolejką linową. Stąd zapatrzyliśmy w dołminujący nad całą doliną masyw Aig. Noire, ruszyliśmy w kierunku małej wioskiej osady Peutérey, gdzie w pięknym modrzewiowym lasku ugotowaliśmy obiady. Tu zaczęło się podejście do schroniska Refuge de la Noire na wysokości 2316 m, znajdującego się w potężnej, wiszącej kotlinie między wschodnią, a południową granią Aig. Noire, zwanej Fauteuil des Allemands. Różnica wysokości wynosiła ok. 600 m, a na drodze dojścia mieliśmy dwa miejsca w skali trudnej. W schronisku, do którego dotarliśmy dopiero o zmroku, spotkaliśmy dwie sławy francuskiego alpinizmu J. Franco, kierownika wyprawy na Makalu i G. Magnone'a.

31 lipca o godzinie 3.30 grupa Utrackiego wyszła na grani południową, a zaraz z nimi na tę samą drogę 6 Francuzów. Mijają ich, ponieważ Andrzej Pietsch musiał wrócić się po zapomnianą czapkę i okulary. Toteż Francuzi weszli w ścianę pierwsi i często obrzucali później kamieniami, woiniej — z powodu ciężkich plecaków — idących za nimi Polaków.

My wyruszyliśmy pół godziny później i o wschodzie słońca weszliśmy w ścianę. Nie mogąc się polapać w płataninie nieznanych nam kruchych żeber i żlebów tej ogromnej ściany, zaraz na początku niepotrzebnie „zapchaliśmy się“ w trudny teren. Toteż na paru wyciągach wymagających sztywnej asekuracji i bicia haków, straciliśmy dwie, bardzo cenne jak się potem okazało, godziny. Potem jeszcze raz, już na grani szukaliśmy przez cztery godziny obejścia dwóch ogromnych żandarmów. Gdy wreszcie udało się nam je ominąć, była godzina 14.00. Po wypiciu kilku menażek mleka i wody z cytryną, poszliśmy dalej. Pogoda była wczoraj fantastyczna, a skała pozbawiona zupełnie śniegu pozwalała iść zrazu bez asekuracji, później jednak, speszzeni bardzo kruchą skałą, asekurowaliśmy się sztywno. Dwa pionowe olbrzymie uskoki grani ominęliśmy po lepiej urzeźbionej skale od strony Fauteuil des Allemands. Gdy o godzinie 19.00 wieczorem brakowało nam do szczytu jeszcze ok. 200 m, zdecydowaliśmy się biwakować na znalezionej małej, ale dość wygodnej platformie. Pokonana tego dnia różnica wzniesień ok. 1300 m przy ciężkich plecakach, dała się nam dobrze we znaki. Jak się później okazało również grupie Utrackiego na południowej grani, znacznie trudniejszej, zdecydowanie za ciężkie plecaki, uniemożliwiły rozwinięcie większego tempa. Nie pomogło im nawet wyrzucenie części sprzętu i żywności i tak musieli biwakować mniej więcej w połowie grani na Pointe Welzenbach.

¹ Dla uproszczenia, w dalszej części artykułu, określać ich będą grupą Utrackiego.

W okolicy Grands Mulets w czasie poszukiwań Grońskiego i jego towarzyszy jugosłowiańskich. Pierwszy z prawej strony stoi Wawrzyniec Żuławski. — M. Bala



1 sierpnia rozgrzani promieniami wschodzącego słońca, po zlikwidowaniu biwaku, ruszyliśmy dalej. Piętrzący się nad nami uskok grani obeszliśmy wielkimi płytami od strony Fauteuil des Allemands. Posuwając się już teraz ściśle granią mniej stromą, ale za to niezwykle eksponowaną, o godzinie 8.30 stanęliśmy na szczycie Aig. Noire. Na jej południowym wierzchołku zwanym Pointé Bich zobaczyliśmy Francuzów. Grupa Utrackiego zaczynała właśnie wspinać się na następną turnię, w południowej grani Pte Welzenbach. Wpisaliśmy się do książki szczytowej i prosto spod stojącej na szczycie aluminiowej figurki Matki Boskiej, założyliśmy pierwszy 30-metrowy zjazd, do widocznych na załamaniu ściany starych haków. Z nich 70-metrowym zjazdem przez pierwsze przewieszki, dostaliśmy się na wielkie strome płyty pokryte gdzienięgdzie śniegiem. Od tego miejsca zjazdu zakładaliśmy już z własnych haków. Stare wydawały się nam niepewne i często dawały się wyjąć ręką, a ściana stawała się coraz bardziej pionowa i coraz częściej trzeba było jechać przez duże przewieszki. Następnym 70-metrowym zjazdem, szukając bezskutecznie dobrego stanowiska na założenie następnego zjazdu, dojechałem, robiąc wadło, na stromą lodową półkę u stóp przewieszzonego zacięcia. Widząc w nim stare haki i kołki, baliśmy się trochę, czy nie jedziemy slyną drogą Vitall-Ratti. Dopiero w Chamonix dowiedzieliśmy się, że zostawił je J. Couzy w czasie pierwszego przejścia uskoku w górę. Bilczewski, Udziela i Śledziewski zatrzymali się 15 m wyżej, skąd stojąc w pętach założyli następny 70-metrowy zjazd. Zjazdem tym, przez przewieszkę, zupełnie wolno w powietrzu, zjechałymi na małe pole śnieżne w połowie uskoku grani. Jadącemu na końcu Bilczewskiemu zacięła się w czasie tego wolnego zjazdu pętla autoasekuracyjna i nie mogąc osiągnąć zacięniętego węzła, dusząc się prawie, w ostatniej chwili odciął się od pętli wyciągniętym z kieszeni nożem. Następne 70 m zjazdu prowadziło ogromnym, mokrym kominem. Lejące się nim strumienie wody przemoczyły nas zupełnie. Z trudem ściągnęliśmy mokrą, ciężką, naciągającą się jak guma linę. Z pokrytego stromym śniegiem dna założyliśmy następny zjazd przez poprzewieszane, mokre progły, rozszerzającego się już tu kominą. Po przejechaniu ok. 50 m z dość dobrego stanowiska założyliśmy następny 70-metrowy zjazd. Tu chwyciła nas noc. Tylko ja i Śledziewski zjechaliśmy jeszcze niżej, gdzie w bardzo stromym lodzie, który z góry wydawał się nam zupełnie poziomy, udało się nam wyrąbać czekaniami maleńką, zaledwie pół metra szeroką półeczkę. Na niej, przywiązani do haków, spędziliśmy na stojąco całą noc.

2 sierpnia. Zaraz po świcie zjechali do nas Bilczewski i Udziela. Przy ściąganiu zjazdu zacięła się nam jednak lina i dopiero po prawie dwóch godzinach skomplikowanych manipulacji, udało się nam założyć dalszy 70-metrowy zjazd. Stromą płytową rynną wyjechaliśmy z linii spadku kamieni zrzuconych przez zaczynającą właśnie zjeżdżać grupę Utrackiego. Dopiero ok. 100 m niżej, stanęliśmy w śnieżnym żlebie, spadającym z Brèche des Dames Anglaises na lodowiec Fréney. Na przelączkę weszliśmy bardzo szybko, nie zakładając nawet raków. Śnieg był doskonały. Z przelączki, najpierw niestychanie kruchą granią, a potem trawersem u stóp prawie 100-metrowych iglic Pointe Yolande, Pointe Castelnouvo, Pointe Casati wyszliśmy na siodelko w załamaniu ściany nad stromą, paruset metrową, ukośną rynną. Ta lodowo-skaina rynną spadała do żlebu Brèche Nord des Dames Anglaises. Wspomnianą rynną założyliśmy 70-metrowy zjazd, przy czym przy ściąganiu, lina wcięła się nam w nawis śnieżny i straciłmy trochę czasu na jej uwolnienie. Po zejściu jeszcze ok. 70 m bardzo kruchym i niemiłym terenem, o godzinie 14.30 stanęliśmy w żlebie, spadającym z Brèche Nord des Dames Anglaises. Z powodu, bez przerwy lecących nasonecznionym żlebem kamieni i firmowych lawinek, w oczekiwaniu na cień, zrobiliśmy prawie 3 godzinny odpoczynek. Wraz z nasuwającym się cieniem, doszła do nas grupa Utrackiego i teraz już w ósemkę zaczęliśmy podejście żlebem. Noc spędziliśmy ściśnięci jak sardynki w maleńkim przyjemnym bivacco im. P. Craveri na przelączce na wysokości 3490 m. Było nam ciepło i przyjemnie. Tylko Jurek Warteresiewicz wołał bez tłoku spać samotnie na dachu.

3 sierpnia. Po kilkunastu trudniejszych wyciągach od strony lodowca Fréney, przeszliśmy na drugą stronę grani i na stosunkowo łatwym terenie rozwiązaliśmy się. Ostrożnie, jednym z licznych, kruchych żeberek weszliśmy po paruset metrach na przelączkę w grani Aiguille Blanche de Peutérey za jej pierwszym skrzesanym w fantastyczną ścianę wierzchołkiem Pointe Gugliermína. Z przelączki, łatwą i szeroką granią, weszliśmy na najwybitniejszy, ale nie najwyższy wierzchołek południowo-wschodni Aig. Blanche de Peutérey (4107 m). Stąd, lodową, bardzo ostrą, eksponowaną i efektowną granią, omijając główny wierzchołek, przeszliśmy na wierzchołek północno-zachodni. Na widoczne pod nami szerokie siodło Col de Peutérey zjechaliśmy ze starych, znalezione haków, dwoma 70-metrowymi zjazdami. Nastoneczniony, bardzo narażony na lecące kamienie, lawiniasty stok po przeciwnej stronie przelączki i brak wygodnego miejsca biwakowego na dalszej części grani, skłonił nas mimo stosunkowo wczesnej pory do założenia biwaku.

* 4 sierpnia. Noc na wysokości 3948 m, w przeciwieństwie do poprzednich była bardzo zimna. Na dodatek skończyło się nam nie tylko paliwo do maszyny, ale również i jedzenie. Musieliśmy poprzestać tylko na dwóch menażkach gorącego mleka. Za to śnieg na podejściu był twardy i zmrożony. Systemem półek od lewej strony, weszliśmy ponad pierwsze spiętrzenie grani i wspinając się na przemian po skale lub śniegu, w 3 godziny osiągnęliśmy poziomy odcinek grani, w którym kulminuje Grand pilier d'angle wschodniej ściany Mont Blanc.

Wjeżdżając na Mont Blanc granią Peutérey z osiągnięciem Aig. Noire du Peutérey granią południową, uważane jest dziś za jedną z najpoważniejszych i najdłuższych dróg alpejskich. Drogę tę przeszli polscy alpinści w dniach od 31. 7 do 4. 8 1957 roku, uczestnicy obozu „Francja I”. Obok widok na grań Peutérey z północnego-wschodu. — M. Bała

Teraz, po przeciwnej stronie przełęczy, na grani Aig. Blanche, którą szliśmy dnia poprzedniego, zobaczyliśmy bardzo szybko poruszającą się dwojkę. W czasie zjazdu na Col de Peutérey, nagle jeden z nich niespodziewanie odpadł i po przeczeniu na naszych oczach ok. 150 m, odbijając się od stromych płyt, zatrzymał się na przełęczy, tuż obok miejsca naszego biwaku. Jego towarzysz, krzyknawszy dwa razy, prawie biegiem wrócił granią na pd.-wsch. wierzchołek Aig. Blanche i za nim zniknął nam z oczu. Patrzyliśmy na to zaskoczeni. Leżący na przełęczy nie dawał znaku życia. Nie mając żadnych możliwości poprowadzenia akcji w tak trudno dostępnym miejscu jak Col de Peutérey, będąc zresztą już zupełnie bez jedzenia, zdecydowaliśmy się nie wracać, a przez radiotelefon ze schroniska na Aig. Goûter zawiadomić o wypadku. Jak się później dowiedzieliśmy, wypadkowi uległ adwokat z Nowego Yorku B. Curtis. Według zeznań jego towarzysza, spotkanego przez włoskich alpinistów w bivacco Craveri w czasie zjazdu rozgiął mu się karabinek (!). Ciało B. Curtisa na następny dzień ściągnął włoski helikopter. Stwierdzono równocześnie, że poniósł on śmierć na miejscu.

Zszokowani wypadkiem, na częściowo zalodzonej, rozplaszczającej się w końcu i zanikającej grani, asekurowaliśmy się sztywno. O godzinie 15.00 przez szczytowy nawis, weszliśmy na Mont Blanc de Courmayer, by w pół godziny później stanąć na Mont Blanc.

M. Bała

Próba podsumowania działalności zimowej i letniej w Tatrach w 1957 roku

Przystępując do omówienia zeszłorocznej działalności taternickiej, z góry musimy się zastrzec, że nie będzie to sprawozdanie kompletne. Co prawda nie jest istotne, aby w dorocznych bilansach znalazły się wszystkie bez wyjątku przejścia dokonane w okresie sprawozdawczym, ale powinny znaleźć się w nich wszystkie najważniejsze wydarzenia i przejścia. Niestety warunek ten nie może być spełniony, gdyż na przeszkodzie stoi brak danych. Pisała już o tym Redakcja w notatce „Ku uwadze taterników” zamieszczonej w numerze 3/57 Taternika. Dlatego na tym miejscu jeszcze raz zwracam się do wszystkich taterników i zarządów Kół KW z prośbą, aby także we własnym interesie, informowały nas systematycznie i dokładnie o wszystkich wydarzeniach i osiągnięciach na terenie Tatr.

Jako objaw niepokojący, już na wstępie musimy zaznaczyć, że zeszłoroczna działalność zimowa skupiła się głównie w otoczeniu Morskiego Oka, podczas gdy otoczenie innych dolin, jak Doliny Pięciu Stawów Polskich, czy górnych pięter Suchej Wody, było terenem tylko sporadycznych większych poczynań.

W Tatrach Słowackich mamy do zanotowania tylko jedno poważniejsze osiągnięcie, jakim było I zimowe przejście pn. ściany Zabiego Szczytu Wyznłego.

Spośród szeregu wartościowych, pierwszych przejść na czoło wysuwają się dokonane z początkiem marca przez J. Długosza, C. Momatiuka, A. Pietscha i M. Własińskiego, w ciągu czterech dni, wejście zimowe środkiem pn. ściany na Kazalnicy Mięgoszowiecką. Dokonano go w dobrych warunkach, po uprzednim założeniu ponad stu metrów lin poręczowych. Na niektórych fragmentach ściany używano dla przejścia przez pozostałych uczestników zespołu drabinek linowych (wejście to budzi jednak pewne wątpliwości — red.).

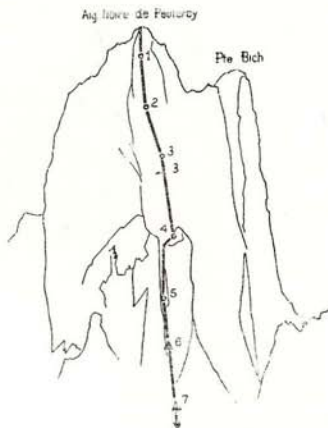
Grupa taterników poznańskich pod kierownictwem R. W. Schramma dokonała w pierwszej połowie marca I trawersowania tzw. „Grani Tatr Polskich” (od Przełęczy pod Zabią Czubą do Wołoszyna). Szerszy opis tego przejścia zamieszczony był w numerze 3/57 Taternika.

Wejścia wprost od północy na Mięgoszowiecką Przełęcz pod Chłopkiem dokonała wreszcie dwójka J. Krajski i J. Rudnicki, w dwudniowej wspinaczce, w bardzo złych warunkach atmosferycznych i śnieżnych.

Ten sam zespół dokonał w dniach 26 i 27 marca I wejścia od pn. częściowo drogą Korosadowicza na Wołową Turnię. Rozwiązanie górnej części drogi depresja Zabiej Przełęczy Mięgoszowieckiej z wejściem wprost od niej na wierzchołek, nie pozwala uznać ich przejścia za pełne rozwiązanie zimowe pn. ściany Wołowej Turni. Na specjalną uwagę zasługuje, o czym pisaliśmy już wyżej, I wejście pn. ścianą na Zabi Szczyt Wyzni. Dokonał go H. Dębiński, A. Gąsiorowski, J. Stryczyński i S. Zierhoffer w dniach 4 i 5 marca.

Z powtórzeń wymienić należy cztery wejścia pn.-wschodnim filarem na Mięgoszowiecki Szczyt tj.: J. Krajski i J. Rudnicki 30 i 31 marca, H. Furmanik i M. Popko (w jeden dzień), M. Bała i H. Bednarek (w dwa dni, z zejściem po pierwszym dniu do schroniska), S. Kuliński i A. Skoczyła (7 kwietnia). Nadzwyczaj korzystnym warunkom w dolnej części filara należy przypisać tak wybitne skrócenie czasu niektórych przejść. Będzie się to odnosić także i do przejść dokonanych w tym samym czasie na innych ścianach.

Na drugim miejscu wymienimy cztery przejścia wschodniej ściany Mięgoszowieckiego Szczytu: IV — A. Skoczyła oraz A. i J. Wałowie w dniach 28 i 29 marca; V — S. Bysiek, K. Filasiewicz, S. Kuliński i A. Niesiołowski (dwa dni); VI — J. Surdel i J. Warteresiewicz (w jeden dzień), VII — M. Bała i H. Bednarek (w jeden dzień).



Aiguille Noire du Peutérey (3772 m). Uskok północnej grani. Na rysunku obok wrysowano drogę zejściową zrobioną zjazdami z zaznaczeniem stanowisk grupy: M. Bała, A. Bilczewski, W. Udziała, R. Siedziwski, która weszła wschodnią granią na Aig. Noire.

Pn.-wschodnią ścianę Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego przeszli po raz czwarty Z. Siwak, J. Halecki, J. Krajski i J. Rudnicki.

Pn.-wschodni filar Wołowego Grzbietu stał się popularnym, o czym świadczy dokonanie aż trzech jego przejść. Ta efektywna, długa i wcale nie łatwa droga zasługuje na to w zupełności i jest godna polecenia zwłaszcza taternikom o średnim stażu. Przeszli ją: II wejście — S. Kuliński i A. Skoczylas 5 kwietnia, III — B. Jaroszevska i E. Zienkiewicz oraz IV — Z. Rubinowski i A. Stanoch.

Drogi na pn. ścianie Mięguszowieckiego Szczytu podobnie jak i na pn.-zach. Niżnich Rysów powtarzane były wielokrotnie. Musi jednak dźwiżyć fakt, że bez wątplenia jedna z najwspanialszych dróg zimowych w Tatrach, „diretissima” na pn. ścianie Mięguszowieckiego Szczytu nie doczekała się trzeciego przejścia.

Jednym z ciekawszych osiągnięć poza otoczeniem Morskiego Oka, było przejście grani od Kasprowego do Wołoszyna, dokonane przez K. Berbekę, M. Gajewskiego i R. Wawro w bardzo złych warunkach atmosferycznych i śnieżnych, w ciągu jednego dnia (26 kwietnia).

Pewnym ewenementem minionego sezonu zimowego była samodzielna taternicka działalność kobiet. Poza wymienionym już III wejściem pn.-wsch. filarem na Wołowy Grzbiet, B. Jaroszevska i E. Zienkiewicz weszły jeszcze od północy na Mięguszowiecką Przełęcz Wyznią, a wraz z K. Grochowską — zach. filarem na Kopę Spadową. Natomiast nie można uznać za przejście pn.-zachodniej ściany Niżnich Rysów wspinaczkę tą ścianą, zakończoną wytrawersowaniem na zach. filar Kopy Spadowej.

Trzeba wysunąć pewne zastrzeżenie co do taktyki przeprowadzenia niektórych wspinaczek. Nie do rzadkości należały wypadki rozpoczynania ich przy zdecydowanie złej pogodzie. Obok nich dostrzega się jakieś kardynalne lekceważenie własnego bezpieczeństwa, a w konsekwencji i cudzego. Nie trudno by było wysunąć wnioski, skąd powstał pogląd, że brawura jest czynnikiem decydującym o przydatności w czasie wypraw w góry lodowcowe.

Złośne nieporozumienie! Należy stwierdzić, że dla niepotrzebnej brawury brak jest miejsca nie tylko w Alpach, ale nawet w Tatrach. Tragedia pn. ściany Eigeru może się powtórzyć w każdych górach.

Pomimo wyjazdu ponad czterdziestu osób z grupy najczynniejszych i najbardziej doświadczonych taterników w Alpy, sezon letni był dość bogaty w ciekawe osiągnięcia. Już na jego początek przypada II, a zarazem I w przeciwnym kierunku trawersowanie grani Tatr od Przełęczy Huciańskiej do Zdziarskiej przez K. Berbekę, M. Gajewskiego i R. Wawro od 2 do 9 czerwca (sprawozdanie z przejścia podano w Taterniku nr 4/57).

Na pn. ścianie Galerii Gankowej zostały powtórzone obie jej wielkie drogi. J. Surdel i B. Zagajewski przeszli drogą Gostawskiego i Orłowskiego (II polskie), a J. Biederman i J. Panfil oraz Hierzyk i Jeleński drogę Łapińskiego i Paszuchy (III i IV polskie). Dokonano również kilku przejść środkiem pn. ściany Kazalnicy Mięguszowieckiej i środkiem pn. ściany Zabiej Turni Mięguszowieckiej. Między innymi pierwszą przeszli K. Salyga i J. Surdel oraz Hierzyk i Jeleński, drugą zaś Hierzyk i Jeleński oraz K. Mossakowski i J. Surdel.

Ponadto dokonano szeregu powtórzeń, jak pn. ścianą Małego Kieźmarskiego, pd. ścianą Małego Kołowego Szczytu — A. Stanoch i B. Zagajewski oraz A. Grabianowski i L. Radon — i wielu innych, których nie sposób z podanych już poprzednio przyczyn tu uwzględnić.

Już przedstawiony tu wykaz mógłby skłaniać do pozytywnej oceny młodego pokolenia taternickiego, gdyby nie pewne, widoczne i niedające się usprawiedliwić pociągnięcia, nastrojające pesymistycznie.

Na pytanie: czy wszyscy uczestnicy zesłorocznych przejść dorosli do dróg, które przebywali, należy stwierdzić, że nie. Dowodzą tego mnożące się wypadki odpadnięć i to z reguły na drogach łatwiejszych, wskazujące na istniejące dysproporcje pomiędzy możliwościami, a ambicjami części młodego pokolenia.

Ale czy istotnie jest to jedynie wynikiem przerostu ambicji? Odpowiedzią może tu być cytat ze sprawozdania przesłanego redakcji za pośrednictwem Zarządu Koła, przez dwu uczestników przejścia pn. ściany Galerii Gankowej drogą Łapińskiego i Paszuchy: „...Wejście w ścianę (...) o godz. 9-tej (wcześnie rano zanościło się na deszcz). Warunki atmosferyczne początkowo niezłe uległy potem pogorszeniu, a po paru godzinach od wejścia padał deszcz. Zamierzaliśmy przejść drogę bez biwaku, jednak ze względu na późne wyjście, pogorszenie warunków atmosferycznych, mokrą linę sisalową, zgubienie ławeczek podciągawych, zbyt małą ilość karabinków i ich podłą jakością, musieliśmy po 12 godzinach wspinaczki biwakować na pochyłej półce — jak się potem okazało, 30 m od galerii...“.

Należy powtórzyć tu słowa wypowiedziane przy okazji omawiania sezonu zimowego: po co ta niepotrzebna nikomu brawura? Czy ktośkolwiek sądzi, że rozważa nie cenę się w taternictwie na równi z przedsiębiorczością? Nikt, nawet udanymi — powiedzmy otwarcie — szaleństwami, nie wyrobił o sobie w otoczeniu opinii człowieka doświadczonego. Jedno wyklucza drugie.

Nikt nie będzie również twierdził, że wyprawa przerastająca możliwości czy środki techniczne jest źródłem zadowolenia. Wrażenia wyniesione z niej są przyczyną, którą należy tłumaczyć liczne wypadki odchodzenia od taternictwa ludzi, którzy zbyt szybko chcieli być jednymi z najlepszych.

AA-S

Jeśli interesuje cię działalność „Klubu” w ostatnich kilku latach oraz chcesz się zapoznać ze zdobyczami alpinizmu światowego lat ubiegłych

to przeczytasz o tym w zeszytach 1-2 i 3-4

TATERNIKA

za rok 1956

i w zeszytach
wrzesień 1954
luty 1955

GÓR WYSOKICH

Wymienione zeszyty są jeszcze do nabycia. Zgłoszenia należy kierować na adres:

Administracji Taternika

Zamówione zeszyty wysyłamy za zalicz. pocztowym

Przegląd działalności

w okresie od lipca 1956 do grudnia 1957 r.

Lato 1956 roku przyniosło pierwsze wyprawy do jaskiń zagranicznych: dwunastoosobową do Bułgarii i udział pięciu Polaków w międzynarodowej ekspedycji do Gouffre Berger; stanowiło więc pewnego rodzaju przełomowy punkt w rozwoju taternictwa jaskiniowego. Serdeczne stosunki nawiązane z organizatorami wyprawy do Gouffre Berger — grotolazami z Grenoble, umożliwiły w lecie 1957 r. wyjazd do jaskini Dent de Crolles, trzeciej obecnie pod względem głębokości na świecie.

W ciągu ubiegłego okresu półtorarocznego polskie jaskinie były przede wszystkim terenem działania wielu szybkich wypadów, których celem było osiągnięcie znanych już wprawdzie, ale odległych od otworu wejściowego punktów. W latach ubiegłych dotarcie do nich wymagało zorganizowania większych wypraw, liczących często kilkunastu uczestników i trwających po kilka, a nawet kilkanaście dni. Przyczyną tego był wprawdzie głównie odkrywczy charakter tamtych wypraw, a więc nieznaną do czasu czekających trudności i przeszkód, niemającą jednak rolę grał też znacznie bardziej prymitywny i cięższy ekwipunek, a także niższy poziom techniczny uczestników.

Terenem tego rodzaju szybkich wypadów były przede wszystkim jaskinie Miętusia i Zimna. W jesieni 1956 r. O. Czyżewski, K. Kowalski, K. Grotowski i S. Ogaza dokonali zejścia na dno kominów w jaskini Miętusiej, przy czym dno — 200 m, osiągnęli dwaj ostatni. Akcja trwała jedynie 18 godzin, jednak wskutek zupełnego przemoczenia i poważnego wyczerpania zaszła konieczność pozostawienia w jaskini części sprzętu. Identyfikacyjne zejścia dokonali w dwa tygodnie później S. Godzik, M. Maczek, T. Wędrychowski i S. Zlonkiewicz (ten ostatni na dno) w podobnym czasie.

Godne zanotowania jest również osiągnięcie w ciągu 12-godzinnej wyprawy Sali Złomisk w jaskini Zimnej w nocy z 19 na 20 sierpnia 1956 r. przez A. Budzanowskiego, S. Ogazę, A. Radomskiego, T. Wędrychowskiego i S. Zlonkiewicza, oraz podobne, dokonane jednak znacznie trudniejszą drogą, bo przez korytarz „pod Łukami“ przez W. Maczka z towarzyszami (listopad 1957 r.). Szereg krótkich wypadów do jaskini Kasprowej Niżniej odbył w jesieni 1957 r. młodzi członkowie zakopiańskiej sekcji taternictwa jaskiniowego.

Terenem większych wypraw była w ubiegłym sezonie jaskinia Miętusia. W okresie Nowego Roku wyprawa grotolazów warszawskich przebyła syfon w partii jaskini ponad tzw. „Progiem Męczenników“, odkrywając około 800 m nowych korytarzy. Podjęte przez tę samą grupę w jakiś czas później próby nurkowania w syfonie na dnie kominów dały wyniki negatywne.

Z początkiem lutego 1957 r. działała również w jaskini Miętusiej wyprawa Sekcji Krakowskiej. Jednak z powodu nagłej odwilży, która spowodowała zalanie wstępných partii jaskini, cele wyprawy nie zostały zrealizowane, a zbadano jedynie bardzo trudno dostępny korytarz „Trzech Króli“ i kilka jego bocznych odnóg.

Prócz wymienionych wyżej ważniejszych osiągnięć sportowych, dokonano w omawianym okresie wielu przejść trudnych jaskiń. Rezultatem działalności jaskiniowej są również odkrycia nieznanych do tej pory części jaskiń. Prócz wspomnianego wyżej odkrycia w Miętusiej, wymienić trzeba zbadanie ok. 200 m nowych, bardzo trudno dostępnych korytarzy w jaskini Ciasnej w dol. Jaworowej (A. Budzanowski, P. Burchard, R. Gradziński, K. Kowalski, W. Maczek, Z. Łukaszczyk, S. Ogaza, A. Radomski, W. Szymczakowski, P. Vavro — wrzesień 1957).

Jest rzeczą zrozumiałą, że podstawą działalności jaskiniowej jest posiadanie dużych ilości możliwie lekkiego sprzętu, co zresztą wielokrotnie podnoszono. Ostatni rok przyniósł na tym polu znaczne osiągnięcia. Wyprodukowano już kilkanaście metrów bardzo lekkich drabin ze szczeblami duralowymi na linkach stalowych, których 10-metrowy odcinek waży niewiele ponad 1 kg. Drabiny te, kilkakrotnie lżejsze od używanych poprzednio, umożliwiły dokonanie wymienionych wyżej szybkich wypadów do jaskiń Miętusiej i Zimnej. Wykonane również niedawno elektryczne światła czołowe okazały się bardzo mocne i dobre, zdając egzamin nawet na wyprawie do Gouffre Berger. Rozpoczęta została wreszcie produkcja worków transportowych, według wzoru używanego przez Francuzów. Wykonywane są również prototypy mocnych, nieprzemakalnych kombinezonów i karbidowych lamp czołowych.

Na osobną wzmiankę zasługuje wykonanie we własnym zakresie trzech aparatów do swobodnego nurkowania, specjalnie przystosowanych do użycia ich w jaskiniach, wraz z odpowiednimi gumowymi strojami i podwodnymi lampami. Aparaty te zostały opracowane przez W. Maczka przy współpracy A. Ostrowicza i O. Czyżewskiego. Były one specjalnie przygotowane na mającą się odbyć w lecie 1957 r. drugą wyprawę do Bułgarii, która jednak nie doszła do skutku z powodu reorganizacji tamtejszego Komitetu Kultury Fizycznej. Przed wyprawą został zorganizowany w Krakowie kurs posługiwania się tymi aparatami w warunkach jaskiniowych.

NAD NOWYM WYDANIEM PISM KARŁOWICZA

Antoni Gąsiorowski

Mieczysław Karłowicz: W TATRACH. Zredagował i wstępem opatrzył Jerzy Młodziejowski. Kraków 1957, Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Str. 100. Fot. 44.

„Ze śp. Mieczysławem Karłowiczem niejednokrotnie bywałem w Tatrach na wycieczkach i znałem jego niezwykłą ścisłość i punktualność, która przybierała cechy jakiejś machiny automatycznej, gdy chodziło o godzinę powrotu z górskiej wycieczki: ani noc, ani burza nie mogły go wtedy powstrzymać. Czynił to dla matki, aby jej oszczędzić chwil niepokoju i wyczekiwania” — Mariusz Zaruski („Ostatnim śladem“)

Tatrzańskie pisma i fotografie Mieczysława Karłowicza są lekturą bardzo ciekawą i niewątpliwie dobrze znaną wszystkim, interesującym się historią taternictwa. Wiele z nich zostało opublikowanych przed pół wiekiem właśnie w „Taterniku”. Po tragicznej śmierci Karłowicza — Sekcja Turystyczna Towarzystwa Tatrzańskiego zebrała wszystkie większe utwory i celniejsze fotografie w wydany w roku 1910 albumie *Mieczysław Karłowicz w Tatrach. Pisma taternicze i zdjęcia fotograficzne*. Album ten jest już dzisiaj prawdziwą rzadkością i dlatego jego reedycja, dokonana zresztą w nieco zmienionej formie, prawdziwie nas cieszy.

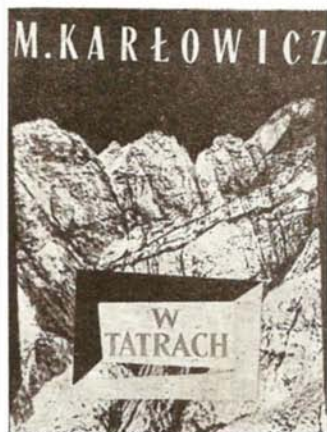
Postać Mieczysława Karłowicza, którego pięćdziesięciolecie śmierci obchodzić będziemy w roku przyszłym, ze wszechmiar warta jest przypomnienia. Karłowicz był niewątpliwie jedną z czołowych postaci świata taternickiego w swoim okresie, w okresie rodzenia się nowoczesnego taternictwa polskiego. Ze zbioru jego pism odczytać możemy ówczesną drogę rozwoju taternictwa polskiego — od wspinaczek, a raczej „taternickich wycieczek” z przewodnikiem, aż do uwolnienia się spod opieki przewodnika i zupełnej samodzielności na drogach już taternickich, wspinaczkowych. W pierwszym opowiadaniu — „Wycieczka na króla tatrzańskiego i Szczyt Mieguszowiecki” — ogłoszonym po raz pierwszy w roku 1895, a opisyującym wycieczkę z roku 1894, można doszukiwać się pokrewieństwa z wydaną o cztery lata wcześniej książką Stanisława Witkiewicza *Na przetęczy*, lub ze słynnym artykułem Tytusa Chalubińskiego pt. *Sześć dni w Tatrach* (1879 rok). Pokrewieństwa te wyrażają się np. w podobnym stosunku do gór i w podobnym na nie spojrzeniu. Pisane w 12 lat później, w większości publikowane w „Taterniku” artykuły, uderzają już innym, nowocześniejszym stosunkiem do gór, pozostającym w ścisłym związku z ówczesnymi przemianami ideologii i pojęć taternickich, z rodzeniem się nowoczesnego taternictwa.

Karłowicz w taternictwie szukał przede wszystkim wrażeń estetycznych. *Idealnym typem turysty* — mówił na Walnym Zgromadzeniu Sekcji Turystycznej TT w roku 1907 — *byłby dla mnie ten, co by wyruszając w góry z jasno określonym pragnieniem szukania wrażeń w pierwszym rzędzie estetycznych, posiadał jednocześnie tyle silnej woli, odwagi i wyrobienia, ażeby wszystkie trudności stały się dlań tylko urozdumieniem wyprawy*. Swój ideał urzeczywistnił Karłowicz z ogromną konsekwencją. Szukał wrażeń na drogach łatwiejszych i trudniejszych, chodził po ciekawych i mniej ciekawych partiach Tatr. Miał w programie zdobycie wszystkich szczytów tatrzańskich. *Mało który ze współczesnych mu taterników mógł mierzyć się z nim liczbą zwiedzonych wierzchołków i turni w Tatrach* — pisze Mieczysław Świerż („Taternik”, Roczn. XII, 1928. S. 93).

Nie obce mu były jednak elementy sportowe w taternictwie. Uznawał je w pełni, przeciwny był tylko dominacji pierwiastka sportowego w ideał taternickiej. Był dla niego środkiem, nie celem. Sprawność techniczna potrzebna mu była dla łatwiejszego osiągnięcia właściwego celu. W doskonaleniu tej sprawności posunął się aż do ćwiczeń skałkowych w wyszukanych przez siebie skałkach regłowych, co w owym czasie było w Tatrach zupełną nowością. Z tego też samego powodu, jako jeden z pierwszych w Zakopanem rozpoczął naukę jazdy na nartach, które otwierały przed nim Tatry zimą.

Najrozmaitiej oceniały Karłowicza następne pokolenia taternickie. Jego idee w przebiegu lat nieraz zostały wypaczone i zniekształcone. Przykładem tego może być przede wszystkim ocena Karłowicza dokonana przez J. A. Szczepańskiego („Wierchy”, Roczn. XXII, 1953, s. 13), którą zakwestionować odważył się dopiero T. Strumiłło („Góry Wysokie”, luty 1955).

Karłowicza najlepiej „obronić” można przed wszelkimi zarzutami jego własnymi pismami. Pisane prostym, potoczystym językiem, są łatwo zrozumiałe i naturalne. Biję z nich miłość do gór i radość obcowania z nimi. „Wszechbyty”, za które na głowę Karłowicza spadały tak liczne gromy, zajmują w tych pismach miejsce skromne i dalekoplepne. Nie mogą być one miernikiem i sprawdzianem stosunku Karłowicza do taternictwa. Niewątpliwie lepszym, prawdziwym miernikiem jest analiza jego działalności górskiej. Nieraz spotykamy się w pismach Karłowicza — i we wspomnieniach o nim — z innym zjawiskiem. Jest nim „społeczne” nastawienie Karłowicza do wielu spraw górskich. Przykładów tego znaleźć można wiele. Karłowicz prowadził kursy narciarskie, namawia do szkolenia adeptów w szkółce skałkowej, pisze i publikuje opisy dróg, bierze udział w akcji ratunkowej, jest wreszcie jednym z głównych inicjatorów, założonego już po jego śmierci, Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Możemy też spokojnie powtórzyć za T. Strumiłłą: *Dziś... postać Karłowicza wydaje się nam szczególnie bliska. Nie zamykamy oczu na jego dziwactwa...*



nie gloryfikujemy błędów, popełnianych czasem przez niego, a częściej przez jego epigonów. Równocześnie jednak w pełni doceniamy jego na wskroś nowoczesny stosunek do taternictwa jako do zjawiska społecznego o charakterze sportowym, posiadającego przede wszystkim wielkie walory estetyczne.

Książkę wydało Polskie Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie w starannej szacie graficznej i płóciennej oprawie. Reprodukcje fotografii są dobre (rotograwiura), choć — przynajmniej to trzeba — niektóre zdjęcia lepiej i wyraźniej wypadły w pierwszym wydaniu prac Karłowicza w roku 1910. Niezbyt szczęśliwym wydaje się tylko pomysł (prawdopodobnie wzorowany na niektórych wydawnictwach niemieckich) rozpoczynania akapitu bez wzięcia przez co zatraca się niekiedy podział tekstu.

Wydanie pism przygotował dr Jerzy Młodziejowski. Zapalony miłośnik Tatr, eks-taternik, muzyk i kompozytor — jest Młodziejowski, bez przesady, wielkim czcicielem Karłowicza. Zebrał on sumiennie prawie wszystkie tatrzańskie pisma Karłowicza (z wyjątkiem kilku listów), rozszerzając w ten sposób wydanie z roku 1910, które obejmowało tylko sześć pierwszych opowiadań obecnego wydania i artykuł „W ważnej sprawie”. Wstęp, pióra Młodziejowskiego, choć krótki, jest bardzo pożyteczny — omawia trafnie postać Karłowicza i jego ideologię. Tezy wstępu oparte są niewątpliwie na pracy Adolfa Chybińskiego („Mieczysław Karłowicz. Kronika życia artysty i taternika”) — nieocienionej kopalni materiałów dotyczących Karłowicza. Zasluga Młodziejowskiego jest również dobór zdjęć robionych przez Karłowicza. W wydaniu z roku 1910 było ich 23, przy 43 wydania obecnego. Szkoda jednak, że nie znalazło się tu jeszcze kilka zdjęć — chociażby Ostrego Szczytu od południa, Staroleśnej z dol. Staroleśnej i Zabiego Konia od północy, które umieszczone były w poprzednim wydaniu.

Na koniec kilka uwag. Pewne zastrzeżenie budzi system przypisów redakcyjnych, które opracowane są pobieżnie i niedokładnie. Niektóre z nich nie wyjaśniają jak np. tautologiczne objaśnienie dotyczące szosy do Morskiego Oka — do s. 18, niektóre są błędne, np. s. 63 — dolina Staroleśna to po słowacku nie Mala, a Velká Studená Dolina. Brak wreszcie czasem koniecznych przypisów. Nie objaśniono np. (s. 141) nazwy „Szczyt Antoniny” (Mały Jaworowy Szczyt), nie przetłumaczono nazwy „Luka-Joch” (Stwońska Przełęcz) itd. Również bardzo różnej wartości i dokładności są dane biograficzne, objaśniające postacie występujące w tekście.

Z innych nieścisłości trzeba zauważyć, że (s. 13) schronisko imienia Karłowicza projektowano wybudować nad Czarnym Stawem Gąsienicowym (nad Czarnym Stawem pod Rysami zaś tylko przelotnie — Zaruski). Zdjęcie na s. 38 (otoczenie dol. Hińczowej) odwrócono, co sprawia, że Hińczowa Turnia leży na zachód od Cubryny! Zdjęcie na s. 60 przedstawia Małą Pośrednią Grań, a nie Żółtą Ścianę. Artykuł pt. „Kościelec” napisał Karłowicz wraz z Januszem Chmielowskim. Na s. 126 zamiast Sopotu powinna być Sobota (w łowickim — zwrócił mi na to uwagę mgr. H. Anders, przygotowujący wydanie wszystkich listów Karłowicza). Na s. 109 zapomniano o odstępie między dwoma krótkimi fragmentami „Wędrowek samotnych”, tworząc z nich jeden. I wreszcie sprawa ostatnia: Nie podoba mi się tytuł książki. Album wydany w roku 1910 nosił tytuł *Mieczysław Karłowicz w Tatrach. Pisma taternicze i zdjęcia fotograficzne...* Mechaniczne rozbić pierwsze zdania na autora i tytuł wydaje mi się połączaniem niezbyt szczęśliwym. O wiele lepszym wyjściem byłoby po prostu pozostawienie dawnego tytułu.

Łączności Politechniki Warszawskiej, zajmował się opracowywaniem analizatora równań cząstkowych w Zakładzie Aparatów Matematycznych PAN, współpracując jednocześnie z Instytutem Podstawowych Problemów Techniki w zakresie konstrukcji aparatów dla górnictwa i meteorologii. Miał również własny dom — żonę i dwóch synów, którym poświęcał wiele czasu.

W właściwościach charakteru Marka Karpińskiego szczególnie uderzającą była rzeczowość, prostota i odwaga cywilna. Poczucie własnej wartości sprawiało, że nie dbał o należyte przedstawienie swej osoby, nie akcentował swych taternickich osiągnięć. Mówił najczęściej to, co myślał, nie dbając o wrażenie jakie to wywoła.

Cechy te wraz z sumiennością i odpowiedzialnością w sprawach, których się podejmował decydowały — obok jego osiągnięć sportowych i związanego z nimi doświadczenia — o pozycji, jaką zajmował w taternictwie polskim, autorytecie i roli doradcy w sprawach organizacyjnych, sprzętowych czy szkoleniowych w Kole Warszawskim.

Śmierć Marka Karpińskiego nie jest właściwie taternicka — jest nietypowa. Sieje zamieszanie w naszych pojęciach o niebezpieczeństwach gór. Nie od lawiny, nie w wielkiej ścianie, ani w trudnej wspinaczce, nie z powodu zbłądzenia czy utraty sił; w łatwym, niemal turystycznym terenie zginął jeden z najbardziej doświadczonych taterników. Jest w tym jakaś cyniczna drwina gór. Śmierć ta jest jak śmierć doświadczonego żołnierza podczas manewrów w czasie pokoju. Przez to właśnie jest tym bardziej tragiczna. Czujemy się dezorientowani i zgnębieni tą śmiercią jednego z naszych najlepszych kolegów.

W. Malinowski

DOKOŃCZENIE ZE STR. 49

MAREK KARPIŃSKI

(22. 11. 1930 — 17. 7. 1957)



17 lipca 1957 roku znalazł się Marek Karpiński wraz z Janem Zarębskim w drodze powrotnej z tygodniowego pobytu w Tatrach. Wypadek nastąpił w pd. żlebie Młynarzowej Przełęczy. W miejscu, gdzie żleb rozdwa się w dwa równoległe biegnące żlebki, idący przodem Zarębski pozedzi lewym z nich wyostając się po kilkudziesięciu metrach trawersem w prawo pod przewieszkami ponad niewielki próg, złożony z luźnych głazów i zamykający prawy z owych żlebków. Tym właśnie prawym żlebkiem wybrał drogę Marek Karpiński. Kiedy dochodząc już do Zarębskiego wspinał się na krawędź wspomnianego progu, jeden z głazów wagi kilkuset kilogramów ruszył w dół, pociągając za sobą inne. Wśród miejscowej lawiny kamiennej nastąpił upadek. Spadające glazy zmiażdżyły mu całkowicie nogę pod kolanem. Doznał również obrażeń głowy. Dopiero opatrzone prowizorycznie odzyskał przytomność, choć nie powróciła mu pełna świadomość sytuacji.

Wzbrane potoki zagłuszają wotanie o pomoc. Zarębski decyduje się na pozostawienie Marka na trawiastej półce zabezpieczonego w spiworze przy pomocy liny i haków. O godz. 14.00 telefonuje z Łysej Polany po pogotowie. O godz. 16.15 wraz z dwoma taternikami jest z powrotem przy Marku. Wszystkie węzły liny zastaje pracowicie rozpiętane, Marek wyswobodzony z ich więzów, jest już w agonii. W tym czasie na komorze celnej trzy kwadranse trwa rewizja członków pogotowia, w rekordowym tempie przybyłych z Zakopanego na Łysą Polanę. Śmierć następuje o godz. 17.30, a około godzinę później przybywa na miejsce wypadku pogotowie.

Swoje pierwsze kroki po ziemi Marek Karpiński stawiał w górach. Mając trzy lata już próbuje pod okiem ojca wspinaczki na maliniakach, a jako 5-letnie dziecko przechodzi Przełęcz pod Kopą. Było to odbiciem zamiłowań rodziców. Pani Karpińska — w latach dwudziestych wicemistrzyni Polski w narciarstwie — towarzyszy swemu mężowi nie tylko w Tatrach, ale i w jego wyprawach alpejskich. Starsze rodzeństwo Marka — przyrodnia siostra, w przyszłości doskonała narciarka i brat, późniejszy towarzysz jego pierwszych samodzielnych wspinaczek — spędzają z rodzicami pewnego roku całe wakacje w Dolinie Czeskiej, dokąd 3-letni wówczas Jacek idzie na własnych nogach przez całe dwa dni. W kilka lat później, w lipcu 1938 roku, obu chłopców zabiera ojciec na Mnicha przez Piyę.

Atmosfera dzieciństwa nadaje kierunek całemu życiu Marka. Śmierć ojca inż. Adama Karpińskiego, który w 1939 roku ginie w lawinie na Tirsuli w Himalajach, nie tylko nie niweczy tego kierunku, ale ostatecznie go utrwala. Prawdopodobnie już wtedy, gdy 8-letni Marek wraz z matką odczytywał listy ojca, które nadchodziły do Polski w ciągu wielu jeszcze tygodni po katastrofie, zrodziło się w nim poczucie przynależności do szczególnej tradycji rodzinnej, świadomość dziedziczenia testamentu po ojcu. Może wówczas powstała w nim — pozwólmy sobie na to określenie — obsesja obowiązku kontynuowania dzieła ojca, a wierność największej pasji jego życia zjawia się, jakby podświadomie, jako jedyna możliwa postawa, jako swoisty odruch psychiki. Ten sam właśnie odruch każe matce spędzić sierpień 1939 roku wraz z synami w Roztoce, gdzie Markowi pokazuje góry Wawrzyniec Żuławski, którego przed laty wprowadzał w Tatry Adam Karpiński.

Okupację przeżywa Marek z dala od gór w atmosferze działalności konspiracyjnej. W Powstaniu Warszawskim jest łącznikiem na Mokotowie.

Kontakt z górami bardziej świadomy i dojrzały nawiązuje pod przewodnictwem matki, z którą dwukrotnie w latach 1945—46 spędza wakacje w Tatrach. W trzy lata później zaczyna się właściwa działalność taternicka Marka. Jego nauczycielami na kursie Koła Warszawskiego KW w lipcu 1949 r. są przede wszystkim Wawrzyniec Żuławski, Tadeusz Orłowski, Jerzy Mierzejewski.

Rozwój taternicki Marka charakteryzują szczególnie dwie cechy: stosunkowo długi okres przygotowawczy i wcześniej rozpoczęta działalność zimowa. Po kursie, na którym przechodzi drogi do bardzo trudnych włącznie, w ciągu dwu następnych sezonów, w których wspina się głównie w towarzystwie swego brata Jacka, przechodzi w większości drogi dość trudne, wśród nich wiele grani pozwalających na uzyskanie dokładnej znajomości topografii Tatr. Na poważne drogi letnie i zimowe, jak: Żleb Drège'a, drogi Motyki i Wrześniaków na Zamartej Turni, pd. ścianą Niebieskiej Turni, a przede wszystkim pierwsze przejście zimowe: pn. ścianą Wielkiej Buczynowej Turni i zach. ścianą Kozich Czub, przychodzi kolej dopiero w roku 1952. Jego towarzyszami w tym okresie są głównie Zdzisław Kozłowski i Jerzy Sawicki, częściowo także Wojciech Komosiński i Jerzy Strojny. Dopiero później, od roku mniej więcej 1954 tworzy on już nierozłączny zespół z Janem Zarębskim. Odtąd już wszystkie kolejne sezony przynosić zaczyna szereg poważnych dróg, jak Kominem Świeża w Kościelcu, pn.-wsch. filarem Mieguszowieckiego Szczytu (1953), wsch. filarem Ganku i wsch. ścianą Łomnicy (1954), środkiem pn. ściany Mieguszowieckiego Szczytu Pośredniego, zach. ścianą Małej Snieżnej Turni (II przejście drogi Płsek'a) i wsch. żlebem Ryglowej Przełęczy (I przejście, 1955). Na czoło jednak w dalszym ciągu wysuwają się drogi zimowe, wśród nich pierwsze przejścia: wejście od wschodu na Przełęczkę nad Dol. Buczynową, przejście pd. żebra Wielkiej Buczynowej Turni, pn. grzędy Wołowego Grzbietu (1953), wsch. ściany Wysokiej (1955), dolnej części pn.-wsch. filara Mieguszowieckiego Szczytu (II przejście) i pn.-wsch. żlebu Gankowej Przełęczy (1956). W lecie 1956 r. bierze udział w obozie GUMS w les Bossons w Alpach, gdzie przechodzi m. in. wschodnią ścianę Dent du Requin, zwykłą drogą wchodzi na Aiguille du Plan, oraz wchodzi na Mont Blanc du Tacul od Col du Midi.

Największą satysfakcję dawały mu zawsze te wyprawy, przede wszystkim zimowe, które określiłmy mianem dróg w wielkim stylu. Wielkie ściany, choćby łatwiejsze technicznie, stawał zawsze wyżej od krótkich dróg typu skałkowego.

Jego działalność taternicką cechowała duża doza inicjatywy i indywidualizmu w poczynaniach sportowych, które nie przeszkadzały mu jednak być jednym z najbardziej czynnych instruktorów w Warszawie. W latach 1953—54 przechodził ponad 40 dróg z uczestnikami wielu kursów letnich i zimowych.

Pomimo zakorzenionej do ostatnich lat w jego psychice tradycji rodzinnej i poziomu taternickiego, który reprezentował, taternictwa nie pojmował jako jedyne go celu życia. Było ono dla niego otwartym problemem, zjawiskiem psychologicznym i społecznym, również jedną z form kontaktu z przyrodą. Ważne były dla niego, zwłaszcza ostatnio również sprawy zawodowe. Od dwóch lat jako inżynier elektrotechnik i absolwent Wydziału

Tragiczne wypadki

Stanisława Grońskiego i Wawrzyńca Żuławskiego w masywie Mont Blanc w 1957 roku

Seria wypadków śmiertelnych, jaka dotknęła nasz ruch wysokogórski na przestrzeni ostatniego roku, miała swój najboleśniejczy epilog w tragedii, która rozegrała się w dniach pomiędzy 8 a 18 sierpnia w masywie Mont Blanc — rozpoczęta tragicznym zaginięciem Stanisława Grońskiego z towarzyszami jugosłowiańskimi, a przypieczętowana śmiercią Wawrzyńca Żuławskiego wtedy, gdy właściwa akcja ratunkowa była już zakończona, a szanse odnalezienia zwłok zaginionych — znikome. Tragedia ta odbiła się szerokim echem w prasie francuskiej i szwajcarskiej, wzbudzając ogólne zainteresowanie, sympatię oraz współczucie dla polskich alpinistów. Dla społeczeństwa polskiego spowodowała dotkliwą stratę w osobach zmarłych. Szczególnie duże poruszenie wywołała śmierć Wawrzyńca Żuławskiego, kompozytora, muzykologa i pisarza górskiego. Toteż nie obeszło się bez licznych komentarzy prasowych, sprawozdań uczestników tragicznej akcji itp. Wypowiedzi prasowe, będące dowodem pamięci i uznania wyrażonego zmarłym, jednocześnie — w niejednym wypadku — dawały wiele sprzecznych wyjaśnień, wywoływały niewłaściwe sugestie, a nawet urabiały błędne poglądy; byli nawet tacy, którzy stawiali wiele zarzutów zmarłym.

Dlatego chcemy tu więc naświetlić możliwie obiektywnie cały przebieg tragicznych wypadków, odzwierciedlić całokształt włożonych wysiłków w prowadzoną akcję, których nie oszczędzono tak ze strony polskiej jak i francuskiej.

Nasze omówienie rozpoczniemy obszernym sprawozdaniem (I i II) R. W. Schramma, kierownika polskiego obozu „Francja II”.

I

Do niedzieli 11 sierpnia nie żywiłmy żadnej obawy o los Grońskiego i obu Jugosłowian trawersujących grań Mont Blanc, spodziewając się lada chwila ich powrotu. Pogoda w tym okresie była zmienna (burze wieczorem 7-go i po południu 9-go), ale nie dająca jeszcze powodu do specjalnych obaw. W niedzielę 11 sierpnia w godzinach przedpołudniowych nadsięgnęła od zachodu ogromna burza, która osiągnęła Mont Blanc około godz. 11 (ta sama burza dotarła około godz. 17 nad Aiguille Verte, zaskakując pod szczytem J. Mitkiewicza, M. Stefańskiego i A. Wilczkowskiego z grupy „Francja II”, dokonujących wejścia pn. ścianą drogą Coutouriera); od tego momentu pogoda załamała się zupełnie na długi okres czasu, a warunki w górach stały się niezwykle trudne i niebezpieczne.

Toteż 12 sierpnia byliśmy już poważnie zaniepokojeni o los grupy z Aiguille Verte oraz Grońskiego z Jugosłowianami, tym bardziej, że telefonicznie przekonaliśmy się o ich nieobecności w schroniskach Argentière i Couvercle (rejon Verte) oraz na Aiguille du Goûter, na końcowym odcinku trasy Grońskiego. Zdecydowaliśmy więc wraz z Żuławskim, Długoszem i Lucien Berardinim, zaprzyjaźnionym z nami wybitnym alpinistą francuskim, że o ile do wieczora nie będzie żadnej pomyślnej wiadomości, w następnym dniu rozpoczniemy się akcją ratunkową. Wieczorem otrzymaliśmy wiadomość od naszego przyjaciela Marca Lepeut, że jego szwagier spędzał noc z 7 na 8 sierpnia z Grońskim i Jugosłowianami w starym schronisku (niezagospodarowanym i obecnie wykreślonym z rejestru schronisk) na Col du Midi. Twierdził on również, że z powodu złych warunków atmosferycznych jeszcze w czwartek 8 sierpnia do godz. 10 rano nie wyruszyli oni z tego schroniska. Groński wspominał mu także, że ewentualnie w razie dłuższej niepogody przejdzie do schroniska Torino. Wiadomość ta natężyła nas lepszą myślą, gdyż skracala o 1 dzień nieobecność grupy Grońskiego. Ponieważ w piątek od rana pogoda była ładna, uważaliśmy za najprawdopodobniejsze, że trójka Grońskiego wyruszyła w kierunku Mont Blanc. Zważając na obciążenie, wiek i nienadzwyczajną formę Grońskiego oraz brak doświadczenia u obu Jugosłowian, jak i biorąc pod uwagę warunki pogodowe (burza i śnieżyca po południu w piątek), doszliśmy do wniosku, że powinni oni osiągnąć schronisko Vallot w sobotę wieczorem lub — jeszcze prawdopodobniej — w niedzielę 11 sierpnia przedpołudniem i tam zostali zatrzymani przez załamanie się pogody.

Celem jak najszybszego sprawdzenia naszych przypuszczeń, Berardini wraz z 8-osobową grupą z obozu „Francja II” miał za zadanie jak najszybciej osiągnąć schronisko Vallot.

W dniu 13 sierpnia cała uwaga skupiła się głównie na akcji w rejonie Aig. Verte, w której wzięły udział również dwa zespoły francuskie z radiotelefonami. Sytuacja tu wydawała się wówczas poważniejsza. Zakończyła się ona szczęśliwie nieoczekiwanym powrotem Mitkiewicza, Stefańskiego i Wilczkowskiego ze schroniska Charpoua, do którego szesli z Aig. Verte drogą Mummeryego poprzedniego dnia. Jedynie Berardini z Długoszem osiągnął po uprzednim odesłaniu na dół, dla zmniejszenia kosztów, pozostałą część grupy — schronisko na Aig. du Goûter. Również tego dnia rekonesans Pietscha i Udzieli w obserwatorium „Cosmique” nie wniósł nic nowego.

Stanisław Groński, lat 49, kierownik grupy „Francja I”, opuścił obóz w środę 7 sierpnia po południu w towarzystwie dwóch Jugosłowian: Dragana Stanicevića i Dragana Tekića z zamiarem dokonania klasycznego trawersowania Mont Blanc od Col du Midi do schroniska Vallot. Z obu Jugosłowianami Groński poznał się kilka dni przedtem. Przybyli oni do Chamonix prywatnie we dwóch i oczekiwali na przyjazd trzeciego kolegi Iovana Maricicia, chcąc razem dokonać wejścia na Mont Blanc. Stanicević był doświadczonym turystą górskim oraz wspinaczem, Tekić nie. Przyłączyli się oni do polskiego obozu, ustawiając swój namiot obok naszych namiotów i trzymali się razem z naszą grupą; szczególnie Groński był dla nich dużym autorytetem.

Stanisław Groński, który początkowo nie czuł się nadzwyczajnie, jak przypuszczają jego współtowarzysze z grupowej próby trawersowania grani Mont Blanc, po odbytej wycieczce z A. Janikiem w otoczeniu lodowca Argentière, utrzymywał, że jego forma znacznie się już poprawiła i nosił się teraz z zamiarem dokonania trawersowania grani Mont Blanc.

W środę 14 sierpnia (pogoda w dalszym ciągu zła) Berardini i Długosz wyszli około godz. 3.00 rano z Aig. du Goûter i dotarli do schroniska Vallot oraz podeszli kawałek granią ku szczytowi Mont Blanc, nigdzie nie znajdując śladów pobytu Grońskiego i towarzyszy. W schronisku na Aig. du Goûter otrzymali niejasną wiadomość, że już w niedzielę 11 sierpnia rano byli jacyś alpinści w schronisku Vallot i nie spotkali tam grupy Grońskiego ani żadnych śladów jej pobytu. Równocześnie korzystając z chwilowego przejaśnienia przed południem, przeprowadzony został przez EHM rekonesans lotniczy wzdłuż przypuszczalnej trasy Grońskiego. Nie stwierdzono żadnych śladów, natomiast dostrzeżono kilka ogromnych lawin, które zeszyły z Mont Blanc du Tacul i Mont Maudit.

Wraz z Zuławskim i trzecim Jugosłowianinem — Maruciem na konferencji z komendantem żandarmerii, komendantem szkoły EHM mjr Le Gall, oraz szefem instruktorów Germain — ustaliliśmy przeprowadzenie jeszcze jednej próby w następnym dniu. Grupa 10 „moniteur” z EHM wraz z trzema Polakami: Bielem, Utrackim i Warteresiewiczem, miała próbować przejścia granią do schroniska Vallot; grupa polska: Bała, Bilczewski, Momatiuk, Sledziewski, Worwa z Zuławskim i mną miała przeskakać rejon „Route Nationale” od schroniska Grands Mulets po Grand Plateau i ewentualnie Corridor (liczyliśmy się z możliwością, że Groński schodził z Col de la Brenva do Grands Mulets z tym, że było rzeczą pewną, że gdyby dotarli do Grands Mulets, to nawet w panujących wówczas fatalnych warunkach potrafiliby bez trudu zejść do Chamonix). W tym celu grupa francuska wyjechała kolejką na Aiguille du Midi, zaś nasza grupa na Plan de l'Aiguille, skąd doszła na noc do niezagospodarowanego schroniska Grands Mulets.

Około godz. 21.30 zeszła do schroniska Grands Mulets para alpinistów niemieckich, którzy oświadczyli nam, że byli w niedzielę 11 sierpnia rano w schronisku Vallot, spędzili tam — zatrzymani niepogodą — całą niedzielę i przepełudnie w poniedziałek, po czym zeszli do Grands Mulets, gdzie spędzili cały wtorek i dziś w środę ponownie podeszli do Vallota, weszli na Mont Blanc i zeszli tą samą drogą. W ciągu całego swego pobytu nie napotkali żadnego śladu grupy Grońskiego. Wynikało z tego niezbicie, że Groński i towarzysze nie osiągnęli schroniska Vallot przed załamaniem się pogody, a zatem spotkał ich wypadek na grani.

W czwartek 15 sierpnia (pogoda od rana fatalna, pada deszcz, wyżej śnieg, wichura, mgła) grupa polska wyszła z Grands Mulets podzielona na 3 zespoły mające za zadanie zbadać możliwie dokładnie teren pomiędzy Grands Mulets i Petit Plateau. Podeszliśmy wprawdzie i na Grand Plateau, ale wobec 1-metrowej warstwy świeżego śniegu i niebezpiecznych warunków oraz wiadomości otrzymanej radiotelefonem o nadsciągającej nowej, silnej burzy, zrezygnowaliśmy z przeszukania Corridor i zeszliśmy do schroniska. Grupa ratunkowa z Aig. du Midi, ze względu na nieodpowiednie warunki tego dnia, w ogóle nie mogła rozpocząć akcji.

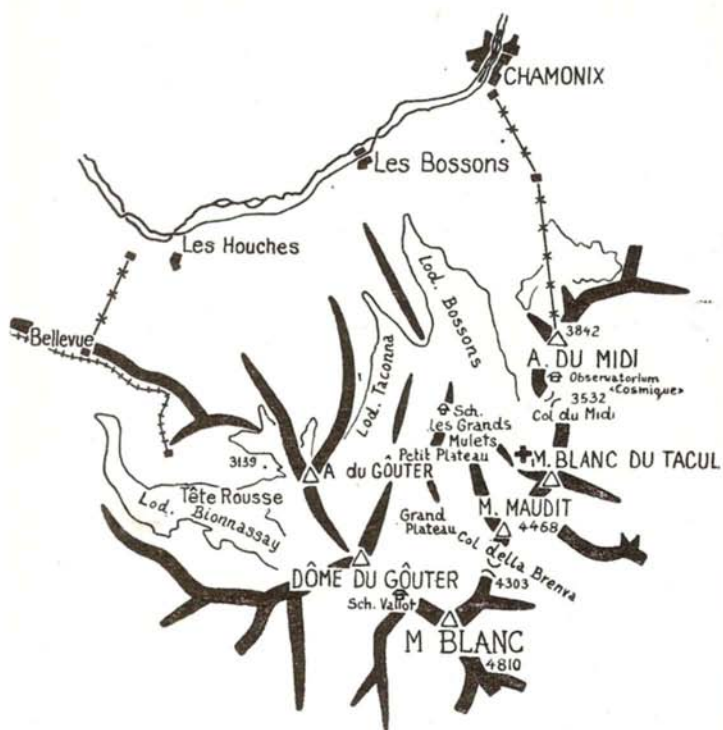
W piątek 16 sierpnia pogoda nieco się poprawiła, wiał silny wiatr. Wobec dodatkowego opadu i ogromnego niebezpieczeństwa lawin oraz zupełnej beznadziejności poszukiwań w tydzień po przypuszczalnej dacie wypadku, powróciliśmy w południe do Chamonix. Również grupa z Aig. du Midi zjechała, zrezygnując z poszukiwań.

Tegoż dnia po południu rozeszła się plotka (źródło: „Le Dauphiné Libéré”), która na podstawie obserwowanego przez lornetkę zachowania się grupy alpinistów włoskich na grani Mont Blanc, sugerowała możliwość odnalezienia przez nich zwłok kogoś z grupy Grońskiego w okolicy Dôme du Goûter — Col de Bionnassay. Dokładny wywiad telefoniczny dnia następnego w Courmayeur i w schronisku na Aig. du Goûter wykazał jej całkowitą bezpodstawność. Plotka ta, zlikwidowana we Francji, odżyła niestety w tydzień później u nas w kraju i to w formie „ocalenia Grońskiego”.

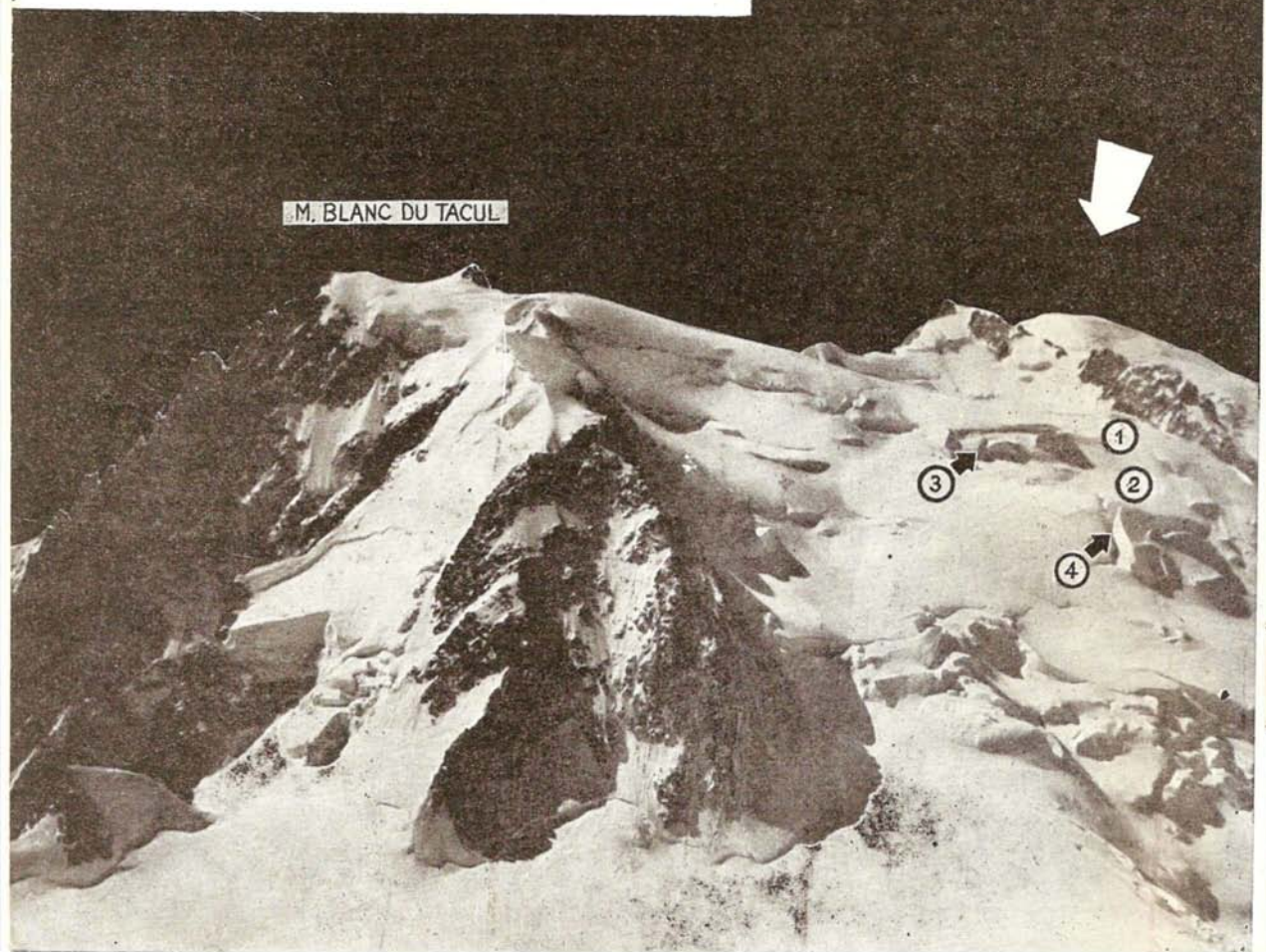
Podsumowując sprawę zaginięcia Grońskiego z 2 towarzyszami jugosłowiańskimi można stwierdzić, że wobec opuszczenia przez nich obserwatorium „Cosmique” 9 sierpnia i nie osiągnięcia schroniska Vallot w dniu 11 sierpnia, możliwości wypadku zaważają się do piątku 9 i soboty 10 sierpnia. Biorąc pod uwagę zamierzoną trasę oraz warunki, można przypuszczać, że Groński z towarzyszami wyszedł 9 rano z Col du Midi i osiągnął przed południem Mont Blanc du Tacul, (Groński miał z a s a d e wchodzenia na sam wierzchołek), a około południa Col Maudit. Tu prawdopodobnie wskutek niepogody, założyli wczesny biwak. Na tym odcinku zniknięcie zespołu 3-osobowego jest niemożliwe. Stok Mont Blanc du Tacul jest nietrudny i stosunkowo bezpieczny (nie było wtedy jeszcze wiele świeżego śniegu), w całości widoczny doskonale ze stacji kolejki na Aig. du Midi; zejście na Col Maudit jest łatwe i bezpieczne. W sobotę 10 sierpnia (pogoda dobra) mieli do przebycia Mont Maudit i ewentualnie Mont Blanc. Tego dnia wieczorem, a najdalej 11 do południa powinni być w schronisku Vallot, do którego nie doszli. Możliwość wypadku na grani Mont Blanc między Col de la Brenva, a schroniskiem Vallot odpada: warunki na grani były łatwe (nie wyłączając Mur de la Cote — bez lodu) i bezpieczne, pogoda dobra. Pozostaje zatem Mont Maudit. W tym sezonie poprzez Mont Maudit prowadziły dwa szlaki, obydwie przez duże i strome pola lodowe (verglas) — w szczególności od strony Col de la Brenva. Zniknięcie na tej trasie całej trójki w niezłych warunkach atmosferycznych można tłumaczyć sobie jedynie równocześnie nagłą katastrofą całego zespołu, którą było najprawdopodobniej poślizgnięcie się jednego z niej w czasie schodzenia z Mont Maudit na Col de la Brenve i pociągnięcie za sobą związanych z nim towarzyszy. W zależności od obra-

Był on zwolennikiem odbywania wypraw niezależnie od warunków pogodowych, powoli i systematycznie, z biwakami na grani, czemu parokrotnie dawał wyraz i w ten właśnie sposób przygotowywał swoje przejście z Jugosłowianami, którzy mieli mu towarzyszyć w tej wyprawie. Planując ją na 5 dni z biwakami, zaopatrzyli się w odpowiednią ilość jedzenia i sprzęt biwakowy.

Ponieważ w chwili opuszczenia przez Grońskiego i Jugosłowian obozu nie było w nim innych kolegów, trudno jest ustalić pewne szczegóły z bezwzględną dokładnością; podajemy je w sprawozdaniu w formie w jakiej zostały ustalone na podstawie możliwie szczegółowych badań, prowadzonych przez śp. W. Zuławskiego, I. Marucica i R. Schramma przy współpracy wielu kolegów polskich i francuskich oraz czynników oficjalnych (żandarmeria i École de Haute Montagne, której instruktorzy — „moniteur” — prowadzą obecnie oficjalną służbę ratowniczą w grupie Mont Blanc).



M. BLANC DU TACUL



nej trasy zejściowej oraz miejsca wypadku mogli oni spaść bądź to na lodowiec Brenva, bądź na Col de la Brenva, ewentualnie do Corridor, lub nawet aż na seraki pod Grand Plateau. Wobec rozległości terenu, który mógł się stać miejscem wypadku, ilości i rozmiarów szczelin oraz ogromnego opadu śnieżnego w następnych dniach i lawin, należało przyjąć za rzecz pewną, że nie uda się natrafić nawet na ich zwłoki.

II

W sobotę 17 sierpnia w godzinach przedpołudniowych spisaliśmy wraz z Zuławskim, Marucicem i przedstawicielami EHM protokół w żandarmerii w Chamonix z przebiegu wypadku i poszukiwań Grońskiego i 2 Jugosłowian. Stwierdziliśmy, że w tydzień od momentu zaginięcia, którego powodem musiał być nieszczęśliwy wypadek, w trwających od szeregu dni krańcowo złych warunkach atmosferycznych, nie istnieje żadna szansa, aby poszukiwani mogli być jeszcze przy życiu, a praktycznie biorąc, również żadna szansa odnalezienia zwłok. Podziękowaliśmy sobie nawzajem za akcję ratunkową i stwierdziliśmy, że zarówno ze strony EHM i żandarmerii, jak i naszej zostało zrobione wszystko, co w danych warunkach zrobić można w granicach dopuszczalnego ryzyka i zdrowego rozsądku. Akcję uznaliśmy za zakończoną.

Po złożeniu tych oświadczeń chef des moniteurs EHM Germain powiedział nam, że uzyskał wolną rękę od komendanta mjra Le Galla, aby w razie ustalenia się pogody wysłać lekki kilkuosobowy rekonesans dla przejścia grani od Col du Midi do schroniska Vallot.

Przy obiedzie jeszcze raz omawialiśmy z Zuławskim całą sprawę Grońskiego i związaną z tym akcją, dochodząc po raz wtóry do wniosku, że zrobiliśmy wszystko co zrobić było można, że ostatnie poczynania miały już tylko charakter prestiżowy, podobnie jak zamierzony przez moniteurs EHM rekonesans, że akcja jest zakończona, a wobec złej sytuacji finansowej, wielkiego przemęczenia fizycznego i psychicznego wszystkich uczestników obu obozów, a nawet pewnego rozprężenia panującego w grupach, wreszcie fatalnych warunków atmosferycznych, należy jak najszybciej likwidować obozy i wracać do kraju.

Tymczasem po południu, wobec poprawiającej się pogody, Germain postanowił przeprowadzić następnego dnia lekki rekonesans grani od Col du Midi do schroniska Vallot. Towarzyszyć mu miało trzech Francuzów z EHM. Powiadomiony o tym przez niego W. Zuławski zdecydował się im towarzyszyć wraz z małym zespołem polskim w skład którego weszli Biel, Utracki i Warteresiewicz. Jeszcze tego samego dnia cały zespół wyjechał kolejką na Aig. du Midi.

Wypadki w dniu 18 sierpnia miały przebieg następujący: Grupa 4 Francuzów i 4 Polaków nocująca w „Cosmique” na Col du Midi wyszła około 2.45. Podeszłszy pod stok Mont Blanc du Tacul, na który od Col du Midi prowadzi 2 zasadniczo drogi, wybrano prawą, wyprowadzającą na grań szczytową w dosyć znacznej odległości na zachód od wierchołka, a w pobliżu Aiguille de Saussure (patrz: fot. na str. 52). Sytuacja zdawała się bezpieczna. Z lewej, bardziej zagrożonej części stoku lawiny już zeszyły, strona prawa, którą prowadziła zamierzona droga, jest wogóle pod tym względem znacznie bezpieczniejsza i większe lawiny należą tam do zupełnych wyjątków. Pogoda pomimo bezchmurnej nocy, była niepewna i Francuzi spodziewali się w ciągu dnia znacznego jej pogorszenia. Szyk marszu ustalił się następująco: dwie dwójki francuskie, Utracki i Warteresiewicz i na końcu Biel i Zuławski. Dwójki szły związane, Zuławski był w nienajlepszej formie i z trudem wytrzymywał tempo nadawane przez Francuzów. Posuwano się w zasadzie ukośnym trawersem w prawo ku górze. Stok Mont Blanc du Tacul przeważnie śnieżny, miejscami zalodzony, ma w tym miejscu nachylenie mierne i poprzecinany jest poprzecznie niezbyt licznymi, ale długimi i głębokimi szczelinami. W górze stok staje się stromszy, kilkadziesiąt metrów poniżej pologiej i szerokiej grani szczytowej przecięty jest pojedynczą barierą seraków, wysokości kilku do dwudziestu kilku metrów.

Około godz. 4.30 nieco poniżej bariery seraków dwójka francuska Minster i Germain, zmęczona prowadzeniem, zeszała na trzecią pozycję, a prowadzenie objęli Utracki i Warteresiewicz. Biel i Zuławski znajdowali się stale na końcu. Obaj byli związani liną w pasie, bez szelek, w odstępie ok. 15 m. O godz. 4.50 Utracki i Warteresiewicz przeszli barierę seraków i zaczęli się kierować ku skałom widniejącym nad nią w grani Mont Blanc du Tacul. W tej chwili po przeciwległej stronie południowej grani w kierunku lodowca Bossons zeszała ogromna lawina. Niemal równocześnie poniżej i na lewo od dwójki Utracki i Warteresiewicz (1) oberwała się część bariery seraków (3), pociągając za sobą duże ilości świeżego śniegu i tworząc sporą lawinę lodowo-śnieżną. Lawina ta przeszła tuż obok dwójki Minster i Germain (2), wprost na Biela i Zuławskiego, znajdujących się w tej chwili o kilkadziesiąt metrów poniżej bariery, porywając ich ze sobą. Po kilkudziesięciu metrach spadania wraz z lawiną — Zuławski, lecący niżej, wpadł do ogromnej szczeliny (4) szerokości 3 do 4 m. Biel siłą rozpędu i dodatkowego szarpnięcia liną został przerzucony przez szczelinę i upadł na jej dolną wargę. Szczelina w jednej chwili wypełniła się bryłami lodu i śniegiem aż po brzegi, a lawina przetoczywszy się przez nią, spadła całą długością stoku.

Ciężar ciała Zuławskiego i przywalającej go kilkunastometrowej warstwy lodu i śniegu, podciągnął związanego w pasie Biela na samą krawędź szczeliny. Wskutek kilkakrotnego, przy tym gwałtownego szarpnięcia i przecinającego go dostownie w pasie ucisku liny, odniósł on ciężkie obrażenia wewnętrzne — wzywał pomocy. Nadbiegli natychmiast Minster i Germain.

Północno-zachodnie stoki Mont Blanc du Tacul z oznaczonym miejscem, w którym rozegrała się tragedia w dniu 18 sierpnia 1957 r. (objaśnienia obok w tekście). Wyżej szkic topograficzny terenu, w którym prowadzone były poszukiwania za grupą Grońskiego. Krzyżykiem oznaczono miejsce wypadku Zuławskiego.

Odciełli go od liny i odciągnęli nieco na bok, gdyż na miejsce, na którym leżał, spadały bez przerwy bryły lodu. Nie doznał on na szczęście żadnego uderzenia i tylko nogi miał przysypane cienką warstwą śniegu. Przybyli w chwilę potem Utracki i Warteresiewicz zajęli się nim, odnosząc go dalej na bok, wsadzając do śpiwora, ogrzewając. Tymczasem Francuzi próbowali dotrzeć do Żuławskiego, jednak już pobieżne próby sondowania wykazały, że szczelina jest dostownie zacementowana bryłami lodu i śniegiem, a ciało Żuławskiego znajduje się pod ich warstwą na pełną długość odcinka liny łączącego go z Bielem, tj. około 15 m. Nie ulegało wątpliwości, że Żuławski musiał zginąć na miejscu. Wobec bardzo groźnej w dalszym ciągu sytuacji (odpeknięte seraki i poruszone masy świeżego śniegu wisiały dosłownie nad głowami), cierpień Biela oraz braku jakichkolwiek szans dotarcia do ciała Żuławskiego, zajęto się czym prędzej rannym Bielem, którego przeniesiono dalej ze strefy zagrożonej, a natępnie ściągnięto na Col du Midi.

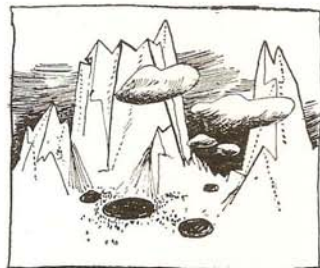
Dzięki szybko podjętej akcji z pomocą przybyłej z Chamonix ekipy ratunkowej, stosunkowo łatwemu terenowi oraz bliskości kolejki linowej, Biel znalazł się w szpitalu już o godz. 8.30. Oględziny lekarskie stwierdziły poważny stan jego zdrowia: uszkodzenie jelit oraz urazy wątroby. Jeszcze tego dnia otrzymał 5 transfuzji krwi, a pomiędzy godz. 16–18 podany został poważnej operacji. Niebezpieczeństwo śmierci zostało zażegnane, jeszcze jednak przez kilka miesięcy musiał pozostać w leczeniu. Oficjalną opiekę nad nim ze strony władz polskich objął konsul J. Polak, a bezpośredniej opieki na miejscu podjął się T. Wowkonowicz, zamieszkały stałe w Les Praz de Chamonix, który zarówno w tej, jak i w wielu innych sprawach dzięki swojej niesłychanej życzliwości i znajomości stosunków miejscowych, oddał nam bardzo wielkie usługi.

III

Zakończywszy omówienie przebiegu wypadków, trzeba nam z kolei zająć się krótko ich przyczynami oraz spróbować odpowiedzieć na spowodowane nimi zastrzeżenia w stosunku do zmarłych. Oczywiście musimy zupełnie inaczej oceniać śmierć Grońskiego i Jugosłowian, a inaczej Żuławskiego. Pierwsi zginęli w okolicznościach niewątpliwie tragicznych, ale był to jakże częsty wypadek w historii alpinizmu. Potwierdzają to w pełni uprzednie rozważania i nie będziemy ich tu powtarzać. Można by wprawdzie doszukiwać się przyczyn, dla jakich Groński podjął decyzję przeprowadzenia bądź co bądź poważnej wyprawy z dopiero co poznanymi ludźmi, usprawiedliwia go tu jednak wieloletnie doświadczenie terenu i znajomość terenu, którego trudności należą do zupełnie przeciętnych i jeszcze osiągalnych dla stawiających pierwsze kroki w alpinizmie lodowym. Bardzo prawdopodobne jest to, że po prostu nie miał z kim iść. Czy odnalezienie zwłok zaginionych wniosłoby coś więcej poza stwierdzeniem przyczyn bezpośredniego wypadku, należy wątpić. Pogodzenie się z faktem nie wyklucza żalu po zmarłym czy odpowiedzialności, jaką obarcza Klub każda taka tragedia — odpowiedzialności za bezpieczeństwo ludzi. I tu wkraczamy w zagadnienie śmierci Żuławskiego — problemat decyzji, która podjęta jakoby przez lekkomyślność miała go zaprowadzić owego dnia po raz ostatni na stoki Mont Blanc du Tacul.

Oczywisty tragizm sytuacji, w której giną koledzy — sytuacji, która pozostaje wielką niewiadomą przez długie, kolejne dni akcji, poczucie bezsilności wtedy, gdy jeszcze wcale nie wiadomo czy już nie żyją, czy też tli się w nich jeszcze ostatek nadziei ratunku — to wszystko tłumaczy nam trudność w podejmowaniu właściwych decyzji podczas kierowania akcją. Podjęcie nieraz na pozór sprzecznej z logiką decyzji, poczucie konieczności uczynienia wszystkiego, co tylko możliwe — a więc gotowość do największych poświęceń dla ratowania towarzyszy, znajduje swe źródło w tych wątpliwościach, które nazwiemy niepokojem sumienia, a które zaspokoić może tylko pewność, nigdy zaś racje rozumowe nawet najszlachetniejsze, ale poparte jedynie dedukcyjnymi uzasadnieniami. Musimy to uwzględnić, gdy chcemy oceniać poświęcenie w owe dni polskich i francuskich zespołów i chociaż nie usprawiedliwiamy zbyt ryzykownych posunięć, to jednak stanowisko prasy, posadzającej o nierozwagę ratujących, uważamy za zbyt pochopne. Ale nie tylko to tłumaczy również i Żuławskiego, musimy uwzględnić tu także więzy przyjaźni, łączące go z towarzyszem niejednej wyprawy górskiej. Trudno zarazem posadzać autora „Sygnałów ze skalnych ścian“, ratownika TOPR, człowieka o tak bogatym doświadczeniu górskim, o nierozwagę, gdy przyszło mu podejmować ostatnią decyzję wzięcia udziału w rekonesansie Germaina.

Ten właśnie ostatni szczegół akcji stał się głównie przedmiotem dyskusji zarówno w prasie polskiej jak i francuskiej. Postawione wówczas pytania można by sformułować tak: dlaczego podjęto jeszcze raz akcję i to w trudnych warunkach wtedy, gdy została już oficjalnie zakończona, a wszelka dalsza działalność mogła mieć tylko za zadanie odnalezienie zwłok zaginionych? Dlaczego decydowano się na nowe ryzyko i zlekceważono bezpieczeństwo ludzi? Dlaczego Żuławski podjął inicjatywę Francuzów i zgodził się na udział w akcji Polaków? Odpowiedź jest niewątpliwie trudna. W całym zagadnieniu kryje się wiele motywów niejasnych, wiele pozostaje dla nas na zawsze tajemnicą. Jedno jest pewne, inicjatywa w ów dzień należała całkowicie do Francuzów. Wysła od ludzi o wielokrotnie większym doświadczeniu alpejskim i mających poważniejsze atuty ku temu, by prawidłowo ocenić ryzyko wyprawy, działających na własnym terenie — od ludzi, którzy dotychczas wykazali dużą ostrożność w ocenie warunków i podejmowaniu decyzji. W czasie tej ostatniej wyprawy Żuławski zachowaniem swym podkreślał stałe, że inicjatywa, decyzja



i kierownictwo leży w rękach francuskich kolegów. Także w rozmowie z Bielem na stacji kolejki linowej na Alg. di Midi mówił mu, że podczas bytności w EHM, która poprzedziła wyjazd, zwracał uwagę Francuzom na ciężkie warunki oraz sugerował zrezygnowanie z wyprawy, gdyby ryzyko miało być zbyt wielkie. Widocznie uznał jednak ich decyzję. Mógł wprawdzie zespół polski nie wziąć udziału, Francuzi tego się nie domagali; w pełni usprawiedliwiałoby go także przemęczenie grupy polskiej po tylu dniach akcji. Zaznaczające się w niej ogólne zniechęcenie do dalszego wysiłku utwierdzone było przekonaniem o bezsensowności dalszych poczynań i wyraz temu daje artykuł A. Pietscha, pełen goryczy i pretensji w stosunku do Żuławskiego, ogłoszony w „Echu Krakowa“ natychmiast po powrocie do kraju. Ale wydaje się, że Żuławski uważał za słuszne i to, by nie brakło Polaków tam, gdzie wprawdzie inicjatywa wychodziła od obcych, ale przecież chodziło o naszą sprawę. To stanowisko potwierdzały jego rozmowa ze Schrammem 17 sierpnia, po powrocie z EHM. Nie może też ująć naszej uwagi jego troska o honor polskiego alpinizmu, któremu poświęcił tyle chwil swego życia i za który jako prezes KW czuł się szczególnie odpowiedzialny. Nie pochwalamy wprawdzie „polskiej Somosierry“ ale wydaje się nam, że obca też duchowi polskiemu — i słusznie — jest zimna obojętność na sprawy honoru narodowego, którą niektórzy skłonni byłiby nam zalecać. To wynika ze specyficznej sytuacji w jakiej kształtował się nasz naród i jeśli Żuławski postąpił w tym wypadku jak najbardziej „po polsku“ to niech go to przynajmniej w naszych oczach usprawiedliwia.

Pozostaje więc kwestia, dlaczego Francuzi pomimo nienadzwyczajnych warunków zdecydowali się na rekonesans — więcej, jak twierdzi Schramm, uznając oficjalnie akcję za zakończoną, a dalsze poszukiwania za bezcelowe, już wtedy pozostawiając wolną rękę Germain na rekonesans granic. Niewątpliwie chodziło o uzyskanie tej pewności, że uczyniono wszystko, co można było uczynić i to zarówno w poszukiwaniu żywych jak i ciał zmarłych. Ale wydaje się, że odgrywały tu również rolę względy prestiżowe — ich przyczyny trzeba się doszukiwać w sprawie Vincedona i Henryego, a może i w szeregu późniejszych niepowodzeń służby ratowniczej w Chamonix i powstałych na tym tle zażądanie. Wskazywałyby na to różne wypowiedzi w prasie francuskiej — do takiego wniosku doszedł także Schramm po rozmowie w dzień po wypadku z dr Dartigue, przewodniczącym Sociéte chamoniarde de secours en montagne (tamtejsze górskie pogotowie ratunkowe), łączące w akcji ratowniczej Stowarzyszenie Przewodników, Ecole Nationale de Ski et d'Alpinisme (cywilna) i Ecole de Haute Montagne (wojskowa). Możliwe, że moniteurs EHM obawiali się zarzutów, że w akcję poszukiwań Grońskiego Polacy włożyli więcej wysiłku niż oni (dotyczy to poszukiwań w okolicy Grands Mulets). Oczywiście nie możemy obciążać francuskich kolegów odpowiedzialnością za tragedię w dniu 18 sierpnia; wykazali oni niezmiernie wiele poświęcenia w czasie całej akcji, służyli niezwykle życzliwie pomocą, a ich humanitarnej postawy w niczym nie umniejsza kierowanie się przy podejmowaniu decyzji również naciskiem opinii publicznej i zażądaniem, narosłymi około tak bolesnej tragedii Vincedona i Henryego, a spowodowanymi błędami w organizacji służby ratowniczej w Chamonix. Ostatecznie bezpośrednią przyczyną wypadku była lawina, której niebezpieczeństwa nie zawsze jesteśmy w stanie z całą pewnością przewidzieć.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 9

wiejsze zaopatrzenie w żywność. Organizacja obozów była dobra, tylko w grupach francuskich pod koniec uległa pewnemu rozprężeniu na skutek wypadków. Niektórzy kierownicy, niestety, nie tylko nie umieli rozstrząsać powstającej, a wyżej opisanej, atmosfery, ale przeciwnie ulegali jej, co potem znalazło odbicie w sprawozdaniach poobozowych, w których położono nacisk wyłącznie na omówienie wyników oraz opinię o uczestnikach, mimochodem zaledwie dotykając lub zupełnie pomijając zagadnienia samej organizacji, doświadczeń w zakresie obozowania, żywności itd. Zaniedbano również zebranie odpowiedniego, dokumentacyjnego materiału fotograficznego z terenu działania grup, a okazała była wprost wyjątkowa. Powracając do sprawy opiniowania uczestników, to nie zawsze było ono oparte na rzetelnych podstawach i poparte z góry ustalonymi przez powołaną jednostkę organizacyjną i powszechnie znanymi kryteriami. Nie podano także ich treści do wiadomości uczestników obozów.

Poprowadzenie działalności naraz w trzech grupach górskich, wniosło nie tylko poważny wkład w dorobek Klubu, ale odegrało także dużą rolę propagandową. Zaznajomiło różne zachodnie środowiska górskie z polskim alpinizmem. Uzyskanie dobrych wyników oraz udział polskich alpinistów w akcjach ratunkowych ułatwiły nawiązanie licznych kontaktów, zarówno osobistych, jak i z różnymi organizacjami alpinistycznymi, np.: z SATUS, SAC, GHM, GUMS i inne. Można było również pokazać, że alpinizm w Polsce nie jest uprawiany przez małą i niezorganizowaną grupę osób zamkniętych w górach, ale stanowi ruch w swoim rodzaju „masowy“, skupiony w jednolitej i stosunkowo dużej organizacji. Można było zadokumentować, że Polska może być zaliczana do krajów alpinistycznych. Dla polskich taterników Alpy tym razem stały się już naprawdę wyścięciem poza Tatry i to już w szerszym zespole. Były do pewnego stopnia spełnieniem tej ustawicznej potrzeby odkrywania i zdobywania nowego, leżącej u podstaw alpinizmu, a której to możliwości nie znajdujemy już w wyeksploatowanych wspinaczkowo Tatrach.

SOMMAIRE

CHRONIQUE: — Cette année dr. J. Hajdukiewicz, membre du Club Polonais de Haute Montagne, prend part à l'expédition suisse de Dhaulagiri (8167 m) — Au mois de novembre 1957 on a jété de l'avion une branche fleurie dans la crevasse (les flancs du Mont Blanc du Tacul), où repose le corps de l'alpiniste polonais Wawrzyniec Zuławski Page 2

LITTÉRATURE ALPINE. (J. J. Szczepański) L'auteur de cette article donne un court compte rendu de littérature alpine mondiale et souligne ses traits caractéristiques. Page 4

LES CAMPS ALPINS DU CLUB POLONAIS DE HAUTE MONTAGNE EN ÉTÉ 1957. (A. Wala). En été 1957 quarante neuf alpinistes polonais séjournèrent dans les Alpes Bernoises, les Alpes Pennines et le groupe du Mont Blanc. Les grimpeurs polonais ont gravi 29 sommets de 4000 mètres. (quelques sommets étaient refaits plusieurs fois). Selon l'auteur de l'article les expériences alpines des grimpeurs polonais ont montrée que les escalades de Tatra présentent un apprentissage excellent pour les courses mixtes ou en rocher pur dans les Alpes. La plus grande partie de l'article est consacrée: à la discussion sur des expériences alpines et critique de l'activité des alpinistes polonais et de l'organisation de camps alpins. (une liste détaillée des ascensions se trouve: p. 31—40). Page 8

SUR LA FACE OUEST DU DRU (J. Długosz). L'auteur raconte son escalade de la face ouest du Dru en été 1957. La description minutieuse de cette face est complétée par l'histoire de sa conquête. Page 11

FIESCHERHORN AU CLAIRE DE LA LUNE (J. Hajdukiewicz). Le reportage de l'ascension de la face nord de Gross Fischerhorn en été 1957, faite par l'auteur lui même, sa femme et K. Berbeka. Page 16

NOS POSSIBILITÉS DANS LES ALPES (M. Stefański). L'auteur examine les possibilités des grimpeurs polonais dans les Alpes et discute les expériences des années 1956—57. Il met en relief les dangers réels des Alpes qui sont infiniment plus grands que ceux des Tatra. Le problème de la sécurité est, selon l'auteur, une des choses les plus importantes dans les projets des grimpeurs polonais concernant leurs ascensions dans les Alpes. Page 21

DANS LES MONTAGNES DE LA TERRE DU CAP SUND (J. Piotrowski). L'auteur membre de l'Expédition Polonaise au Spitzberg de l'Année Géophysique Internationale examine au point de vue de l'alpinisme les valeurs de la partie sud du Spitzberg Occidental et discute la part des Polonais dans les recherches scientifiques et l'exploration de ce terrain. L'article est terminé par la description de l'ascension de Mehesten (1354 m) par l'éperon ouest — cordée J. Piotrowski, Z. Jaworowski. Page 23

ŚNIEŻNE KOTŁY (Karkonosze — Riesengebirge — Monts des Géants) — (J. Kolankowski). Les valeurs des escalades de Śnieżne Kotły — leurs ascensions hivernales et estivales. Page 31

LES BASSETS DES CAVERNES (Przemysław Burhard). Histoire des bassets légendaires des cavernes. Page 34

ALPINISME (Chronique). — Chronique des camps alpins du Club Polonais de Haute Montagne en été 1957 — Description de l'ascension de l'arête Peuteurey — Compte rendu de l'activité estivale et hivernale des grimpeurs polonais dans les Tatra au cours de l'année 1957. Page 37

ALPINISME SOUTERRAIN (chronique spéléologique). L'activité des spéléologues polonais dans les cavernes du pays dans la période: juillet 1956 — décembre 1957. Page 46

COMPTES RENDUS Réédition du livre de Karłowicz „W Tatrach“ (Dans les Tatra) — essais et reportage littéraires. Karłowicz, le grand compositeur polonais, était en même temps un des plus célèbres alpinistes polonais dans la période de la naissance de l'alpinisme polonais (taternictwo). Ce livre, en forme d'album, est illustré avec d'excellentes photos de l'auteur. Page 47

NÉCROLOGIE. Souvenir de Marek Karpiński, alpinistes polonais, qui périt dans les Tatra au mois de juillet 1957. Page 49

ACCIDENTS ET SECOURS EN MONTAGNE. Les recherches de l'alpiniste polonais S. Groński et ses deux compagnons-grimpeurs yougoslaves, disparus sans laisser de traces pendant la traversée de l'arête du Col du Midi jusqu'au Mont Blanc au mois d'août 1957. — L'histoire détaillée de l'accident du 18 août 1957 où sur les versants du Mont Blanc du Tacul périt dans l'avalanche W. Zuławski président du Club Polonais de Haute Montagne. — Discussions: raisons de l'accident, organisation du secours. Page 50

La revue „Taternik“ est expédiée en échange des éditions alpines et géographiques.

L'ADRESSE DE LA RÉDACTION: Antoni Wala, Kraków, ul. Osiedle 15 Grudnia 11 m. 13, Pologne.

SUMMARY

CHRONICLE: Dr. J. Hajdukiewicz was member of the Swiss expedition to the Dhaulagiri in 1958. In november 1957 flowers were dropped from an airplane to the crevice on the slopes of the Mont Blanc du Tacul where the body of the polish alpinist, Wawrzyniec Zuławski was lost. The Chronicle ends with official notes to members of the club. Page 2

ALPINIST LITERATURE. (J. J. Szczepański). The author gives a short survey of the world's alpinist literature, stressing the tendency to development, characteristic for this kind of writing. Page 4

CAMPS OR THE ALPINE POLISH MOUNTAINEERING CLUB, SUMMER 1957. (Antoni Wala). 49 polish alpinists participated during summer 1957 in camps, located in three mountain groups: the Bern Alps, the Vallais Alps and the Mont Blanc group. They ascended 29 peaks, each up to 4000 m. high, returning to some of them several times. They made many interesting ascents of mountains faces and ridges. A comprehensive table of the ascents is shown on pages 37-40. Page 8

ON THE WESTERN FACE OF THE DRU. (J. Długosz). The author tells about his passage over this area in summer 1957, giving a detailed description of the face, and historical survey of its conquest. Page 11

FIESCHERHORN IN MOONSHINE. J. Hajdukiewicz. This is the story of the author's passage over the north face of the Gross Fiescherhorn, which he achieved with his wife and with K. Berbeka in summer 1957. Page 16

THE ALPS AND OUR OWN POSSIBILITIES... (M. Stefański). The author presents a critical review of the possibilities open to polish climbers in the Alps, on the ground of experience gained in 1956 and in 1957. He stresses the greater objective danger of the Alps, when compared with the Tatra, and considers the problem of safety, as chief criterion when planning high mountain activity for polish alpinists in the Alps. Page 21

THE MOUNTAINS ON THE SÖRKAPPLAND. (J. Piotrowski). The author, a member of the International Geophysics Year Expedition to the Spitzbergen in 1957/8, discusses the alpinist values of the southern area of Western Spitzbergen, speaks about the part the Poles took in scientific research and alpinist exploring of this area, and ends his article with a description of his ascent, by its west spur, of the Mehesten (1345 m), achieved with Z. Jaworoski. Page 23

SNOWY KETTLES (Riesengebirge). (J. Kolankowski). A short survey of the climbing values of The Snowy Kettles, and of winter and summer ascents achieved in this region. Page 31

THE CAVE TERRIER. (Przemysław Burchard). A short story about the legend, according to which a species of small terriers live in caves. Page 34

ALPINISM. (Chronicle). The diary of alpine camps organized by the Polish Mountaineering Club in summer 1957; a description of the Peutèrey ridge passage; a survey of the polish alpinist's activities during winter and summer in 1957. Page 37

UNDERGROUND ALPINISM (Speleologic chronicle.) A survey of the polish speleologues' activities in the polish caves, during the period from July 1956 to January 1957. Page 46

BOOK REVIEWS. A new edition of „In the Tatra“ by M. Karłowicz. This is a collection of the author's writings and of his literary descriptions of the Tatra. Page 47

OBITUARY. It commemorates Marek Karpiński, the polish alpinist perished in the Tatra in July 1957. Page 49

ACCIDENTS AND MOUNTAIN SALVAGE. A detailed discussion of the search conducted for S. Groński and 2 Yugoslav alpinists, lost without any trace, when passing the ridge from the Col du Midi to the Mont Blanc, in August 1957. The accident caused by an avalanche on the slopes of the Mont Blanc du Tacul on August the 18th 1957 is also given close attention. Laurent Zuławski, Chairman of the Polish Mountaineering Club, perished in this accident. The article ends with considerations on the causes of accidents and the organization of searching for the lost. Page 50

СОДЕРЖАНИЕ

ХРОНИКА. Приносит сведение об участии друга И. Гайдукевича в цвейцарской экспедиции на Дхаулагири в 1958 году, заметку о сброшении в ноябре месяце 1957 года с самолета букета цветов до трещины на склоне Мондблан дю Такюль, когда покоится польский альпинист В. Жулавски. стр. 2

АЛЬПИЙСКАЯ ЛИТЕРАТУРА. (Й. Й. Щепански). Автор дает короткий очерк мировой альпийской литературы подчеркивая отличающиеся стремления этой письменности. стр. 4

ЛАГЕРИ ВЫСОКОГОРНОГО КЛУБА В АЛЬПАХ ЛЕТОМ 1957 Г. (А. Валя). Летом 1957 г. в Альпах побывали 49 польских альпинистов участвующих в 4 лагерях находящихся в трех горских группах: Бернинских Альпах, Пенинских Альпах и в районе Мондблана. Провели они восхождения на 29 вер-

The magazine „Taternik“ will be sent out in exchange for alpin and geographical publications.

EDITORS ADDRESS: Antoni Wala, Kraków, ul. Osiedle 15 Grudnia 11 m. 13. Poland.

шин выше 4000 м над уровнем моря, в том числе несколько из них многократно. Совершали они много интересных горо-восхождений по стенам и гребням. (Подробное составление восхождений имеется на стр. 37—40). стр. 8

ПО ЗАПАДНОЙ СТЕНЕ ДЮР. (Й. Длугош). Автор рассказывает о своем восхождении по вышесказанной стене летом 1957 г. и обращая внимание на описание стены дает придаточно исторический очерк ее победения. стр. 11

ФИШЕРГОРН ПРИ ЛУНЕ. (Й. Гайдукевич). Репортаж из восхождения по северной стене Гросс Фишергорн летом 1957 г. совершенного автором вместе с женой и К. Береком. стр. 16

АЛЬПЫ А НАШИ ВОЗМОЖНОСТИ. (М. Стефански). Критический анализ возможности польских горвосходителей относительно скалолазания в Альпах на базе накопленного опыта в 1956 и 1957 г. г. стр. 21

В ГОРАХ ЗЕМЛИ ЮЖНОГО МЫСА. (Й. Петровски). Автор участник экспедиции в рамках Международного Геофизического Года 1957—58 на Шпицберген рассматривает альпинистские элементы и признаки южной части Западного Шпицбергена, рисует участие Поляков в научных экспедициях и альпийских исследованиях этого района и заключает свою статью описанием подъема по западному гребню на Мегестен (1354 м) вместе с З. Яворовским. стр. 23

СНЕЖНЫЕ КАРЫ (Карконоши — Судеты) (Й. Колянковски). Короткий обзор альпинистической характеристики относительно скалолазания Снежных Каров и описание совершенных до сих пор восхождений летом и зимой. стр. 31

ПЕЩЕРНЫЕ ТАКСЫ (П. Бурхард). Рассказ о легендарных пещерных таксах. стр. 34

АЛЬПИНИЗМ. (Хроника). Помещено хронику альпинистских лагерей устроенных Польским Высокогорным Клубом летом 1957 г., описание движения по гребню Пэтерей, обсуждение летней и зимней деятельности польских альпинистов в Татрах в 1957 г. стр. 37

ПЕЩЕРНЫЙ АЛЬПИНИЗМ. (Спелеологическая хроника). Содержит пересмотр альпинистской деятельности польских спортсменов в отечественных и иностранных пещерах в период с июня 1956 по декабрь 1957 г. стр. 46

РЕЦЕНЗИИ. Новое издание книги М. Карловича „В Татрах” — сборника сочинений и художественных репортажей из Татр выдающегося польского композитора вызвало автора рецензии рисовать на фоне книги силуэта Карловича, одной из более отличных индивидуальностей во время возникновения современного польского альпинизма. стр. 47

ТРАУРНАЯ КАРТА. Воспоминание о Марку Карпинским, польском альпинисте, погибшем в Татрах в июле месяце 1957 г. стр. 49

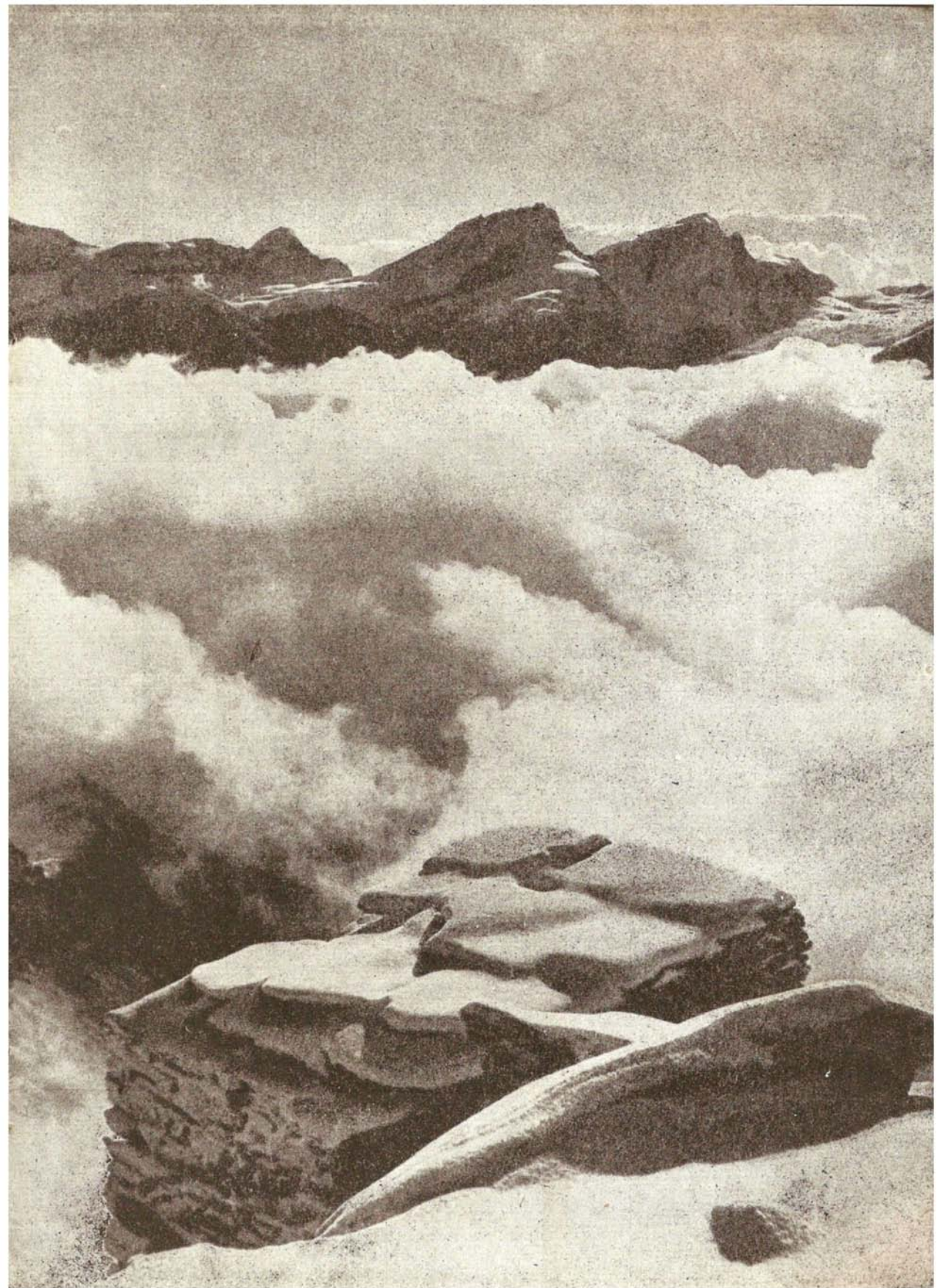
АВАРИИ А СПАСАТЕЛЬСКАЯ ГОРНАЯ СЛУЖБА. Широко рассматривается проведение поисков польского альпиниста С. Гронского и 2 югославских альпинистов погибших бесследно во время траверсирования ребра от Коль дю Миди до Монблана в августе месяце 1957 г. Анализируется подробно перебег аварии с лавиной на склоне Монблан дю Таколю идущей 15 августа 1957 г., в которую попал и погиб Лаврентий Жулавски, председатель Польского Высокогорного Клуба. стр. 50

Alpy Wallijskie. Widok ze schroniska Hörnli pod Matterhornem na wylanajace się z ponad morza mgieł szczyty (od lewej Allalinhorn (4034 m), Rimpfischhorn (4203 m) i Strahlhorn (4191 m). — A. Sidwa

Журнал „Taternik” высы-
ляется в обмен на альпини-
стические и географические
издательства.

РЕДАКЦИОННЫЙ АДРЕС
Antoni Wala, Kraków, ul
Osiedle 15 Grudnia 11, m. 13
Польша.

WSKAZÓWKI DLA AUTORÓW: Artykuły do zeszytów „Taternika” należy nadsyłać w 2 egzemplarzach maszynopisu, na arkuszach A4, jednostronnie pisane, z odstępem między wierszami i z marginesem 4 cm z lewej strony. Fotografie dołączone do pracy jak i składane do depozytu do wykorzystania przez redakcję, powinny być wykonane na papierze białym, białym, możliwie w formacie 13×18 lub 18×24 cm. Rysunki wykonane na kalce tuszem. Rękopisów i fotografów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Artykuły i fotografie, publikowane w piśmie, nie są honorowane. Autorzy otrzymują egzemplarze autorskie.



**K A U K A Z
M O N T
A I G U I L L E
F I L M
F O T O G R A F I A
G Ó R S K A
R E C E N Z J E**

W NASTĘPNYM NUMERZE

**cena
10 zł**

wydawnictwo sport i turystyka